

Afrykański Władca much Powieść laureatki Nagrody Nobla

A close-up photograph of a person's face, focusing on their eyes. The eyes are light-colored and looking slightly to the right. The skin is a warm, brownish tone. The lighting is soft, highlighting the texture of the skin and the intensity of the gaze.

**NADINE
GORDIMER**

LUDZIE JULYA

światowa proza

NADINE
GORDIMER

LUDZIE JULYA

Przekład: Dariusz Żukowski



WYDAWNICTWO 

Kraków 2013

To, co stare, umiera, gdy nowe jeszcze się nie narodziło; w takim interregnum pojawia się szeroki wachlarz patologicznych symptomów.

Antonio Gramsci, *Listy z więzienia*

– Czy chcecie dostają filiżankę herbaty?

July pochylił się w drzwiach i rozpoczął ich dzień tak, jak podobni mu ludzie zawsze rozpoczynali dni ludzi takich jak oni.

Pukanie do drzwi. Punkt siódma. W rezydencjach zarządców, pokojach hotelowych, firmowych bungalowach sztygarów, sypialniach państwa domu – herbata na tacy w czarnych rękach pachnących mydłem Lifebuoy.

Pukanie do drzwi

nie było drzwi, tylko otwór w grubej ścianie z suszonego błota – wiszący nad nim wór odwinięto podczas tej krótkiej nocy, by wpuścić świeże powietrze. *Bam, duszę się; jej głos podnosi go z martwych, sprawia, że budzi się z głębokiego snu.*

Nie było pukania. Lecz July, ich służący, ich gospodarz, przyniósł dwie różowe, szklane filiżanki z herbatą i otwartą specjalnie dla nich puszkę zagęszczonego mleka z odgiętym poszarpanym wieczkiem i łyżką w środku.

– Dla mnie bez mleka.

– Dla mnie też, dziękuję.

Czarny mężczyzna spojrział na troje dzieci śpiących na fotelach wyjętych z samochodu. Powiedział, uśmiechając się:

– Dzieci w porządku.

– Tak, w porządku.

Gdy już zniknął w wejściu:

– Dziękuję, July, bardzo ci dziękuję.

Już wcześniej spała w podobnych okrągłych chatkach krytych strzechą. W Parku Krugera – córka sztygara na urlopie z rodziną, emaliowana miednica i dzbanek na stole wśród zapasów soku pomarańczowego i herbatników, wspomnienie tak jasne i wyraźne jak światło dzisiejszego poranka. Rondavele budowane na wzór murzyńskich chat przez przodków z burskiej strony rodziny Bama. Domy te stawiano na kontynencie od zawsze. Zanim pojawiła się klimatyzacja, przed upałem chroniła strzecha. Rondavele o cementowych podłogach pokrytych grubą warstwą czerwonego czyścidla i poprzecinane szlakami mrówek – w Botswanie z Bamem, jego strzelbami i zapasem czerwonego wina. Ta chata była zaś prototypem – wszystkie inne wzięły z niej początek i do niej powracają: u dołu, pod żelaznym łóżkiem, na którego zardzewiałych sprężynach rozpostarli plandekę zdjętą z budy samochodu, było klepisko z błota i gnoju. U góry – z szorstkiej trzcinowej więźby podpierającej strzechę zwieszały się polepione brudem pajęczyny. Trzcinę przeszywały snopy słonecznego światła. W miejscach, gdzie dach nie przylegał ściśle do krawędzi glinianych ścian, powstawały kręgi rozproszonego blasku. Tam, w górze, były jakieś gniazda – os albo nietoperzy – z błota o jaśniejszym odcieniu. Gruby fartuch dziennego światła otaczał wejście. Pojawiła się w nim łysa kura, a z nią. kurczaki wydające cichutkie piski – najcichszy dźwięk na świecie. Jej wejście, tak łagodne i zwyczajne, wywołało w Maureen nagłe

poczucie niedowierzania. Maureen i Bam Smalesowie. Bamford Smales, Smales, Caprano i Partnerzy, Architekci. Maureen Hetherington z Kopalni Złota Zachodnich Prowincji. Srebrny puchar na zawodach tańca klasycznego dziesięciolatków. Znów zamknęła oczy i jej głowę wypełniło kołysanie samochodu, jak u ludzi schodzących na brzeg po podróży morskiej, którzy mają wrażenie, że ziemia chybcze się pod ich stopami. Zasnęła, tak jak zasypiała od czasu do czasu przez ostatnie trzy dni i noce ukryta na podłodze samochodu, początkowo zdezorientowana jego gwałtownymi ruchami, a później ukojona miarowym rytmem jazdy.

Ludzie w delirium raz za razem wynurzają się z półsnu i znów w nim toną. Kołysanie, dygotanie, łomotanie, wstrząsanie ustaje, a fragmenty mozaiki życia wracają na miejsce. Samochód był gorączką. Klekotem metalu, dzikim tańcem poluzowanych śrub, zapachem dziecięcych wymiocin. Wynurzała się stopniowo na coraz dłuższe okresy. Pierwsze, co wskoczyło na miejsce, było to, co zniknęło – przeszłość. W znaczonej snopami światła półmroku plemiennej chaty odnalazła równowagę, wspominając pokój w domu sztygara, który zajęła, gdy starsza siostra wyjechała do szkoły z internatem. Przyjrzała się kolejno wszystkim przedmiotom z jej kolekcji stojącym na półce: oto malutki mosiężny imbryk na kawę z tacką do kompletu, cztery kościane słonie – jeden z ułamaną trąbą; oliwkowozielony buldog z porcelitu z brytyjską flagą namalowaną na grzbiecie. Woreczek na lawendę z aksamitnymi niezapominajkami wyszytymi na brzegach wisiał na zawiasie lustra toaletki, odcinając się na tle okna, z którego

padało światło zmiękzone przez siatkę moskitiery zapchanej kopalnianym pyłem i martwymi komarami. Wyszczerbiona srebrna zatyczka kryształowej buteleczki na perfumy tkwiła przyklejona do szklanej szyjki wieloma warstwami pasty czyszczącej Silvo, które odkładały się przez lata. Przed drzwiami stały jej buty do szkoły, które czyścił Nasz Jim (sztygar też miał na imię Jim, mama nazywała więc męża Swoim Jimem, a służącego – Naszym Jimem). Królik z brązową łatką na oku i uchu czekał w klatce w ogrodzie, aż go ktoś nakarmi. Było tak, jakby samochód wyjechał daleko poza teraźniejszość, tak daleko, że podróżujący nim ludzie oddzielili się zupełnie od dużych małżeńskich sypialni, które wypadły z kolejn czasu tak jak pokój opuszczony cztery dni temu, do którego przynależała powracająca świadomość Maureen.

Do chaty weszły świnie i rozległy się okrzyki w jednym z tych języków, których nigdy nie rozumiała. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że jej mąż się zbudził – zawsze potrafiła to wyczuć – choć wciąż oddychał ciężko jak pijak. Usłyszała własne słowa:

– Gdzie on jest?

Miała wrażenie, że jest wciąż zamknięta w samochodzie.

– Powiedział, żeby go schować w buszu.

Później usłyszała jakieś hałasy, szelesty czy mlaski.

– Co to? Co się dzieje?

Nie odpowiedział. Przez trzy dni i trzy noce prowadził prawie bez przerwy. Jeśli nie spał, był ogłuszony potrzebą snu.

Stopniowo zaczęła się oswajać z wnętrzem chaty, w którym nie było nic poza żelaznym łóżkiem i samochodowymi fotelami, na których spały dzieci. Nie brała pod uwagę wszystkich pozostałych przedmiotów, bo należały one do innej kategorii: sztywna zwinięta krowia skóra, motyka na gwoździu, kupka szmat i części od zepsutego piecyka parafinowego. Po klepisku chodziła kwoka z pisklętami, ale to nie ona wydawała te ciche dźwięki. W chacie musiały być szczury albo myszy. Muchy siadały wokół oczu i ust dzieci, które pewnie wciąż pachniały wymiocinami, brudne, śpiące, bezpieczne.

Mieli pick-upa z trzylitrowym silnikiem, terenowymi oponami na czternastocalowych kołach i solidną karoserią, do której dokupić można było montowaną za szoferką, budę z włókna szklanego z oknami, otworami wentylacyjnymi i wyściełanymi pianką, ławkami po bokach. Stanowił niedrogie połączenie samochodu codziennego użytku z autem transportowym, na które decydowały się białe, zwłaszcza afrykanerskie, rodziny oraz ich koloredzcy półbracia, którzy nie mogli sobie pozwolić na dwa samochody. Dla bogatszych Południowoafrykanów to był dodatkowy samochód używany wszędzie tam, gdzie miejskie auto nie dałoby sobie rady.

Ich pick-up był żółty. Bam Smales sprawił go sobie na czterdzieste urodziny, by jeździć nim na polowania. Poza sezonem regularnie wybierał się na strzelnicę i trenował oko na rzutkach, natomiast z nadejściem zimy spędzał weekendy w buszu w promieniu do dwustu kilometrów od domu i biura, strzelając do perliczek, kuropatw, dzikich kaczek i gęsców. Zanim urodziły się dzieci, zabierał z sobą żonę i wypuszczali się gdzieś dalej, do Botswany, a raz, przed obaleniem portugalskiego reżimu, pojechali nawet do Mozambiku. Bam mógł strzelić do jelenia, ale nie do człowieka. Nie trzymał rewolweru pod poduszką, by bronić żony, dzieci i podmiejskiego domostwa.

Samochód miał im sprawiać przyjemność, tak jak o niektórych kobietach mówi się, że są stworzone do dawania przyjemności. Maureen zrobiła kwaśną minę na jego widok,

ale Bam przekonywał ją, że jaskrawy kolor jest dobry: żółć jest wesoła, nie nagrzewa się.

Stali zadowoleni wokół auta, żona i cała rodzina. Dzieci bardzo ekscytowały się nowym nabytkiem. Nic nie wprawiało ich w taki entuzjazm jak kupowanie; karmienie królików ich nie interesowało. Uśmiechnęła się do niego w taki sposób, jak to robiła, gdy nie czekał, by uzgodnić z nią wydatki, tylko spełniał swoje zachcianki i na mgnienie odsłaniała się ta część jego „ja”, która nie radzi sobie w związku.

– W buszu będzie cię widać na kilometr.

W różnych wyjątkowych sytuacjach pewne osoby i przedmioty okazują się niezbędne. Sama natura walki o przetrwanie sprawia, że nie sposób zawczasu określić które. Jak się tego dowiedzieć? Cywilne służby planowania kryzysowego nie zaopatrzają w nie ludności. (W siedemdziesiątym szóstym po zamieszkach w Soweto firmy farmaceutyczne wykupiły cały zapas zatwierdzonych przez rząd apteczek). Wydarzeń nie da się skalkulować, nie sposób określić, co się dokładnie stanie, nawet jeśli kierując się politycznymi czy apokaliptycznymi przesłankami, można przewidywać nadejście katastrofy.

Zaczęło się nie dziwniej niż zwykle. Fala strajków, która nadeszła w 1980 roku, przeciągała się – jeden dawał początek następnemu, kolejny wybuchał na znak solidarności z poprzednim i w końcu zbiorowe opuszczanie miejsc pracy i wyłączanie maszyn stały się normalnymi, powszechnymi zjawiskami, a nie objawami chaosu przemysłowego. Podczas gdy rząd robił coraz to nowe

ustępstwa wobec czarnych związków zawodowych, tak sformułowane, by zamaskować zawarte w nich obostrzenia, czarni robotnicy wciąż chodzili głodni, gniewni i bez pracy, a po spalonych fabrykach pozostawały jedynie betonowe podłogi hal produkcyjnych. Przez długi czas nikt tak naprawdę nie wiedział, co dzieje się w miejscach, których nie widział na własne oczy. Zamieszki, podpalenia, okupowanie biur zagranicznych korporacji, bomby w budynkach publicznych – z powodu cenzury prasy, radia i telewizji plotka i wieść podawana z ust do ust były jedynymi źródłami informacji o chronicznym powstaniu, które ogarnęło kraj. Po wielu tygodniach niewidocznych z dala zamieszek w Soweto na Johannesburg ruszyło około piętnastu tysięcy czarnych (szacunki się różnią), których powstrzymano na skraju centrum biznesowego kosztem wielu czarnych i białych istnień (szacunki się różnią). Księgowy, któremu Bam zaprojektował dom, dał im cynk, że jeśli nic nie będzie wskazywało na rychłe unormowanie sytuacji (jak się wyraził), banki będą musiały zawiesić działalność. Bam, nie wierząc, że naprawdę to robi, wziął więc plastikowe, wyściełane pianką pudełko, w którym kiedyś kupił japońską wieżę hifi, i pobrał z banku pięć tysięcy randów, zaś Maureen z dwudziestoczterogodzinnym wyprzedzeniem zapowiedziała wypłatę środków i wyjęła tysiąc siedemset pięćdziesiąt sześć randów gotówką. Banknoty zabezpieczone gumowymi opaskami włożyła do kosza z plecionej trawy, przykryła garniturem Bama odebranych z pralni i ułożonym ostentacyjnie na wierzchu, po czym zaniósła bez żadnych problemów do domu.

A jednak banki nie przerwały działalności. Czarnych powstrzymano (tymczasowo zabrakło im amunicji, a już dawno minęły czasy, kiedy na spotkanie kuł szli heroicznie z kijami i kamieniami) – dokonały tego siły obywatelskie wzmocnione przez białych imigrantów z Rodezji, byłych Skautów Selousa*, którzy dobrze się znali na prowadzeniu tego typu walk, oraz białych najemników z Bangui, Zairu, Ugandy i wszystkich tych miejsc, w których wspierali będących akurat u władzy Aminów, Bokassów i Mobutów. Dzieci przestały chodzić do szkoły i z dzikim zapalem bawiły się w walki uliczne w zaciszu przydomowego ogrodu. Nieoczekiwanie ze sklepu z alkoholem przyszło wino i piwo zamówione kilka tygodni wcześniej – dwóch czarnych mężczyzn w kombinezonach z wyhaftowanym logo znanego producenta rumu zaniósł skrzynki do kuchni, żartując po drodze ze służącymi. Po raz dwudziesty, po raz setny w historii, od fali palenia przepustek w latach pięćdziesiątych, przez Sharpeville, aż po rok 1976 w Soweto i 1980 w Elsie's River wyglądało na to, że sytuacja znów się uspokaja.

Najpierw Smalesowie uznali, że to potrwa najwyżej dziesięć lat, potem że jeszcze pięć. Później stwierdzili, że zmian doczekają dopiero ich dzieci, choć chcieliby, żeby nastąpiły już teraz. Robiło im się niedobrze na myśl, że

* Skauci Selousa (Selous Scouts) – pułk komandosów działający w latach 1973-1979 w strukturach armii Rodezji, utworzony w celu tłumienia ruchów niepodległościowych i powstańczych na południu Afryki. Skauci Selousa działali metodami dywersyjnymi i pseudopartyzanckimi, biorąc udział m.in. w operacjach w Rodezji, Mozambiku, Kenii i Botswanie. Po uzyskaniu przez Rodezję (dziś Zimbabwe) niepodległości i rozwiązaniu jednostki wielu członków pułku wstąpiło do sił specjalnych RPA (przyp. tłum.).

pewnego dnia okaże się, iż przeżyli całe życie jak białe
bezańskie psy na czarnym kontynencie. Wstępowali do
partii politycznych i sieci „kontaktowych”, pragnąc pozbyć
się przywilejów, których, jak sądzono, białe psy ze swej
natury bronić będą z myśliwcami Mirage i czołgami; nie
wierzo im. Rozważali więc wyjazd, póki są młodzi na tyle,
by móc odrzucić zarówno wykluczenie czarnych, jak i
przywileje białych, i ułożyć sobie życie w innym kraju.
Zostali. Wszystkim wokoło – i samym sobie – powtarzali, że
to tu i nigdzie indziej jest ich dom. Wiedzieli jednak
zarazem, że zrezygnowali z emigracji między innymi dlatego,
iż wraz z upływem czasu, który pozostał, coraz trudniej
byłoby im przenieść majątek – rosnące oszczędności i
inwestycje Bama, akcje De Beers, które Maureen
odziedziczyła po dziadku, dom tracący na wartości, gdy
zamieszki coraz mocniej wkraczały w codzienność. I znowu,
po raz sto pierwszy, tysiące czarnych aresztowano, zamie-
ciono szkło z rozbitych szyb, połączono przerwane linie
telefoniczne, a radio i telewizja zapewniły, że władze znów
panują nad sytuacją. Mąż i żona uznali, że trzymanie
pieniędzy w domu to idiotyzm. Zamierzali z powrotem
wplacić je do banku...

Kiedy nadeszła katastrofa, nastąpiły przemiany jak z
mitu albo przypowieści religijnej. Znajomy księgowy był
dzioborożcem, ptakiem, który ostrzega przed niebezpie-
czeństwem w afrykańskim folklorze, lecz jego wołania nikt
nie słucha. Żółty pick-up kupiony dla rozrywki odegrał
kluczową rolę: to on zabrał ich daleko od strzaskanych
kulami witryn i płonących domów, których nie udało się
sprzedać na pogrążonym w kryzysie rynku, od

wstrząsanych wybuchami kopalń, wypływających okrągłe ciała w beżowych weekendowych garniturach, i samonaprowadzających rakiet, które strącały boeingi startujące z lotniska imienia Jana Smutsa z uciekinierami na pokładzie. Kucharka Nora uciekła. Dobrze opłacany, zadowolony służący, który mieszkał w ich domu, odkąd się pobrali, który dostał od nich dwie zmiany ubrań (dreluchy do prac domowych oraz biały uniform do podawania do stołu), który miał wolne środy i co drugą niedzielę, a w dodatku mógł przyprowadzać kolegów i spać w swoim pokoju z kobietami z miasta – to on okazał się wybrańcem, to w jego rękach spoczął ich los; księżę zamieniony w żabę, zbawiciel, July.

Ustawił cynkową wannę – na tyle dużą, że mogły w niej usiąść dzieci. W metalowych puszkach po oleju przyniósł na głowie wodę zagrzaną na palenisku. Wykąpała dzieci, a potem sama zanurzyła się w brudnej wodzie – po raz pierwszy w życiu poczuła nieprzyjemny zapach spomiędzy nóg, posłała więc dzieci na zewnątrz, przykryła wejście skórą i z poczuciem obrzydzenia, w wodzie pełnej szumowin i mydlin, wyszorowała gładką wyściółkę waginy oraz niewidoczny węzełek odbytu. Jej mąż postanowił zaryzykować i poszedł się wykąpać w rzece, mimo że wchodzenie do którejś z rzek płynących na wschód groziło zakażeniem motylicą.

July chodził w tę i z powrotem – przyniósł owsiankę, gotowany dziki szpinak, a nawet twarde zielone papaje, dopełniając w ten sposób rytuału kończenia każdego rodzinnego posiłku owocami, do którego sam przywykł, mieszkając z nimi przez tak długi czas. Nie nosił tu żadnego

uniformu (miał na sobie wyblakły podkoszulek i zakurzone spodnie, które czekały na niego, gdy co dwa lata przyjeżdżał do domu na urlop), lecz raz po raz wchodził do chaty i z niej wychodził, zachowując się tak samo, jak się zachowywał przez piętnaście lat życia w ich domu: był usłużny, ale nie uniżony, rozumiał ich potrzeby i upodobania, dyskretnie przystosowywał się do ich nawyków, a nawet karcił dzieci i spełniał ich zachcianki.

– Będziemy sami sobie gotować, July. Musimy rozpalić własny ogień.

Gość, który protestuje, gdyż nie chce sprawiać kłopotu; oboje w jej słowach wychwycili echo słów gości, którzy przychodzili z wizytą do domu, a wychodząc, dawali mu napiwek.

July przyniósł Bamowi drewno, lecz o zmierzchu przyszedł ponownie. Nie wierzył, że sami będą umieli o siebie zadbać.

– Chciałby pan, zrobię teraz mały ogień? – Miał z sobą napełnioną mlekiem puszkę po Golden Syrup. Wraz z nim przyszedł mały chłopiec, który wcześniej za dnia odganiał ciekawskie czarne dzieci. – To moje trzecie, prawie taki sam wiek jak Victor. Victor to dwudziesty pierwszy styczeń, tak? Ten to Boże Narodzenie.

Tam, w mieście, białe dzieci widziały potomków służącego na zdjęciu, które trzymał w portfelu wraz z przepustką. Spoglądały teraz na czarnego chłopca jak na oszusta.

– Tu to mleko, co pijemy, jest z kozy, nie wiem, czy Gina polubi. Zawsze Gina trochę kaprysi. Pani może ugotować je.

Uniósł brew, a kąciki jego ust i wąsów opadły, tak jakby chciał w ten sposób delikatnie dać do zrozumienia, że warto zachować ostrożność, gdyż nie panują tu szczególnie higieniczne warunki, a koza i puszka po syropie to nie to samo co sterylne plastikowe butelki mleka z lodówki.

Nocą samochód został przestawiony z buszu pomiędzy opuszczone chaty, tak by był w zasięgu wzroku, lecz nie bezpośrednio przy domu rodziny Julya. Bam nie włączył świateł, July prowadził go, idąc w mroku przed autem, tak jak to robił niekiedy w czasie ich podróży. W ten sposób uniknęli zarówno patroli, jak i grasujących gangów. Choć wyruszyli, mając paliwo na przejechanie zaledwie połowy dystansu, posuwali się do przodu dzięki intuicji Julya, który wiedział, że w małych wioskach czarni pracownicy stacji benzynowych często mieszkają w szopie za stacją i sklepikiem. July prosił, żeby dać mu banknoty z plastikowego pudełka Bama, i za każdym razem wracał, niosąc benzynę, wodę, jedzenie. To był cud. Podróż przebiegła pomyślnie jednym wielkim cudownym zrządzeniem losu, a z dziejów świętych męczenników wiadomo, że cudom towarzyszą cierpienia. Ich mała grupka z kilkoma przypadkowymi rzeczami, które zdążyli chwycić (torbą pomarańczy, po które Maureen wróciła do kuchni, radiem zabranym przezornie przez Bama, by mogli słuchać, co dzieje się w miejscu, z którego uciekają), nie mogła przecież

liczyć na to, że uda im się szczęśliwie dotrzeć do celu – każda minuta tej podróży była niemożliwością.

– Możemy pojedziemy do mojego domu.

July wypowiedział te słowa, stojąc w salonie, w którym nigdy nie siadał, takim tonem, jakim mówił: „Trzeba kupić trochę parafiny”, kiedy trzeba było usunąć plamę z podłogi. Ich sytuacją kierowała logika nieprawdopodobieństwa, bo nieprawdopodobne było to, że to właśnie on zdecyduje, jak postąpią, i że ich bezradność we własnym domu każe jemu przejąć inicjatywę. Ponieważ zwlekali już zbyt długo, nie mogli zrobić nic innego jak tylko to, co niemożliwe. Wsadzili dzieci do samochodu, nakryli je plandeką, pod którą wpelzła także Maureen, i odjechali. Że też samochód się nie zepsuł, gdy parli naprzód przez veld, pola kukurydziane i uprawy orzeszków ziemnych, a potem przez dongi i rzeczne brody ukryte głęboko pod wodą, której poziom podniósł się po fali letnich deszczów... Nie mieli odwagi wyjechać na drogę i przez trzy noce pokonywali trasę, która w normalnych warunkach zabiera jeden dzień. Udało się tego dokonać dzięki Julyowi. July znał każdy odcinek sześćsetkilometrowej drogi, którą przeszedł pieszo do miasta w poszukiwaniu pracy, pałac w nocy ogniska, by odegnąć lwy w miejscach, w których jego trasa zbliżała się do Parku Krugera, a nawet przez niego wiodła.

Wprowadzili samochód do okrągłej pozbawionej dachu chaty. Była czerwona jak mrówczy kopiec. Grube gliniane ściany tu i ówdzie spływały na ziemię, a ich konstrukcję poprzerastały karłowate drzewka, które wyglądały jak fragmenty rur instalacji wodnej w na wpół wyburzonym

budynku. Koła zgmiotły wysokie trawy rosnące na klepisku. Żółtą karoserię skrył dach listowia, cierni i pasożytniczych pnączy.

Z wejścia do chaty, którą im przydzielono, widziała samochód. Przynajmniej tak jej się zdawało – wiedziała, że tam jest. Wciąż była w nim plastikowa butla z wodą z kranu kupiona w ostatniej wiosce, którą mijali. Poszła po kryjomu do auta, obserwowana z daleka przez szepczące między sobą czarne małuchy, by nabrać wody dla swoich dzieci. Rozgrzane blachy – ściany porzuconego domu, w którym ponownie zawitała – wydały głuchy dźwięk pod jej ciężarem. Uwięzione muchy dogorywały na grzbietach. Było tak, jakby znowu wkroczyła do tamtego drugiego porzuconego domostwa.

– Nie zobaczą go z powietrza.

Obserwowali dwa samoloty przelatujące nad nimi na dużej wysokości. Bam cieszył się, że żaden przypadkowy samolot, który mógłby wystartować z opanowanej przez czarnych bazy w Mozambiku wysłany na misję zwiadowczą, nie zrzuci bomby na samochód stanowiący podejrzaną oznakę obecności białej partyzantki na terenie, gdzie nawet zepsute auto stanowi rzadkość.

July nie mieszkał w wiosce, lecz skupisku chat z wyschniętego błota, w którym nie żył nikt poza członkami jego licznej rodziny. O ile jego krewni mogli się stopniowo przyzwyczaić do dziwnej obecności białych w swoim otoczeniu i trzymać język za zębami, o tyle istniało ryzyko, że inni mieszkający w okolicy ludzie, którzy znali tu każdy krzak, mogą odkryć, że niektóre krzaki zarastają samochód

białego człowieka, i przekazać tę informację pierwszemu napotkanemu patrolowi czarnoskórych żołnierzy. A może nawet zadziałać na własną rękę.

July zaśmiał się zażenowany, kiedy Maureen z trudem usiłowała wyobrazić sobie, że może on posiadać jakąś władzę. Zresztą i tak wszystkim powiedział już o samochodzie.

– Co im powiedziałaś?

Miała zaufanie do jego sprytu i rozsądku – pracował w końcu dla niej przez wiele lat. Bamowi często trudno było zrozumieć jego łamaną angielszczyznę, ale ona i July dobrze się rozumieli.

– Mówię im, wy mi go dali.

Bam wybuchnął śmiechem.

– Ale kto w to uwierzy?

– Oni wiedzą, co się dzieje, wiedzą, w mieście kłopoty. Biali wyganiani z domów, a my zajmujemy. Każdy taki jest, nieprawda?

– Ale ty nie umiesz prowadzić. – Zależało jej na tym, by inni mu uwierzyli. To była kwestia ich własnego bezpieczeństwa.

– Skąd mogą wiedzą, że ja nie prowadzę? Każdy wie, mieszkam w mieście piętnaście lat. Umiem dużo rzeczy.

Jeszcze przez wiele dni samochód miał być ważnym punktem odniesienia w ich życiu. Wciąż były w nim puszki z jedzeniem pozostałe po podróży, a także pudełko z

samochodzikami i elektrycznym torem wyścigowym Victora, które chłopiec musiał przemycić, korzystając z zamieszania. W chacie nie było na nic miejsca.

– Nie warto niczego stamtąd wyciągać.

Ale Victor dopominał się o swój tor wyścigowy.

– Jeśli go wyjmujemy, zaraz trzeba go będzie rozmontować i schować z powrotem.

Miał nawyk, że kiedy domagał się czegoś od matki, stawał przed nią. Obeszła syna dookoła. Znowu przed nią stanął.

– Kiedy idziemy?

– Vic, gdzie ty chcesz go ustawić? Tu nawet nie ma prądu, nie będzie się dało uruchomić samochodów.

– Chcę go pokazać.

– Komu?

Czarne dzieci, które z oddali przypatrywały się chacie, rozbiegły się, jakby jej spojrzenie było rzuconym w nie kamieniem. Po chwili znowu skupiły się w grupkę kawałek dalej.

– Ale powiedz im, że nie wolno niczego dotykać. Ja nie chcę, żeby ktoś psuł i niszczył moje rzeczy. Musisz im to powiedzieć.

Zaśmiała się, jak czynią to dorośli, gdy mogą użyć siły, ale nie chcą tego robić.

– Mam im to powiedzieć? One nawet nie rozumieją naszego języka.

Chłopiec nie odpowiedział, kopał tylko jednostajnie w ściankę wyszczerbionej, zardzewiałej wanny, w której się kąpali.

– Przestań, słyszysz? To należy do Julya.

Butelka z wodą była pusta. Royce, najmłodsze z dzieci, wciąż domagał się coca-coli.

– Kup. Idź do sklepu i kup.

Postawiła parafinowe puszki pełne wody z rzeki na ogniu. Przez noc wystygną.

– To szaleństwo, pozwalać im pić to świństwo prosto z rzeki. Rozchorują się.

Bam podsycił płomienie.

– One już i tak piją każdą wodę, jaką znajdą. Nie da się ich powstrzymać.

– A co zrobimy, jak zachorują?

Nie odpowiedział, a ona wcale nie oczekiwała, że to zrobi. Od wszystkich tego typu pytań dzieliło ich to, co niepojęte: szczęśliwy fakt, że udało im się przeżyć.

Fotele wyjęte z samochodu przestały być częścią jego wyposażenia, a zaczęły stanowić umeblowanie chaty. Po południu, kiedy zmarszczki lśniących chmur przykryły niebo i zrobiło się trochę chłodniej, wyszła na zewnątrz i usiadła na ziemi jak wszyscy. Wiedziała, że auto jest tam,

za doliną i kraalem porośniętym wilczomleczem i ostem, gdzie trzymane są kozy. Statek zacumowany w odległej krainie, zakotwiczony pośród amarantowców. Wkrótce zardzewieje i zostanie rozebrany do kadłuba, chyba że ruszy w drogę powrotną, i to szybko.

Kredens z bukszpanu imitujący meble, jakie można zobaczyć w kuchniach farmerów, miał półki wykończone fantazyjnie powycinanymi kawałkami gazet i zawierał niekompletny zestaw filiżanek i talerzyków z różowego szkła.

July przedstawił ją swojej żonie. Miała małą, smoliście czarną, nieprzystępną twarz i wielkie pośladki, na których siedziała na klepisku niczym na poduchach, wychylając się i obracając w różne strony. Uniosła blaszany czajnik spomiędzy popiołów paleniska i w milczeniu naląła herbaty do kubka siedzącej obok starej kobiety, po czym poprawiła butelkę z pokarmem w rękach dziecka za dużego na karmienie piersią, które leżało na jej podołku i poruszało oczami przez sen. Przyjaźnie zmarszczyła brwi po naglących słowach Julya, zakołysała się, wymruczała coś na powitanie.

– Ona mówi, że może bardzo miło, jesteście w jej domu. Może bardzo zadowolona was widzi, dużo czasu, ludzie Julya.

Ale ona się nie odzywała. Maureen wzięła ją za rękę, po czym chwyciła także dłoń drugiej kobiety, która była matką Julya albo jego żony. Staruszka nosiła złocone kolczyki w kształcie łez, a do czarnego turbanu przypięta, miała blaszaną broszkę z czerwonymi szklanymi koralikami. Spod kilku warstw sukni wystawały jej bose, ubrudzone popiołem stopy, na których kucała. Zaczęła wypytywać o coś Julya, odchrząkując głośno przed każdym zdaniem i

przypatrując się z przekrzywioną głową białej kobiecie, która uśmiechała się i raz za razem pochylała w geście pozdrowienia. W chacie było jeszcze kilka innych kobiet i wyrosniętych dziewcząt – jego siostra, szwagierka żony, jedna z jego córek. Przedstawił je jednym zamaszystym ruchem ręki, nie podając imion, tylko rodzaj pokrewieństwa. Niemowlę było najmłodszym z jego potomków, poczętym, jak wszystkie dzieci w tej chacie, podczas jednego z urlopów Julya i urodzonym pod jego nieobecność. Maureen za każdym razem, kiedy dowiadywała się o kolejnych narodzinach, dawała Julyowi prezenty do wysłania rodzinie. To tej kobiecie, żonie Julya, której nigdy nie widziała i nigdy sobie nie wyobrażała, posyłała zabawki dla dzieci i inne przedmioty, takie jak torebka czy podomka, których, była przekonana, używa każda kobieta niezależnie od sposobu życia i miejsca zamieszkania. Kiedy July wracał z urlopu, przywoził z domu prezent, którym odwdzięczała się jego niewidoczna żona – pleciony koszyk. W jednym z tych koszyków Maureen przyniosła pieniądze z banku. Kobieta, którą July miał w mieście, była szanowaną sprzątaczką w biurze i gdy miała wolne, ubierała się w dwuczęściowe sukienki z krempliny. Prasowała ubrania Julya żelazkiem Maureen i zagadywała ją, gdy spotykały się na podwórzu. Rozmawiały przeważnie o synu sprzątaczkę, który chodził do liceum w Soweto i musiała go utrzymywać. Było jasne, że July ma zobowiązania wobec własnej, mieszkającej bardzo daleko rodziny. Kobieta z miasta nie miała żadnych dzieci ze swoim kochankiem. Pewnego razu położyła dłoń pod piersiami gestem, którym kobiety

okazują, że są świadome swego kobiecego przeznaczenia i nad nim panują:

– Z tym koniec. Wysterylizowano mnie w klinice – powiedziała poufałym tonem. Słownictwo jej czarnego, miejskiego angielskiego bogate było w zwroty nabyte w środowisku, w jakim żyła.

Był wczesny ranek, ale siedzące w chacie kobiety były zamyślane jak pod koniec dnia. Prostokąt słonecznego światła, które wpadało z pojedynczego otworu w ścianie, kładł się na profilu młodej dziewczyny, powykręcanych artretyzmem palcach staruszki, tłustych, rozłożonych nogach sytego dziecka. Na ramie żelaznego łóżka, starannie zaścielonej kocami z frędzlami, jedna z wyrośniętych dziewczyn zaplatała warkoczyki na pochylonej głowie drugiej. Być może od świtu były poza domem, zbierając drewno albo pracując w polu. Maureen, siedząc wśród nich w chacie, stwierdziła, że nie wie, gdzie jest – jaka panuje pora, który z etapów porządku dnia właśnie trwa – i było to uczucie dotąd jej obce.

– Dlaczego przyjechali tutaj? Dlaczego właśnie do nas?

Jego żona zaakceptowała jego decyzję, kiedy przyjechał nocą w aucie białego człowieka w otoczeniu pięciu białych twarzy unoszących się w ciemnościach. Oddała im drugie łóżko, pożyczyła piecyk parafinowy. Patrzyła, jak mąż rankiem wyjmuje piękne szklane filiżanki, które kiedyś przywiózł z miejsca swojego drugiego życia. Matka oddała własną chatę – drzewa na konstrukcję jej dachu i ścian ściał on, a kobiety we dwie zmieszały błoto i postawiły ściany – która w następnym sezonie miała mieć wymienianą strzechę. Matka i żona bez słowa postępowały zgodnie z jego wolą. Ale na tym się nie skończyło. Sam wiedział, że to nie będzie koniec.

– Nie rozumiesz. Oni nie mają dokąd pójść. Mówiłem ci.

Jego żona wysunęła brodę w przesadnym ironicznym geście zgody. Przechyliła głowę i zgarbiła ramiona, tak jak to czyniła jako młoda dziewczyna.

– Biali ludzie tutaj! Przecież sam nam opowiadałeś, jak oni tam żyją. Osobny pokój do spania, osobny do jedzenia, osobny do siedzenia, pokój z książkami! – Ona sama miała Biblię. – Nie pamiętam, ile razy mi powtarzałeś, jak dużo książek jest w tym pokoju... Chyba setki. I gorąca woda, która się pojawia ot tak, jak światła na ulicach Vosloosdorp. Te wszystkie rzeczy, których nigdy nie widziałam i moje dzieci też nie zobaczą – specjalny pokój, żeby się myć – i nawet ty miałeś w podwórzu własny pokój do kąpieli, ale nawet nie prałeś w nim ubrań, bo robiła to

maszyna postawiona w jeszcze jednym pokoju. A ty mi teraz mówisz, że nie mają dokąd pójść...

Miała widownię. Dziewczęta, które zawsze towarzyszyły jej w chacie, zachichotały.

– Musieli wyjechać, uciekać. Ludzie palą te domy. Te wielkie domy! Nie wyobrażasz sobie takich domów. Biali w domach giną. Sam to widziałem – wszystko po prostu wybuchło, ściany, dach...

Jego żona przesunęła palcem za uchem.

– On ma broń. Dzieci widziały, że ma broń, trzyma ją pod strzechą.

– Kiedy oni przychodzą, jedna strzelba jest na nic. Gdyby udało mu się ich przegnać jednego dnia, wróciliby następnego. Tam są wielkie kłopoty! Jeśli się tam nie było, to się nie zrozumie, jak tam jest.

Dłonie jego matki nigdy nie spoczywały w bezruchu. Opuszki czterech palców nieustannie pukały w kciuk w rytmie uderzeń starego serca, niczym gasnące tętno martwego już zwierzęcia.

– Biali muszą gdzieś mieć swój lud. Czy nie mieszkają wszędzie na świecie? Germiston, Cape Town – byłeś w wielu miejscach, synu. Czy nie jeżdżą wszędzie, gdzie im się spodoba? Mają pieniądze.

– Wszędzie jest tak samo. Wypędzają białych. Biali walczą. W każdym mieście jest identycznie. Gdzie on mógłby uciec z rodziną? Jego przyjaciele też uciekają. Gdyby chciał pojechać do kolegi w innym mieście, toby go

nie zastał. To prawda, że może jechać, dokąd tylko zechce, ale gdy już tam dotrze, mogą go zabić.

Słuchali. Nigdy nie było wiadomo, czy dali się przekonać.

– Kiedyś pisałeś i opowiadałeś, jak samodzielnie doglądałeś ich domu – karmiłeś psa, kota. Spałeś tam nawet, kiedy przyszli złodzieje i rozbili szybę w pokoju, w którym spałeś – no, w jednym z tych pokójów... Ich wtedy nie było, pojechali za *granicę*, prawda?

Angielskie słowo złamało rytm ich rozmowy. *Zagranica*. Jego żonie było równie trudno wyobrazić sobie to pojęcie, jak wypowiedzieć wyraz, on jednak nosił walizki, dostawał pocztówki z widokiem wieżowców i ośnieżonych gór, odbierał telefony z miejsc, w których jest inna godzina.

– Słyszałaś o wielkim lotnisku, z którego samoloty wylatują za *granicę*? Było zamknięte. A wcześniej zestrzelono samolot z białymi, którzy uciekali.

– Kto zestrzelił? Czarni? Nasi? Jak mogliby to zrobić? – Staruszce kończyła się cierpliwość. – Widziałam te samoloty, przelatują nad nami wysoko na niebie, czasem lecą nawet nad chmurami. Słyszać je jeszcze, jak już ich nie widać.

– Nasi w Mozambiku mają specjalne rodzaje broni czy bomb, które mogą polecieć bardzo daleko i bardzo wysoko. Teraz mają je już nawet w Daveyton, KwaThema i Soweto, tuż obok miasta. Bomba trafiła samolot, a ten wybuchł w powietrzu. Wszyscy się spalili na śmierć.

Jego matka wydała kilka modulowanych, gulgoczących dźwięków, by odegnać katastrofę i złożyć ją na karb losu.

– Co teraz biali z nami zrobią, niech Bóg nas strzeże...

Jej syn, który widział, jak biała kobieta z trójką dzieci kuli się na podłodze samochodu, prowadził siedzącego za kierownicą białego człowieka, by jechał w jego ślady, i samodzielnie wytyczał drogę w dziczy, nagle zrozumiał coś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy.

– Oni nie mogą już nic zrobić. Nam nie zrobią już nic.

– Biali... Biali są bardzo potężni, synu. Bardzo zmyślni. Nie ma końca rzeczom, które mogą uczynić.

Gdy przebywał w towarzystwie kobiet, było tak jak podczas prowadzonych przez szefa sądów, kiedy to członkowie z mającej wydać wyrok starszyzny wchodzą i wychodzą, a dyskusja o dowodach winy trwa, niezależnie od tego, czy są na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza albo ulżyć sobie wśród swych uwiązanych koni i opartych o drzewo rowerów, czy wracają do środka, aby włączyć się do sprawy, która w międzyczasie biegła swoim trybem. Jego matka wyszła, by oskubać kurczaka, któremu przed chwilą ukrecił łeb. Żona spytała dziewczęta, czy wydaje im się, że obędzie się bez wody przez cały dzień. Ile jeszcze będą siedzieć z rozdziawionymi ustami? Jedna z dziewczyn odezwała się śmiało, lecz z szacunkiem:

– *Tatani*, chciałam spytać, czy to prawda, że miałeś własny osobny pokój do kąpieli tak jak oni?

– O, tak. Wanna, biała porcelanowa umywalka, wszystko.

Mogły się jedynie roześmiać – nie potrafiły sobie wyobrazić jego mieszkania mniejszego niż podwójny garaż przy domu, ze zdeptanym dywanem, który wcześniej leżał w sypialni państwa.

– W brzuchu są jajka! Ona jeszcze by się niosła! Mówiłam ci, żebyś wziął tę ze złamaną nogą – zawołała staruszka z zewnątrz.

– Czego ona chce?

– Zabiłeś złą kurę. Ale nie wiem, o co właściwie chodzi.

Odkrzyknął:

– No właśnie. *Mhani*, ta ze skrzywioną nogą jest młoda, będzie się dobrze nieść w przyszłym roku.

Biała kobieta wyciągnęła dłoń na powitanie – żona Julya po raz pierwszy dotknęła białej skóry. Chodziła czasem z teściową do wioski, żeby pod hinduskim sklepem sprzedać zieloną kukurydzę albo szczotki wyrabiane przez staruszkę. Zdarzało się, że biały policjant z miejscowego posterunku kupował od niej worek kolb i garść centów spadała z jednej dłoni do drugiej. Nigdy się jednak nie stykały.

Znowu popadła w nawyk przechylania głowy. Gdy była młodą dziewczyną, gest ten wydawał mu się atrakcyjny, uwodzicielski i kokieterijny, lecz w ostatnich latach stał się gestem odstraszającym, znakiem wycofania do własnego wnętrza.

– Ta twarz... sama nie wiem. To nie jest miła, piękna twarz. Zawsze sądziłam, że mają piękne sukienki. A jej włosy – są takie śmieszne i brzydkie. Co oni robią, że się takie stają? Jasne pasemka przemieszane z ciemnymi. Jak ogon brudnej owcy. Naprawdę nie sądziłam, że bogata biała kobieta będzie tak wyglądać.

– Tam wyglądali inaczej. Szkoda, że nie widziałas ubrań w ich szafie. A kieliszki! Kieliszki dla gości do picia wina. Tu nie mają nic – tak jak my.

Głośno skarciła dziecko, które krocząc chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach, wzięło do ust kurze odchody. Odruchowo wsadziła palec w miękką wyściółkę jego ust. Wciąż jeszcze miała poczucie jedności z tym drobnym ciałkiem. Mężczyzny to nie dotyczyło. Strzepnęła wapnistą maź z palca.

– Nie będzie już pieniędzy co miesiąc.

Skoro tam, daleko, nie było już białych ludzi ani wielkiego domu, w którym dla nich pracował, nie będzie już także listów (tak, była w szkole, przecież nie ożeniłby się z taką, co nie potrafi przeczytać słów własnego języka) – listów z innego życia, od jej innego męża, ze środkami dla tych, którzy nie mogli sami ruszyć jego śladem. Nie będzie ich już nawet w snach; nawet teraz, gdy zobaczyła białych ludzi.

Bam postanowił pomóc Julyowi naprawić różne sprzęty rolnicze – trudno byłoby je nazwać narzędziami – które posiadał on i inni mieszkańcy osady. Jarzma i postronki, którymi dzielili się mieszkańcy osady, trzymano w niezamieszkannej chacie. Ciężkie łańcuchy leżały na podłodze. Pod strzechą, wisiały motyki. Panował stęchły, orzechowy zapach przechowywanego w koszach ziarna. Ktoś tam wcześniej był, przebierał fasolę na jednej z mat, których używano w charakterze obrusów albo mis. Maureen dostrzegła pryzmę popękanych ziaren oddzieloną od pryzmy dobrych, które przebrał ktoś chwilowo nieobecny. Twórcy dioram przedstawiających życie ludów pierwotnych w muzeach historii naturalnej lubują się w konstruowaniu takich obrazków.

Bam postanowił zamontować cysterne na wodę – okrągły blaszany zbiornik, który z jakiegoś powodu zaciągnięto głęboko w busz i tak pozostawiono. July zaśmiał się i kopnął cysterne (tak jak wcześniej Victor wannę).

– Naprawdę, nie żartuję. Jeśli uda nam się zdobyć worek cementu, zrobimy wylewkę. Gdzieś tu widziałem trochę starych rur. Możecie zgromadzić spory zapas wody podczas deszczowych miesięcy. Inaczej się zmarnuje. Kobiety nie będą musiały chodzić nad rzekę. Lepiej pić deszczówkę niż wodę z rzeki.

Nie udało się zdobyć cementu, ale wzięli się do dzieła i pracowali razem w podobny sposób jak wtedy, gdy Bam

prosił Julya o pomoc przy budowaniu czy naprawianiu różnych rzeczy, by utrzymać w dobrym stanie siedmiopokojowy dom z basenem. Zamiast wylewki ułożyli kamienie. Bam miał z sobą radio i w godzinach nadawania wiadomości Maureen zostawiała to, czym się akurat zajmowała, i przychodziła do niego. Stojąc, wspólnie słuchali nowin. W osadzie były też inne radia – jazgotały, gadały, ryczały muzyką pop i żwawo trajkotały reklamami w języku czarnych; stonowany głos lektora mówił tylko do białej pary, do nikogo innego. Nie komentowali, spoglądali tylko na siebie. Lecz cokolwiek jedno z nich miało nadzieję lub obawiało się wyczytać w twarzy drugiego – na przykład nagłe postanowienie lub nowe pokłady lęku – nie pojawiało się. Wokół lotniska Jana Smutsa trwały zaciekle walki. W centrum miasta objętego godziną policyjną zeszłej nocy panował spokój, ale słyszano wystrzały z moździerzy i napływały sprzeczne doniesienia o intensywnej wymianie ognia na wschodnich i północnych przedmieściach. Czerwony Krzyż prosił o krew. Zaatakowano gazownię i eksplozja dała początek pożarom, które rozprzestrzeniły się na podmiejskie domy. Bam uniósł brwi i szeroko otworzył oczy – to za autostradą, po drugiej stronie doliny od miejsca, w którym postanowili wybudować dom w cichej okolicy. Amerykański Kongres rozważał możliwość ewakuowania obywateli swojego kraju drogą powietrzną. Nie było jasne, skąd mieliby wylecieć – lotniska w Cape Town, Durbanie i Port Elizabeth były zamknięte, porty zbombardowane i zablokowane. Maureen się odwróciła. Opodal młody chłopak opróżniał przyniesiony na głowie

kosz kamieni zgodnie ze wskazówkami Julya. Niedawno obstawała za tym, żeby jechać na wybrzeże.

Mieli szczęście, że żyją. Żadne z nich nie oczekiwało, że drugie przepowie, co jeszcze się zdarzy, i wskaże, co powinni zrobić. Jeszcze nie teraz. Bam układał kamienie pozyskane z resztek jakiejś budowli, którą próbowano wznieść, lecz popadła w ruinę. Tak tu żyli ludzie – starali się jak najlepiej rozdysponować swoje skromne naturalne zasoby. Pozwalali, by ściany ściekły i zamieniły się w błoto, którego używali, by postawić nowe ściany w innym miejscu przy jakimś dogodnym skupisku skał. Nikt nie pamiętał, skąd wziął się zbiornik na wodę. July powiedział, że spyta o to staruszkę, ale w końcu tego nie zrobił, choć całymi dniami siedziała przed chatą, wytwarzając szczotki ze specjalnego rodzaju trzciny, którą zbierały kobiety. Zbiornik przyjechał z daleka, z tego samego miejsca co Smalesowie i ich dzieci. To do zadań białego należało znaleźć tu dla niego zastosowanie.

Za polaną, na której były chaty, kraale z bydłem i zdeptane, wypalone połacie pól uprawnych, wzniesienie wśród drzew wyznaczało brzeg rzeki, a wraz z nim kraniec mierzalnych odległości. Tak jak chmury, busz na sawannie przybierał coraz to nowe kształty zależnie od padającego nań światła, poruszał się albo sprawiał wrażenie, że faluje pod wpływem poruszeń oka. Był cichy, popielatozielony jak pleśń rozrastająca się przed nią i rozpościerająca pod przestworem nieba. Przecinały go setki ścieżek używanych od czasów pierwszych migracji (które nigdy się nie skończyły – rodzina Maureen stanowiła ostatnie pokolenie przybyszy).

Mieszkali tam niewidoczni ludzie – żyli w chatkach rozstawionych w nieregularnych kręgach podobnych do placków mchu na trawie, których granice wyznaczały zarośla wilczomleczka i ciernistych krzewów podobnych do tych tutaj. Było tam bydło, które przedzierało się z trzaskiem przez poszycie, i przyczajone dzikie zwierzęta – ich także nie było widać. To przestrzeń, która tak ograniczała swoim bezkresem, że dzieci nie zdawały sobie sprawy z jej istnienia.

Royce został wysłany z misją.

– Czy możemy dzisiaj iść na film? Albo jutro?

(Dziś, jutro – czas zaczynał mylić mu się już z tym innym, obowiązującym tutaj wymiarem). Chociaż Gina i Victor byli już na tyle duzi, aby zrozumieć, że kina zostawili daleko stąd, nie powstrzymywali Royce'a przed ciągłym dopytywaniem się o kino, a potem w chacie siedzieli w ponurym milczeniu na łózkach z foteli samochodowych albo się sprzecjali, drapiąc skórę swędzącą od ugryzień pcheł. Maureen nigdy nie potrafiła wyjść w bezkres. Szła nie dalej niż za róg bloku z psem albo do skrzynki pocztowej, by wrzucić list. Chadzała nad rzekę, ale nie dalej i niezbyt często. Robiła to wbrew sobie, przekonana, że lepiej nigdzie się nie ruszać i nie ryzykować, że ktoś ją zauważy.

Przyszedł July, aby zabrać ubrania jej rodziny i zanieść je kobietom do prania.

– Mogę to zrobić sama.

Mieli tak mało dobytku, nosili tak niewiele ubrań. Dzieci nie wkładały już butów, nie było mowy o świeżej parze majtek i skarpetek każdego dnia.

On jednak stał tam z miną człowieka, który nie odejdzie, póki nie dostanie tego, po co przyszedł.

– To ja muszę przynoszę tu wodę, nagrzewam i w ogóle.

Tutaj nie mogła liczyć na to, że będzie się starał zrozumieć obcy mu sposób myślenia.

– Czy twoja żona się tym zajmie? Muszę zapłacić.

W jego domu praniem zajmowały się kobiety. Zaśmiał się krótko, robiąc supeł na przygotowanym przez nią zawiniątku.

– Nie wiem, która albo która. Ale zapłacić można.

– A mydło? – Rozważnie korzystała z dużej kostki mydła toaletowego, które suszyła po każdym użyciu i odkładała wysoko na krawędź ściany poza zasięg dzieci.

– Ja zabrałem mydło.

Czy pamiętał, żeby wziąć je z szafki na środki czystości? Nie powiedział. Jego czyste ubrania pachniały mydłem Lifebuoy, które sama im, służącym, kupowała. Może nie chciał się chwalić swoją roztropnością. Zamierzała go o to spytać, ale stwierdziła, że nie potrafi tego zrobić.

– Zapłacę.

Banknoty były tu jedynie kawałkami papieru. Nie reprezentowały w jej oczach lodówki pełnej mrożonego

mięsa i kostek lodu, gazet, kanalizacji. Za drobniaki z szafki nocnej tutaj nic nie dało się kupić. Jednak dla mieszkańców osady Julya pieniądze nie były bez znaczenia. Kiedy ona lub Bam, będąc całkowicie uzależnieni od miejscowych, dawali im te kawałki papieru, gdyż nie mogli oddać nawet ubrań tak pożądanym przez ubogich, wieśniacy chowali banknoty do szmacianych zawiniątek i dziwnych pomarszczonych woreczków noszonych przy ciele. Potrafili połączyć abstrakcyjny symbol z konkretną rzeczą. July i jemu podobni – wszyscy zdrowi mężczyźni wyjeżdżali do pracy – przysyłali te papierki od bardzo dawna. Przez piętnaście lat (czyli siedem urlopów) July przywoził różne przedmioty, na które można je było zamienić, takie jak rower kupiony mu przez Bama na wyprzedaży albo szklane różowe filiżanki z supermarketu.

Chata żony Julya, jego własna chata, chaty trzech czy czterech innych rodzin spokrewnionych z ich rodziną, kraal na kozy, zagródki dla kurcząt zrobione z cienkich gałązek wetkniętych na krzyż w ziemię, chlew dla świń otoczony płotem z mieszaniny organicznych i nieorganicznych elementów – kolczastych aloesów, poobijanych kołpaków wyjętych z wraków aut, pogiętych arkuszy blachy, cegieł z suszonego błota – a także chata, w której trzymano należące do rodziny sprzęty – to były dostępne na co dzień obiekty i cechy krajobrazu. Przechodziła między nimi niezdolna ani do pracy, którą zajmowali się jedni, ani do beczynności, w której trwali inni. Miała z sobą książkę, gruby tom w miękkiej okładce, który chwyciła, uciekając z domu. Kupiła go lata temu, ale nie miała kiedy przeczytać – może czekał na taką właśnie okazję. Było to *I Promessi*

Sposi Manzoniego przełożone jako *Narzeczeni*. Nie chciała zaczynać lektury, bo nie wiedziała, co mogłaby robić po jej zakończeniu. Nie miała żadnej innej książki. Wreszcie przezwyciężyła własne tabu (jeśli wstrzyma się od czytania, wkrótce znajdą wyjście z sytuacji; jeśli weźmie się za lekturę, wciąż tu będą, kiedy skończy), wystawiła z chaty krzywy taboret, który July przyniósł „dla dzieci”, i zaczęła czytać. Nie była jednak w stanie przenieść się tam, dokąd prowadził ją tekst, i odnieść złudnego wrażenia, że jest w innym czasie, miejscu i życiu. Przecież faktycznie znalazła się w innym czasie i miejscu, w innej świadomości, która rozpierała ją tak, jak wydechane powietrze rozpiera wnętrze balonu. Nie była już tą samą osobą co dawniej. Żadne fikcyjne dzieło nie mogło równać się z tym, czego, jak się okazało, nie wiedziała, nie wyobrażała sobie i nie mogłaby odkryć, odwołując się do własnej wyobraźni.

Nie mieli niczego.

W ich domach niczego nie było. Na początku. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegało się, co wisi na ścianach. W chacie żony Julya – falista linia szerokich białych i ochrowych pasów materiału. W innych – nie wiedziała, czy ci ludzie, którzy przez cały dzień niczym jaskółki znikali w ciemności, by zaraz pojawić się z powrotem, powitaliby ją przyjaźnie – mignęło jej namalowane koło, jakby oko albo tarcza. W jednym z domostw, do którego ją zaproszono, zobaczyła zwierzęcy ogon, czaszkę gryzonia i wysuszone jelita wiszące pod strzechą. Zwykle w chatach wisiały małe lustreczka, które chwytały promienie światła jak łuski głodnych ryb podplływających pod powierzchnię wody. Nic się w nich nie odbijało. Wrażenie, jakiego doznała na widok

rzeczy tak banalnej, tego fabrycznego, seryjnego produktu, sprawiło, że odwróciła się, jakby przemówił do niej ktoś z tamtego dalekiego świata. Natomiast gdy ponownie weszła do chaty, w której trzymano jarzmo i postronki, odkryła insygnia podobne do wojskowych orderów wiszące na gwoździu po lewej stronie od ciemnego wejścia. Odznaczenie z namalowanym czerwonym krzyżem było zmatowiałe od wilgoci i tkwiło przylepione brudem do tynku zrobionego z nawozu i błota, który stopniowo je pochłaniał. Litery wyryte na mosiężnej płytce wypełnione były rdzą. Miała przed sobą jeden z medalionów, które wręczano czarnym górnikom po zdaniu egzaminu z opatrywania ran, jakie można odnieść pod ziemią, a także odznakę rangi górnika, najwyższej, jaką mógł zdobyć jako czarny. Te odznaczenia należały do kogoś z kopalni. Ktoś z osady pojechał do kopalni złota i wrócił do domu z tym trofeami. A może został zwolniony. Gdzie był teraz? W tej chacie nikt nie mieszkał. Wcześniej była jednak zamieszkiwana, ktoś trzymał w niej swój dobytek i wywiesił na widoku swoje skarby. Odszedł lub zmarł – został zapomniany, a może właśnie upamiętniony przez odznaczenia, które pozostawiono – czy też specjalnie umieszczono – w tej chacie. Górnicy rekrutowali się z podobnych osad od bardzo dawna, niemal od samego początku istnienia kopalni. Odczytała napis na mosiężnej płytce: MŁODSZY NADZORCA.

Sztygar ma brygadę, która zdobywa poważanie i pnie się w górę. Jest dumny ze swojego młodszego nadzorcy. Niektórzy z tymczasowych robotników rekrutowanych z kraali i chat nieustannie odnawiają swoje dziewięcio- czy

osiemnastomiesięczne kontrakty, odkąd Mój Jim pracuje w Zachodnich Prowincjach, gdzie dorastają jego córki marzące o karierze baletnicy.

Biała uczennica przechodzi przez ulicę przy skrzyżowaniu, wokół którego mieszczą się sklepy. Żuje gumę i porusza się w rytmie letniego, popołudniowego zgiełku. Obok niej idzie kobieta w wieku, który dla czarnych nadchodzi po końcu młodości, a kończy się, gdy ich masywne, nieskrępowane piersi i pośladki wypełniają ołowiany ciężar, zaś dobre mięsiste nogi zwalniają tempo i stają – to starość. Czarna kobieta także żuje gumę. Ma wełnianą czapkę zsuniętą na jedno ucho, a na głowie niesie tornister z niebieskim napisem wykonanym amatorsko od szablonu: MAUREEN HETHERINGTON. Wchodzi już niemal na przejście, kiedy światło zmienia się na czerwone, a wówczas biała dziewczynka chwyta ją za rękę, by ją zatrzymać, i tak stoją ze złączonymi dłońmi, swobodne i rozluźnione, w oczekiwaniu na zielone światło. Wreszcie przechodzą razem na drugą stronę. Lydia niemal nie musi podtrzymywać ciężkiego ładunku na głowie. Muska go tylko dłonią, tak jak się poprawia kapelusz. Widać je, jak idą przez skrzyżowanie, mijają sklepy i skręcają w skrót wiodący przez veld (później będą tam tereny przemysłowe, fabryka metalowych puszek i wytwórnia czipsów), kierując się do kopalnianego sektora Mieszkań Małżeństw. Domy sztygarów znajdują się za ośrodkiem rekreacyjnym, w którym odbywają się zajęcia z baletu. Lydia ma klucz do tylnych drzwi domu – żona sztygara, Mojego Jima, przez cały dzień pracuje w biurze sprzedaży nieruchomości. Nasz Jim czyści buty i wykonuje prace w ogrodzie. Lydia ma czas

dla siebie – zajęcia domowe urozmaica sobie częstymi przechadzkami do sklepów. Kupuje bochenek chleba czy krochmal albo po prostu spotyka się i rozmawia z innymi czarnymi, którzy także wyszli po sprawunki. Maureen często ją tam widuje, gdy wraca ze szkoły. Lydia się jej spodziewa – być może wychodzi z domu o takiej godzinie, by natknąć się na Maureen wysiadającą ze szkolnego autobusu. Gdy już się spotkają, nie spieszą się. O tej porze dnia jest gorąco. Lydia siada na tornistrze dziewczynki i kontynuuje rozmowy, które prowadziła, zanim ją spostrzegła, Maureen idzie zaś do sklepu u Greka i kupuje coca-colę, którą wypijają razem z jednej puszki, a jeśli ma więcej pieniędzy, bierze jeszcze gumę albo czekoladę. Lydia podrzuca tornister, w którym jest bluza, buty na WF oraz mnóstwo książek, i ustawia go sobie na głowie. Czasami chichoczą, gdy połączy je jakaś tajemnica. „Lydia, ale nie mów nikomu”, mówi Maureen (przyjechawszy ze szkoły z chłopakiem na rowerze zamiast bezpiecznie autobusem). „Kochanie, jak ja mogłabym się wygadać? Przecież jesteś moją prawdziwą przyjaciółką, prawda?” Niekiedy Lydia jest w złym, krytykanckim nastroju. Złorzeczy głównie na „tych ludzi”: kobiety, z którymi posprzeczała się o zakłady w fafi*, albo członków jej regulowanego skomplikowanymi zasadami etycznymi „klubu”, do którego co miesiąc wpłaca się część pensji, by każdy na przemian mógł otrzymać zapomogę złożoną ze składek wszystkich członków.

* Fafi – gra popularna wśród południowoafrykańskich kobiet polegająca na obstawianiu liczb na podstawie treści snów (przyp. tłum.).

– Ta baba! Szwagierka Gladys – ona trzyma pieniądze – ale ja jej mówię, skoro je trzyma, czemu nie wpłaca jak każdy? Czemu ma swój miesiąc, a ja tracę?

Później jej zły humor kieruje się na dziewczynkę i Lydia zaczyna rozpamiętywać dawne przewinienia.

– Maureen, wiesz, że ojciec będzie się gniewał, jeśli znowu zgubisz tę rzecz jak poprzednim razem!

(Chodziło o latarkę z traperskiego zestawu, który trzymał w garażu. Obiecała, że ją przyniesie do szkoły na jasełka, bo potrzebny był reflektor).

– Maureen, dlaczego zabierasz poduszki z łóżka i dajesz je brudzić kolegom na trawie? Twoja matka na mnie nakrzyczy, jak zobaczy te ślady w praniu, psie łapy, wszystko.

– Nie martw się, kochana, powiem mamie, że pies przyszedł i sam wskoczył na łóżko. Wszystko odłożę na miejsce, przyrzekam – mówiła Maureen, przymilnie obejmując Lydię za szyję jaśniejszą niż reszta jej skóry. (A jak Lydia wyglądała nago? Była bardzo pruderyjna w sprawach ciała i jego biologicznych funkcji, nigdy nie pokazała się rozebrana bardziej niż do nylonowych pantalonów, czasem zaś, gdy uniosła ramię, można było zobaczyć nagą pachę o bladopurpurowym odcieniu). Jej szyja pachniała prasowaniem i smażonymi rybami, czuć też było zapach stóp pocących się w plastikowych klapkach. Pulchna szyja i trzy „naszyjniki”, wdzięczne linie młodej kobiety. Miała dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat.

Pewnego popołudnia zostały sfotografowane. Zobaczyły przy sklepach fotografa, który chodził wokół nich na ugiętych nogach, szukając dobrego kadru, kiedy przekraczały ulicę. Gdy skończył robić zdjęcia, podszedł i spytał, czy nie mają nic przeciw temu, że je sfotografował. Lydia zaraz przejęła kontrolę nad sytuacją. Położyła ręce na biodrach, nie zaburzając równowagi niesionego na głowie ciężaru.

– Ale musi nam pan wysłać zdjęcie! Chcemy mieć zdjęcie.

Obiecał, że wyśle, i raz jeszcze wycelował w nie obiektyw, kiedy ruszyły w swoją stronę. Nie zanotował adresu – Mieszkania Małżeństw 20, Kopalnie Złota Prowincji Zachodnich – jak więc mógł przysłać zdjęcie? Wiele lat później ktoś pokazał je Maureen Smales w wydanej przez „Life” ilustrowanej książce o RPA i jej polityce. Światopogląd i styl życia białego herrenvolku. Cudowne zdjęcie białej uczennicy i czarnej kobiety trzymającej na głowie tornister.

Dlaczego Lydia nosiła jej tornister?

Czy fotograf rozumiał, co widzi, kiedy przechodziły razem przez ulicę? Czy książka, w której umieszczono je w określonym kontekście, daje odpowiedź na to pytanie – odpowiedź, której ani ona, ani Lydia nie znały i nad którą się nie zastanawiały, złączone uczuciem?

Czas w osadzie, przynajmniej dla Bama, dzielił się w przybliżeniu na dni pracy i dni odpoczynku. Nie istniała trzecia kategoria – wynalazek przedmieść, zorganizowane próżnowanie, chyba że można by do niej zaliczyć rozmowy przy piwie, które zaczynały się w sobotni poranek i z przerwą, na sen trwały aż do niedzielnej nocy. Uczestnicy zabawy podchmielonymi głosami śpiewali jakieś hymny i chodzili w kółko z małymi flagami w ręku przypominającymi zielono-białe proporczyki, które wierni z Kościoła Syjonu* przynoszą na swoje obrzędy na pustych placach miast – może było to niedzielne zgromadzenie wyznawców, a alkohol sprawił, że mężczyźni i kobiety zaczęli z wolna tańczyć, każde na swym własnym spłachetku pylistej ziemi. Maureen rozpoznała szybkie trajkotanie i barytonowy śmiech Julya, który wypełniał swoją osobą całą przestrzeń. W drugą sobotę, którą spędzali w osadzie, Bamowi zaproponowano, by napił się piwa, a on przyjął zaproszenie. July interweniował zaraz, przynosząc dla niego kubek, podczas gdy inni pili z glinianego garnka, który podawano z rąk do rąk i łapczywie przechylano. Bam został na tyle długo, by nikogo nie urazić. Mężczyźni namawiali go do picia, droczyli się z nim, rzucając żartobliwie groźne spojrzenia, i udawali podziw, kiedy dawał do zrozumienia, że smakuje mu ich trunek. July chodził między nimi i brylował, opowiadając jakąś anegdotę z życia tego

* Chrześcijański Kościół Syjonu – największa instytucja religijna w RPA, Kościół o charakterze synkretycznym powstały w 1910 roku i skupiający około pięciu milionów wiernych (przyp. tłum.).

człowieka, gościa, cudzoziemca, który dawniej był jego pracodawcą.

Bam wrócił do chaty z ogłupiałym wyrazem twarzy człowieka, który pełen dobrej woli bierze udział w jakimś wydarzeniu, choć nie rozumie ani słowa. Kukurydziany alkohol działał jak środek nasenny. Oboje wciąż mieli niejasne odczucie, że powinni omówić sytuację, porozmawiać. Jak się stąd wydostać? Dokąd jechać? Ale on wciąż zajmował się cysterną albo dziećmi – dzieci nieustannie kręciły się w pobliżu, tak jak dzieci czarnych, które zawsze towarzyszyły rodzicom. Teraz zaś chciało mu się spać, chociaż chwilowo dzieci wyszły na dwór zafascynowane dwoma bębnami z beczek po oleju obciążonych krowią skórą. Z wielkim poświęceniem grał na nich niestrudzony młody chłopak, który od czasu do czasu zapadał w drzemkę – zmieniał się wówczas jego oddech – lecz mimo to wciąż nieprzerwanie, delikatnie uderzał w bęben jedną pałeczką, by po chwili przyspieszyć i rozbudować wybijany rytm.

– Rano przyłapałam Royce’a na podcieraniu się kamieniem.

Bam leżał rozciągnięty na ich wspólnym żelaznym łóżku, na którym żadne z nich nie miało miejsca, by się obrócić. Nie otworzył oczu, lecz jego odsłonięta przepona zapadła się, gdy westchnął z rozbawieniem. Łóżko zaskrzypiało.

– I dobrze, że się tego nauczył. Papieru już ci przecież nie wystarczy na długo.

Fakt, trudno było skłonić dzieci do zakopywania papieru toaletowego razem z odchodami. Ubrudzone kałem strzępki roznosił wiatr i pożerały je śwynie, co było obrzydliwe. Miała wrażenie, że papier toaletowy to jedna z nielicznych przydatnych rzeczy, które udało im się spakować. Czego też oni nie zabrali (nie wspominając nawet o torze wyścigowym, który przemycił Victor)! Znalazła przyrządek do odcinania metek z pralni chemicznej, tak by nie połamać sobie paznokci. W osadzie odkryła też wiele innych rzeczy dawniej należących do niej: małą szlifierkę do noży, która stała w kuchni przydzielonego przez kopalnię domu, zanim kupiła nową, czy nożyczki w kształcie bociana z ostrzami w miejscu dzioba, które zobaczyła w ręku Julya po tym, jak skarcił staruszkę za przycinanie paznokci u stóp jego dziecka za pomocą brzytwy. Te przedmioty, tam, daleko, należały kiedyś do niej. Musiał je zwędzić dawno temu. Co jeszcze zabrał przez te wszystkie lata? A przecież był bardzo uczciwy – gdy znalazł centa podczas mycia podłogi, odkładał go na szafkę nocną. Nigdy niczego nie zamykali, nawet barku. Gdyby zrzędzeniem losu nie trafiła do tej osady – szansa jedna na milion, która ziściła się wskutek powolnego mielenia młynów historii i zemsty – nigdy nie zauważyłaby braku różnych przedmiotów. To, czy ktoś jest uczciwy, zależy po prostu od tego, ile o nim wiemy.

Bam i Maureen nie pozbyli się nabytego podczas niebezpiecznej podróży nawyku, by wypowiadać się zwięźle i rzeczowo. Rozmawiali głównie o decyzjach, których jedno z nich nie chciało podejmować bez porozumienia z drugim. Bam nie postrzegał środków przeciwmalarycznych, których nie zapomniała Maureen, jak rolek błękitnego papieru.

– Może powinniśmy zachować je dla dzieci?

Wydzieliła mu tabletkę i sama też zażyła jedną bez popijania, przelękając wiele razy, by pozbyć się gorzkiego smaku w ustach.

– Co by się z nimi stało, gdybyśmy umarli na malarię?

Często zapadała między nimi cisza, kiedy jedno z nich czekało, aż drugie ujmie w słowa to, co być może trzeba powiedzieć.

Bam był dobrej myśli. Powiedział znużonym tonem:

– Zaopiekowaliby się nimi. On by się nimi zaopiekował. A w końcu ktoś by przyszedł.

– Kto taki?

– „Kubańscy”.

Zaczęli się przekomarzać i śmiać. Zawsze na odległość podziwiali Fidela Castro, białego burżuja, któremu udało się przeistoczyć w rewolucjonistę.

– Rosjanie...

– Ile opakowań jeszcze mamy?

– Chyba ze sześć.

– Dobry Boże. Masa tabletek! – wymruczał Bam niskim, miękkim głosem. Powstała między nimi intymna atmosfera zastępująca czułe wyznania. – Przewidywałaś, że zostaniemy tu na długo?

– A nie zostaniemy?

Radio, na którym polegali, milczało przez dwadzieścia cztery godziny. Zapewne toczyły się walki o kontrolę nad stacją nadawczą. Później, bez słowa wyjaśnienia, wznowiono emisję. Gdyby czarnym się powiodło, z głośników ryknęłyby wojskowe marsze, wygłoszono by triumfalne przemówienie, nadano krajowi nową nazwę. Donoszono jednak tylko o raketowym ataku z użyciem wyrzutni RPG 7 na johannesburski wieżowiec Carlton Centre i zajęciu mieszczącego się w nim pięciogwiazdkowego hotelu przez siły czarnych.

Przysiadła na jednym z samochodowych foteli. Nie miała pilniczka. Często, tak jak teraz, oglądała swoje połamane paznokcie i drutem, cierniem czy czymkolwiek, co było pod ręką, usuwała spod nich paski brudu.

– Kiedyś myślałam sobie, że chciałabym zobaczyć, gdzie on mieszka, i pojechać z nim do jego domu na wycieczkę. Wiedziałam, że nigdy do tego nie dojdzie.

– Tak... Jedna z tych rzeczy, o których myślisz, że fajnie byłoby to kiedyś zrobić. Wówczas to było właściwie nierealne.

– Nie na tej zasadzie. – Zamilkła; on również się nie odezwał. – Wiesz, taki wyjazd można było połączyć z twoją wyprawą myśliwską. Zorganizować go w czasie ferii. Zabralibyśmy sprzęt kempingowy, przenośną lodówkę... Co ja sobie myślałam?

Poprawił się w łóżku, szykując się do snu.

– Weszlibyśmy, niosąc dla nich prezenty, a wszyscy stanęliby w szeregu i klaskali z wdzięczności.

Powiedzielibyśmy dzieciom: to jego dom, on tak żyje, patrzcie, jak zmyślnie July stawia swoje chaty. W domu opowiadalibyśmy wszystkim, że zawieźliśmy go do samej osady i gościliśmy u niego jak u przyjaciela.

Nagle, na krawędzi snu, Bam przypomniał sobie, jak wybiegali z domu w pośpiechu i zamieszaniu. Tabletki na malarię...

– Skąd wzięłaś taki zapas tych pigułek? Przecież w szafce w łazience na pewno nie mieliśmy ich tyle.

– Ukradłam je. Wyszabrowałam z apteki. To było wtedy, gdy napadnięto na sklepy.

Ostatnim, co zobaczył, nim zapadł w sen, była jej twarz nachylona nad nim i nieświadomie zmarszczona, z matriarchalnym wyrazem poczucia obowiązku, który wypełnia się bez pytania i bez zastanowienia. Gdyby wówczas zwrócił na to uwagę, spostrzegłby, że tak samo na Maureen patrzyła żona Julya w chacie kobiet. Zbudził się, słysząc warkot silnika.

– Maureen, co ty wyprawiasz!

Usiadł zaskoczony, chwytając równowagę.

Ale żona była w chacie razem z nim. Krzyknął do niej:

– Ktoś stroi sobie żarty! Victor, niech go szlag! Dałaś mu kluczyki?

– Ja? Ja ich w ogóle nie miałam.

Na niepewnej wysepce istnienia, w łóżku, nie mieli miejsca, by się atakować. Dygotali, chwiali się, panujący w chacie mrok falował między nimi, rozbijał się o nich. Wybiegła.

Ruszyła biegiem tam, gdzie stał samochód, zawsze, nawet wtedy, gdy go nie widziała. Odjeżdżał. Jechał skokami, lecz po wyjechaniu z opuszczonej chaty kierowca stopniowo nabierał pewności siebie i prędkości, tocząc się po wydeptanej przez bydło ścieżce. Dostrzegła w sfoferce dwie głowy, kierowcy i pasażera. Kiedy wróciła do chaty, Bam już sobie przypomniał. Powiedział do niej i do siebie:

– July dostał kluczyki. Chciał coś tam zamknąć... jakieś części do roweru. Jego żona rozdaje je ludziom.

– Ktoś inny prowadził.

– Ale to on.

– Nie wiem. Widziałam tylko dwie głowy.

Bam wstał. Emanowała z niego groźna samczość, która przejawia się w mężczyznach, nim superego zapanuje nad budzącym się ze snu ciałem. Pod zmiętymi spodniami rysował się kształt sztywnego penisa. Wyszedł, by obejść wszystkie chaty jedną po drugiej. Kilku mężczyzn spało, by nabrać sił przed kolejną piwną sesją. Żadna z napotkanych kobiet nie mówiła językami, które znał. W głowie dudniło mu uporczywe bicie bębnow. Jego synowie zmęczeni oglądaniem niestrudzonego perkusisty i bawili się wózkami zrobionymi z drutu przez czarne dzieci, które wymienili za samochodziki z wyścigowego zestawu Victora. Dzieci połamały samochodziki i pozabierały ich kawałki, traktując

je jak cenne przedmioty, tak jak to robią ludzie, którzy nic nie mają i cieszą się posiadaniem nawet rzeczy bezużytecznych.

– Cześć, tato!

Bam starał się wyjaśnić, o co mu chodzi, grupie pijących mężczyzn. Zadawali sobie wzajemnie pytania, sprzeczali się, aż wreszcie jeden z nich, który znał kilka słów po angielsku, choć nie mówił w afrikaans, rzekł, że July „odjechał”. Dokądś. Z kimś. Ktoś inny dodał po angielsku:

– On nie mówił. My nie wiemy.

Uznał, że go zrozumieli. Nie mógł zapytać ich o to, czego naprawdę się obawiał i czemu chciał, by zaprzeczyli. Było to bowiem tak niezwykle, że nie mogło się wydarzyć – tak jak przybycie do osady Bama i Maureen Smalesów z małymi dziećmi. Snuć przypuszczenia i obawiać się można jedynie tego, co się poznaje z biegiem lat. Podobno w Rodezji podczas wojny partyzanci torturami zmuszali ludzi do współpracy. Biali Skauci Selousa postępowali tak samo. Bam nie potrafił od nikogo wydobyć odpowiedzi: czy Julya nie porwał przejeżdżający patrol? Czy ktoś nie dowiedział się o nim, nie zabrał go na przesłuchanie, zmuszając przystawionym do głowy pistoletem, aby oddał samochód białego człowieka?

Fakty, które przeczyły takiej wersji wydarzeń, nie uspokajały go w dostatecznym stopniu. Gdyby rzeczywiście tak się stało, dlaczego nie przeszukano całej osady? Dlaczego wszyscy nadal pili piwo i się bawili? Dało się słyszeć głośne

słowa i wrzawę, ale były to wyłącznie wybuchy śmiechu i jazgotliwe, nużące opowieści upijających się ludzi.

Nie było dokąd uciec. Nie mieli jak odjechać. Maureen mógł powiedzieć tylko tyle, że to był July. July.

- Nie ma go w osadzie.
- Kiedy dostał kluczyki?
- Po prostu dostał.

Nie mieli sobie nic więcej do dodania ani do zarzucenia. To July przewodził w podróży, byli na jego ziemi. Wiedział, jak najlepiej postąpić.

- Nie chodziło tylko o schowanie jego rzeczy. Powiedział, że chodzi też o narzędzia.

July najwyraźniej dobrze znał swoich krewnych. Kiedy z Bamem używał narzędzi samochodowych do naprawienia brony, kilka osób także chciało je pożyczyć, ale July wiedział, że nigdy ich nie oddadzą.

Maureen wiedziała, gdzie stawiać stopy, i szła chwiejnie po twardym klepisku. Przez chwilę łapała równowagę, by nie upaść. Usiadła na fotelu samochodowym i zaczęła wybierać ciernie ze swetra swojego dziecka, układając je starannie na kupce, by nikt nie skaleczył sobie o nie stopy.

Julya nie było – pozostali tylko we dwoje. Czuł pokorę wobec Maureen, widział jednak, że ona nic podobnego nie odczuwa wobec niego – czy naburmuszeniem reagowała na strach?

Wstała, zebrała ciernie i poszła wrzucić je do gorących węgli paleniska przed chatą. Starannie dopilnowała, by wszystkie się zajęły. Należała do osób obchodzących się z własnym „ja” niczym z elektrycznym przyrządem, który może poranić człowieka, jeśli użyje się go w niewłaściwy sposób. Nie chodziło o strach, ale świadomość, że wstrząs, przepaść pod stopami jest czymś, z czym trzeba się zmagać w samotności i tylko w samotności można go uniknąć.

Bam chciał zawołać dzieci do środka, ale nie wiedział, jak wyjaśnić, czemu uznał, że to konieczne, i nie był pewny, czy ona też by tak stwierdziła. Gdyby spytała: „Dlaczego?”, co by odpowiedział? Miał broń – ona pamiętała, by spakować papier toaletowy, on – żeby zabrać broń, strzelbę kalibru dwanaście. Leżała schowana w strzesze nad ich głowami, w pomieszczeniu, w którym tak naprawdę nie dało się niczego ukryć. Czy dla strzelby białego człowieka było miejsce w osadzie ludzi, którzy przyjęli ich do siebie, nie pytając, na jakiej podstawie oczekują dachu nad głową, jedzenia i schronienia?

Gdyby wyciągnął strzelbę i zabił, czy byłoby to działanie w celu uchronienia się przed wszystkim, co mogło ich spotkać wraz z ustaniem ochrony Julya? Jestem jak dziecko z kapiszonowcem – chciał powiedzieć na głos.

Tymczasem prawdziwe dzieci same wróciły do chaty. Były głodne. Maureen podeszła do Bama i bez słowa wyjęła mu z kieszeni nóż z otwieraczem do konserw. Zobaczył, jak daje im kielbaski wieprzowe, które wyciąga z ostatniej pozostałej im puszki jak zatyczki zrobione z wilgotnego różowego korka. Chłopcy porwali je i zaczęli się sprzeczać,

komu ile się należy. Gina nie zwróciła uwagi, gdy ją zawołano; wreszcie jednak weszła statecznym krokiem starej kobiety, jakim chodzą czarne dzieci nawykłe do noszenia braci i sióstr niemal tak dużych jak one same. Do tułowia pozbawionego jeszcze piersi przytroczone miała niemowlę. Widać było, że czuje się bardzo ważna. Usiadła po turecku i poprawiła brudny ręcznik, w którym przyniosła dziecko. Gdy zaproponowano jej kielbasę, pokręciła głową, całkowicie otumaniona poczuciem obowiązku albo własnymi fantazjami. Zapewne wcześniej najadła się *pap*. Bam i Maureen wpatrywali się w nią zafascynowani. Jej intensywnie niebieskie oczy jaśniały w masce brudnej twarzy. Czerwona ziemia wżarła się w jej stawy i plamiła kostki palców u rąk i stóp, a biały meszek popiołu pokrywał niewidzialny jasny zarost na jej nogach. Brud nie był nawet w połowie tak widoczny na czarnych dzieciach jak na białych.

– To dziecko powinno natychmiast wrócić do mamy.

Gina odpowiedziała, naśladowując spokojny, rozsądny ton matki:

– Dlaczego?

– Bo małe dzieci nie lubią, być zbyt długo oddzielone od mam.

– On lubi.

– Skąd on jest? Z której chaty?

– Gina, z której chaty?

– Nie wiem.

Chłopcy ciekawie, bez większych emocji śledzili napiętą, wymianę zdań, zlizując z brudnych palców tłuszcz po kiełbaskach. Patrzyli, jak ich rodzice zbliżają się do członka ich stada: ojciec podszedł do ich siostry i nachylił się nad nią stanowczym ruchem.

– No, dalej, zabierzemy go do domu.

Gina wykręciła się i kreśląc łokciami zygzaki, usiłowała wyrwać się z jego uchwytu. Zabrzmiały krzyki i podniesione głosy dorosłych. Niemowlę uniosło jedną powiekę – drugą szczelnie skleił sen – ale nie zaniepokoiło go, że ktoś nim szarpie i potrząsa. Nagle w wejściu pojawiła się patykowata postać i znieruchomiała niepewna, czy może wejść. Gina zawołała groźnie:

– Przyszła Nyiko! Przyszła Nyiko!

Do chaty wśliznęło się czarne dziecko i obie małe dziewczynki zachichotały, przykrywając usta dłońmi. Czarna rozwiązała ręcznik i przewiesiła go przez ramię, po czym wypięła twardą pupę i posadziła sobie na niej małe dziecko, jakby była wielbłądem.

Chłopcy spostrzegli, że ich mama, wspaniałomyślnie łagodząc konflikt, zamierza oddać zbierającej się do wyjścia czarnej dziewczynce jedną z ich kiełbasek.

Maureen wyciągnęła kiełbaskę nabitą na czubek noża. Zanim dziewczynka ją wzięła, w geście podziękowania złożyła dłonie jak do modlitwy, po czym otworzyła je – dwie miseczki.

Maureen oddała mężowi nóż bez wycierania.

– Gdyby tylko nasze dzieci przejęły od tamtych dobre maniery razem ze zwyczajem smarkania w palce i załatwiania się, gdzie popadnie...

Bam schował nóż, przyjmując tę uwagę jako znak, że konflikt został zawieszony.

Troje dzieci zaczęło się bawić w niekończącą się grę wzajemnego dręczenia. Ponieważ Gina położyła się na ich wspólnym łóżku z foteli samochodowych, przerwali zawody w rzucaniu na wiatr kurzych piórek, a zaczęli spychać ją z fotela na klepisko. Mężczyzna i kobieta nie byli w stanie zareagować na hałasy i padające z obu stron skargi dzieci – nawet w ciasnocie obskurnej chaty nie potrafili przestać myśleć o jednym. Ich niepokój wzrastał i karmił się harmidrem. Bam położył się na łóżku. Maureen usiadła na taborecie w wejściu. Od czasu do czasu wstawiała i podchodziła do łóżka. Spoglądali na siebie.

– Chcesz się położyć?

Było to *non sequitur*, tak jak herbata, którą wzięła z cennych zapasów i zaparzyła na piecyku parafinowym.

Nie było powodu, by spodziewać się Julya w dającym się przewidzieć czasie. Wyszła na zewnątrz i spojrzała w stronę pozbawionej dachu chaty skrytej wśród obrastających ją drzew, tak jakby to było leże jakiegoś zwierzęcia, które opuściło swoją jamę. Wszystko wyglądało tam dokładnie tak jak wówczas, gdy samochód wciąż jeszcze stał na miejscu. Bam, leżąc na łóżku, spoglądał na zegarek, ale ona wiedziała, że mierzenie czasu nie ma tutaj sensu. Gdy na busz spod czarnego sufitu burzowych chmur padło

głębokie, sine światło zachodzącego słońca, nie potrafiła jednak zdusić dręczącego niepokoju. Kończył się dzień. Obserwowała sawannę. Była jak kot przed mysią norą. – nic nie znaczyła wobec tego przestworu.

Gdy Bam zamknął oczy, ujrzał przed nimi otwór wejścia podobny do białego płomienia palnika. Kiedyś mógł otworzyć oczy i zobaczyć śnieg, śnieg i figurki niezdarnych ludzi szczelnie okutanych ciepłymi ubraniami. Kanada. Przez pięć lat zdążyliby się tam ustawić. Wszystkie mięśnie jego dużego ciała jeden po drugim napięły się w duszącym uścisku. Gdyby nie ona... Nie pamiętał już, czy sam chciał jechać, czy zostać, ale jej wola oplotła go i rozdwajała, a przy tym utrzymywała w całości, tak jak dzikie figowce w buszu rozszczepiają i zarazem scalają głazy. Chwycił radio i pokręcił gałką wśród piekielnych trzasków, ryków dżungli, wysokiego pisku stworów z oceanicznych głębin.

– Niech to diabli!

Wróciła i stanęła nad nim. Ściszył odbiornik i znów podjął poszukiwania kanału.

– Nic tam nie ma. Marnujesz tylko baterię.

Nagle na sekundę, przez przypadek albo ogarnięty wściekłością, przekręcił gałkę głośności do maksimum – Maureen podskoczyła – po czym wyłączył radio i odstawił je na bok.

– Dlaczego nikt z białych, którzy znają tutejsze języki, nie jest taki jak my? To zawsze ludzie, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do wyższości białej rasy. Gdybyśmy

mogli rozmawiać... – Kiedy była przygnębiona, jej głos stawał się mrukliwym głosem Giny.

– Nie doszukuj się tu ukrytych znaczeń. Nie teraz, proszę. Nie zniósłbym tego. Biali w biurach przepustek i urzędach pracy przez cały czas musieli się stykać z czarnymi i znajomość jakiegoś afrykańskiego języka była po prostu wymaganą kwalifikacją zawodową, to wszystko. Bez tego nie dostaliby pracy.

– Po co właściwie ten wykład? – spytała. On zaś nie spostrzegł, że mówił o tamtym życiu w czasie przeszłym.

– Po prostu nie chcę zaczynać dyskusji, czy nie żyliśmy złudzeniami. Jeśli w naszym życiu były kłamstwa, to były.

– Ja mówię o pragmatyzmie, nie o „znaczeniu”. *Fanagalo* byłoby dużo bardziej sensowne niż balet.

Sztygar Jim posługiwał się *fanagalo*, murzyńskim pidżynem, *lingua franca* kopalń, którego słownictwo ograniczało się do rozkazów wydawanych przez białych i odpowiedzi udzielanych przez czarnych. Dawno temu, po ślubie z liberalnym mężem, Maureen wstydziła się ojca, gdyż rozmawiał ze swoimi „chłopcami” w dialekcie, który wykształceni czarni, niemający nic wspólnego z kopalniami, uważali za zniewagę dla ich kultury. Teraz on, jej mąż, musiał się borykać z jej wstydem tamtego wstydu.

– Gdybyśmy wyjechali pięć lat temu, powiedziałbyś mi, że uciekliśmy. Zostaliśmy, żyliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy. Przetrzymaliśmy – Powoli, sztywno pokręcił głową, jakby miał na szyi pętlę: popatrz tylko, jak skończyliśmy.

– Nie, nie przetrzymaliśmy, tylko nas przyłapano. – Nie odpuszczała. Może to ona trzymała w ręku sznurek. – Tak jak wtedy, gdy opowiadasz historyjkę, zgodnie z którą jesteś taki mądry i ważny, a nagle ktoś przyłapuje cię na kłamstwie. Hmm? Wszyscy słuchają: „Zasiadałem w jury” – to wtedy, gdy pojechałeś do Buenos Aires na ten międzynarodowy konkurs architektoniczny. Wystarczy rzucić parę znanych nazwisk innych jurorów i już nie trzeba się rozwodzić nad własnym prestiżem. „Większość z nas nie znała hiszpańskiego, więc debatowaliśmy po francusku” – i już wiadomo, że na pewno nie masz z francuskim żadnego problemu. „Każdy z nas nominował własnych kandydatów, a potem przedstawiał argumenty przemawiające za swoją propozycją”... Słuchałam cię za każdym razem, słuchałam uważnie. Kiedy ktoś spytał, jakich przedstawiłeś kandydatów, nie potrafiłeś udzielić odpowiedzi. Nie pamiętałeś! Musiałeś improwizować. Bo tak naprawdę ważna dla ciebie była ranga wydarzenia, fakt, że zaproszono cię do jury. Popierałeś kandydatów wybranych przez kogoś innego. I się wydało. Przyłapano cię. Nie wykręcaj się, widziałam to, wszyscy to widzieli.

– Nigdy w to nie wierzyłem, ale to prawda – jesteś zazdrosna. Mój Boże. Wiesz, co mi to przypomina? Kiedy byłem z Maszą, pojechaliśmy raz do jej rodziców na kolację. Jej matka wstała na chwilę, żeby przynieść chleb z kuchni, a ona powiedziała do mnie: „Musisz wiedzieć, że kocham Jana” – nie pamiętam, jak miał na nazwisko, był Polakiem. „Spałam z nim dziś po południu”. Powiedziała to tam, przy stole. Przy ojcu, tyle że on był głuchy. – Spojrzał na wierzące się, niczego nieświadome dzieci. Zachichotał

krótko, jak zszokowany. Maureen skrzywiła usta, oglądając to widowisko. Jej mąż mówił dalej napiętym, pełnym agresji głosem. – Wy, kobiety, jesteście cholernymi tchórzami. Odwaga okazywana na podłodze pick-upa to co innego. Dobrze wiecie, kiedy można sobie na nią pozwolić. Bóg mi świadkiem, że wiecie. Gdy w grę wchodzi „szczerłość”.

– To wszystko jest żalotne i tyle. – Jej głos dobiegł z miejsca, w którym siedziała na klepisku odwrócona plecami do Bama, rękami oplatając podkulone nogi. Patrzyła, jak las niknie w ciemnościach, które okazywały się coraz gęstsze, ilekroć spojrzała w dal.

– A co do cholery chciałybyś zrobić? Wezwać Supermana, żeby je zabrał? – Bam szeroko rozpostartymi rękami wskazał dzieci, które znały Supermana z serialu. – Tak, wiem, dałem mu te pieprzone kluczyki.

– Dlaczego nie chcesz przyznać, że ta ucieczka była szaleństwem? Dlaczego? – Poczul na twarzy kropelki jej śliny i przez chwilę wydawało mu się, że zaraz w skórę wbiją mu się jej paznokcie i oboje padną na ziemię, okładając się pięściami w strasznym uścisku, który był im dotąd obcy. Wypluła jadowicie: – „Chciałaś jechać”. Robisz to, co ja chcę, żebyś nie musiał ponosić odpowiedzialności?

– O czym ty mówisz? Ty chciałaś dostać się na wybrzeże.

– Tak, chciałam, dopóki nie zaproponował nam przyjazdu tutaj! Ale ty potrafisz odwracać kota ogonem! To kurewsko nieznośne.

– Nie udawaj, Maureen. Nie staraj się wymyślić sobie od nowa. Sama mnie o to oskarżasz. Nie musisz wpisywać się w jakąś „sytuację” do sprzedania gazetom, kiedy to się skończy. Od chwili gdy wsiedliśmy do wozu, wszystko działo się z minuty na minutę. Daj sobie spokój. Zostaw to.

Dzieci zasnęły tam, gdzie leżały. Ostrożnie rozplatał je z pozycji, w jakich ułożyły się podczas zmagania – okrutna rączka Giny spoczywała obok zaczerwienionego, wymiętoszonego ucha Victora, chłopiec zaś leżał z brudnym, pociętym ścieżkami łez policzkiem na amulecie, którym była wydarta siostrze wielka agrafka z nawleczonymi koralikami i kawałkiem skóry. Ojcowskie gesty zajęły miejsce apatii matki, którą w Maureen wywołało narastające napięcie. Światło parafinowej lampki padło na nagromadzone śmieci. Zostawiła je i wyszła. Upał był ciemnością, ciemność upałem, księżyc i gwiazdy się dusiły. Busz, który wszystko skrywał, sam był ukryty. Brzęczenie owadów spychało na dalszy plan zlewające się w jeden dźwięk śpiewy, krzyki, łomoty, nieustające dźwięki życia mieszkających razem ludzi. Jedną z najdziwniejszych rzeczy w tym miejscu było to, że z nadejściem ciemności ustawała wszelka ludzka aktywność. Tylko jednej nocy – w sobotę – niektórzy wciąż jeszcze chodzili pomiędzy swymi śpiącymi sąsiadami i zwierzętami. W mroku (gdy w wyobraźni odsunęła się od niego, wzleciała ponad ciemność jak orzeł nabierający dystansu do ziemi) blask ognia towarzyszącego zabawie wyglądał jak mała latarka zapalona pod kocem wszechświata.

Upał i mrok zaczęły się rozplýwać i musiała wrócić do chaty. Nie było tu rynsztoków. Deszcz miękko, bezgłośnie

padał na strzechę. Bam przysunął do łóżka taboret i postawił na nim parafinową lampkę. Czytał jej książkę, *Narzeczonych*. Padało po raz pierwszy, odkąd przyjechali. Stara strzecha pociemniała i zaczęła bezsilnie przepuszczać wodę, która ciekła po smukłych łądygach trzciny, kapiała i ciurkała. Do chaty wpełzły i wleciały insekty. Ożywiła je wilgoć, która zmoczyła suchy kokon ścian i dachu, w jakim tkwiły. Maureen wiedziała, że światło przyciąga owady, ale Bam nie gasił lampki. Dobrze znała karaluchy, które latały po pomieszczeniu i odbijały się od jej twarzy, ale były tam też przerośnięte szarańcze o lśniących tłustych korpusach z wyraźnie zaznaczonymi pierścieniami, które nie chciały zdechnąć, nawet gdy tłukło się je butem raz za razem, bryzgając żółtą mazią. Leżało ich potem mnóstwo w kałużach na podłodze i podrygiwały szczeciniastymi nogami.

Przenieśli dzieci do łóżka, by nie spały zbyt blisko mokrego klepiska. Sami usiedli na fotelach samochodowych, a lampka, roztaczając zapach gorącej parafiny, syknięciami odmierzała czas. Bam już nie czytał, lecz nie zdmuchnął płomienia: byli ludźmi w szpitalnej poczekalni we wczesnych godzinach świtu, którzy nie patrzą na siebie. Wreszcie śmiertelne zmęczenie pozbawiło go świadomości – w taki sposób zasnąć może człowiek na pół godziny przed tym, jak zbudzić go ma pluton egzekucyjny. Póležał na fotelu ze zwisającymi nad ziemią nogami. Nie wiedział, że jego żona zgasła lampkę ani że deszcz nasilił się, a potem zelżał. Maureen wyszła. Noc stała blisko przy jej twarzy. Deszcz siąpił z ciemności. Wiedziała tylko, gdzie jest wejście do chaty. Zdjęła koszulę, a potem jednym ruchem spodnie i

majtki, podpierając się o ociekającą wodą ścianę z gliny. Trzymając ubrania z daleka od błota, wystawiła się na deszcz, który ciekł po jej twarzy, piersiach i plecach, zraszał całe jej ciało. Obracała się, jakby stała pod prysznicem. Wkrótce temperatura jej skóry zrównała się z temperaturą deszczu. Zauważyła, że wrócił jej wzrok, i ujrzała coś, co wyglądało jak odbicie płomienia odległej świecy w szybie zalewanej deszczem. Płomyk się przemieszczał, a może tylko jego obraz poruszał się w szklistych falach wody. Na pewno jednak istniał – obiekt zawieszony w ciemności nasączonej deszczem. Tam, gdzie go widziała, musiało padać słabiej. Nagle dostrzegła dwa blade poruszające się promyki. Przesuwały się powoli, a ponieważ pomiędzy nią a światłami nie było widać nic innego, wyglądały jak zawieszony na niebie. Nagle wróciło jej poczucie kierunku i zrozumiała, skąd i dokąd suną – wbiła pinezkę w przestrzeń pozbawioną mapy. Patrzyła w stronę skąpanej w deszczu i pogrążonej w ciemności ruiny domu. Samochód wracał do wioski. Nagle punkt, który zaznaczyła w umyśle, zgasł. W pozbawionej dachu chacie wyłączono światła i silnik pick-upa.

Gdyby nie deszcz, jego słowa dotarłyby do niej z drugiej strony doliny – był gadatliwym człowiekiem, lubił raz jeszcze przeżywać drobne wydarzenia i delektować się swoimi dokonaniem, kiedy na przykład palił nagromadzone w ogrodzie śmieci albo porządkował sprzęty w kuchennych szafkach. W ciemności nie poruszała się żadna latarka – dobrze znał drogę, mimo że deszcz zgasił nawet żar palenisk.

Weszła z powrotem do chaty. Nie zdjęła przemoczonych espadryli, bo nie chciała nadepnąć bosą nogą na owada. Po

omacku dotarła do sterty brudnych ubrań, które Bam zdjął z dzieci, i wytarła się nimi, po czym włożyła wymacany w ciemności sweter i zasnęła na fotelu samochodowym, tak jak zasypia człowiek wyłowiony z wody w ciepłe koca, którym otulił go ratownik.

Jej mąż pompował piecyk parafinowy. Był boso, miał na sobie płaszcz. Pewnie był się wysikać. Rozlegały się ściszone dźwięki poranka. Przez ostatnią godzinę dzieci pokasływały we śnie – był to ten sam rodzaj kaszlu, który nieustannie słychać u potomstwa czarnych. Płachta w wejściu była odrzucona i Maureen widziała srebrzyste kreski deszczu. Bam zalał wrzątkiem wczorajszą herbatę i czekając, aż napar z odzysku naciągnie, wziął radio (potajemnie obserwowany) i zaczął kręcić gałką z bezradnym uporem inteligentnej małpy, która bada palcami kłódkę na zamku swojej klatki. Z głośnika popłynął czysty, łagodny głos. Maureen natychmiast się poderwała i usiadła sztywno wyprostowana.

Bam siedział nachylony nad czarną skrzynką odbiornika. Popatrzył na żonę, spojrzeniem nakazując milczenie.

„... kilka rakiet typu SAM spadło na miasto po ataku raketowym, który miał miejsce w piątek w nocy... Najbardziej zniszczony został budynek firmy ubezpieczeniowej Prudential, uszkodzony został także zjazd z autostrady wschód-zachód, co spowodowało wstrzymanie ruchu samochodowego... żołnierze z kompanii inżynieryjnej pracowali całą noc... próba przejęcia studia telewizji SABC w Auckland Park została udaremniona przez oddział komandosów pod dowództwem pułkownika Mike'a Hoare'a, weterana walk przeciw miejskiej partyzantce w Zairze i innych państwach afrykańskich... transmisja radiowa także

została przerwana, lecz dyrektor SABC nie wydał jeszcze żadnego oświadczenia na ten temat...”

Maureen ponownie wśliznęła się pod koc. Nie powiedziała nic o samochodzie, który znów był tam, gdzie się go spodziewała. Wyciągnęła rękę i Bam podał jej lurowatą, gorącą herbatę w różowej filiżance. Przepłukała usta cierpkim taninowym wyciągiem. Nieświadomie skrzywiła się w grymasie, jaki towarzyszy pierwszemu łykowi dobrej whisky.

– Musiało być ostro.

– A co spodziewałaś się usłyszeć?

Pił herbatę, obejmując filiżankę obiema dłońmi. Intensywny zapach mokrej trzciny i zaduch chłodnej, wilgotnej chaty otulały ich i rozleniwiały.

– „Tu Radio Azania” – powiedziała cicho.

– Naprawdę tak sądziłaś?

– Sama nie wiem. – Mówiła niewyraźnie, wspierając na złożonych w wieżyczkę dłoniach okrągły, tłusty od snu nos.
– Ale tak czy inaczej, czy to nie byłoby niezwykle... naprawdę usłyszeć...

Czekał na pytanie: czy wtedy by wrócili? Uciekli od walk ulicznych, niebezpieczeństw czyhających na ich dzieci, konieczności obrony własnego życia w imię ideałów, których nie podzielali, w zdewastowanym białym społeczeństwie, w które nie wierzyli. Wracać? Natychmiast? Jak by ich przyjęto? Sytuacja, całkiem odmieniona, na pewno by się uspokoiła. Musieliby na to liczyć. Belgowie wrócili do

Konga. Część białych Rodezyjczyków pozostała w Zimbabwe Mugabego. Niektórzy z portugalskich przyjaciół Smalesów powrócili do Maputo, które przestano nazywać imieniem Lourenca Marquesa – postanowili zacząć żyć w nowy sposób. Maureen nie chciała jednak zadawać pytań o powrót, bo rozważanie odpowiedzi zakładałoby między innymi posiadanie auta. Zatrzymała dla siebie wieść o tym, że samochód wrócił – czuła się do niej na swój sposób uprawniona i nie widziała korzyści w dzieleniu się tą wiedzą. Każdy sobie. Nie kierowała nią złośliwość, kiedy postanowiła nie uwalniać od razu Bama od niepokoju dręczącego ich od zeszłego popołudnia, który znów miał powrócić – do niego, lecz nie do niej – kiedy minie ulga, jaką odczuli, wysłuchawszy w radiu złych wiadomości. W jakimś momencie mu powie. I nie będzie tolerować jego pytań, skąd wie – przemilczy to, że zdjęła ubrania w deszczu w środku nocy, tak jakby to było wystąpienie podczas psychodramy. On już zdążył posłać jej pytające spojrzenie – „co jest grane, do licha?” – kiedy wstała i zobaczył jej nagi brzuch oraz brązowe włosy łonowe pod ściągaczem swetra. Była jak karykatura nęcącej modelki z pisma porno albo, tak, raczej jak jedna z kobiet na burdelowych rysunkach Toulouse-Lautrecka, które oglądali razem w Europie. Zanim nadeszła chwila, w której zamierzała mu powiedzieć (założyła drugą parę dżinsów, gdyż poprzednie wciąż były mokre, zapięła sweter i już była ubrana), od strony wejścia dobiegł głos Julya. Spojrzenie Bama było jak wyrzucone w górę ręce – odwróciła oczy, a Bam zapewne w tej krótkiej chwili zrozumiał, że wiedziała o powrocie Julya. Przyłapaną – tym razem ona.

– Mówicie, mogę wejść?

Miał zwyczaj pukać do drzwi z pytaniem: „Mówi, że mogę wejść, panie?”, lecz oduczili go mówienia „panie” i poprosili, by używał powszechnego grzecznościowego zwrotu „proszę pana”. Miał przy sobie narzędzie drewna przykryte podartą torbą po nawozie sztucznym. Im rzecz jasna nie przyszło do głowy, żeby wnieść trochę drewna pod dach, kiedy zaczęło padać.

– Zróbcie dzisiaj mały ogień w środku, idzie trochę zimno. – Royce zbudził się od własnego kaszlu. – Tak, widzicie.

Dziecko rozbudzało się stopniowo, patrząc na niego bez zaskoczenia spokojnym wzrokiem: zrzuciwszy miejski plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, zamienił się w znajomą postać pochyloną nad jakąś pracą, z głową bliżej ziemi niż odziana w drelich pupa. Bez zwłoki zaczął układać palenisko.

Bam go nie przywitał. Maureen ze zdumieniem dostrzegła na jego białej twarzy stary, sardoniczny, wyzywający wyraz białego pana.

– A gdzieś to wczoraj bywał? Co się stało?

July nie odrywał się od pracy, z którą radził sobie bardzo sprawnie. Trzask łamanych gałęzi, szelest rozprostowującej się kulki papieru (tu nie było szuflady pełnej starych gazet – rzeczy bez wartości trzeba było używać oszczędnie), słowo lub dwa do Royce’a, by nie wychodził z łóżka.

– Krótka zrobi miło i ciepło, idzie miło przy ogniu.

– Niepokoiłiśmy się. – W słowach Maureen zawierało się niewypowiedziane pochlebstwo: „o ciebie”.

– Dokąd pojechałeś? – Bam chciał dać Julyowi szansę na wytłumaczenie się.

– Do sklepów.

Wyprostował się i otarł dłonie o spodnie.

Do sklepów! Tak jakby właśnie wrócił z zakupów w warzywniaku za rogiem, wysłany po butelkę mleka. Najbliższy supermarket znajdował się co najmniej czterdzieści kilometrów od osady. Był tam także posterunek policji. Przy prowadzonym przez Hindusów sklepie na pewno stał także dystrybutor paliwa.

Bam, lawirując między minami słów, powiedział ostrożnie:

– Kto prowadził auto?

– Jeden człowiek prowadzi dla mnie. On raz pracuje w Bethalu dla nabiału, jeździ ciężarówką. On zna bardzo dobrze prowadzi dla mnie. Mam parafinę, sól, herbatę, dżem, zapalki, wszystko. Jak kończy padać, wy idziecie ze mną, zabieracie stamtąd. – Poklepał kieszeń, w której miał kluczyki.

– Miałeś pieniądze? – Maureen wiedziała, że na pewno nie dostał się do wciąż pokaźnego pliku banknotów napuchniętych jak stronicie książki, która na przemian schnie i wilgotnieje. Leżały ukryte w walizce, na której siedziała Gina zła na wszystkich i niepomna świata wokół siebie jak zwykle o poranku.

– To piętnaście randów trzydzieści pięć. – Zwykle w taki sposób, łącznie z centami, oznajmiał, ile trzeba mu oddać, kiedy zapłacił ze swoich pieniędzy listonoszowi pod nieobecność pani domu.

– Bam, musimy zapłacić Julyowi. – Przegoniła Ginę z walizki.

– Zapłacimy, zapłacimy. Czy ktoś cię widział? To znaczy, czy ktoś coś mówił? Zadawał jakieś pytania? Co się tam dzieje?

July uśmiechnął się i rozbawiony prychnął piskliwie, co robił zwykle, gdy pytano go o coś, co uważał za oczywiste.

– Wiele ludzi mnie zna. Ja tu urodził, nieprawda? Każdy mnie powita.

– Czy tam panuje spokój? Nie toczą się walki?

Zaśmiał się.

– Ale mówią, że w kopalni duże kłopoty. Ludzie z kopalni przychodzą do domu, nie chcą zostają, mówią, że pali, domy, wszystko. Jak w mieście. A Hindus robi coraz wysokie ceny. To nie ma albo tamto nie ma. Cukier... Nawet zapalki – trzeba walczyć, żeby dostać.

– Co to za kopalnia?

Bam odpowiedział:

– Jakies sześćdziesiąt kilometrów stąd w przeciwnym kierunku, na zachód, jest kopalnia azbestu. Przypuszczam, że zatrudnia się w niej wielu miejscowych.

– Kilku żołnierzy było do sklepu, mówią, zeszły tydzień. Hindus uciekał, jak ich widzi.

– To kto teraz prowadzi sklep?

– Nie – odparł July rozbawiony – żołnierze poszli, Hindus wraca. On jest tam, tam, w sklepie.

Mały Royce wyskoczył z łóżka i chwycił się jego uda. Wspierał się o nie zdezorientowany, jakby cofnął się do niemowlęctwa. Wsadził sobie kciuk do ust i popatrzył na rodziców, pochylając głowę w geście jakiegoś niezrozumiałego sprzeciwu. Czarny mężczyzna podniósł go i zaniósł do łóżka. Do rodziców rzekł przyjaznym głosem:

– Zaraz jak deszcz maleje, wołam. Przysyłam kogoś, wy przyszli. – Założył płaszcz i pogmerał w kieszeniach. – Wziąłem dla was. – Wyciągnął rękę. Na jego otwartej dłoni leżały dwie małe baterie do radia.

– Och, cudownie. Jak to miło, że pamiętałeś. – Słyszał, jak wypowiadała to zdanie, kiedy przyjaciele przynosili jej kwiaty albo czekoladki. Uśmiechnął się i zakołysał lekko tak jak oni.

– Wy teraz znowu miło posłuchali.

Tym teatralnym gestem zakończył odwiedziny i wyszedł.

Popatrzyła na baterie w swoim ręku i uśmiechnęła się na myśl o dobrych intencjach Julya. Niestety, nawet nowe baterie nie przywróciłyby głosów z tamtego świata, gdyby trafiono w stację nadawczą.

– Połóż je gdzieś, gdzie jest sucho.

Sucho było tylko w walizce, ale nawet na niej widać już było plamy wilgoci ciągnącej od ziemi, na której leżała.

– Dobrze byłoby znaleźć parę cegieł, żeby ją na czymś postawić.

Cegły były bardzo cennym towarem. W każdej chacie stawiano na nich łóżka. Gdzie też Bam chciał znaleźć cegły? Wymyśliła inne rozwiązanie.

– Poproś Julya.

Nabrała wprawy w przygotowywaniu owsianki. Było to danie, które mała społeczność osady wytwarzała własnymi siłami z samodzielnie wyhodowanego zboża i ziaren rozgniatanych przez kobiety w wielkich drewnianych stępach. Kasza wyglądała raczej jak kawałki pokruszonej żółtej porcelany niż sypki miał sprzedawany w sklepach, ale mimo to smakowała lepiej niż owsianka z opakowań. Każdy to wiedział – grubo zmielone ziarna można było dostać w sklepach ze zdrową żywnością, a z miodem i masłem jadali je fani dobrego odżywiania. Sól! W końcu będzie sól. Tego właśnie brakowało. Teraz będzie mogła solić wodę do gotowania.

Wielu czarnych widziało go na pewno pod sklepem w posiadaniu żółtego samochodu.

– Pojawił się tam, jak gdyby nigdy nic.

Mieszała jedzenie gęstniejące w garnku ustawionym na palniku parafinowym. Trzymając w ręku łyżkę, z której skapywały kawałki owsianki, popatrzyła na Bama,

zastanawiając się nie tyle nad jego słowami, ile nad tym, jak można mu pomóc.

– Dżem będzie w sam raz. Łyżka dżemu do jedzenia... – Zamieszala owsiankę, jakby postanowiła zamknąć temat i skupić się na czymś innym. – Przywiózł sporo rzeczy.

Nadarzyła się okazja, by poprosić Julya o zwrot kluczyków, lecz jej nie wykorzystali.

Stojąc w słońcu południa, przyglądali się, jak w pobliżu opuszczonej chaty żółty pick-up zawraca, skacze w przód i znów zniemacka rusza w tył, wreszcie gwałtownie hamuje. Za kierownicą siedział July. Kolega uczył go jeździć.

Po wielu dniach deszczów wszystko parowało – roślinność, strzechy, wilgotne koce o najróżniejszych wzorach i barwach rozwieszane na każdym krzaku i paliku, który mógł wytrzymać ich ciężar. Tam, w mieście, życie na łasce żywiołów było czymś zupełnie nieznanym. Człowiek dygotał, nie miał suchych ubrań na zmianę. Wypełniające chatę dymem palenisko stanowiło centrum świata. Dzieci, kury, psy, koty podchodziły do niego na tyle blisko, na ile pozwalała im na to ich pozycja w hierarchii istnienia. Dzięki palenisku jedzenie było gorące, owsianka bulgotała na przezroczystych od żaru szczapach drewna, a krew zaczynała żywiej krążyć w żyłach. Bamowi i Maureen brakowało papierosów, wina i innych trunków, ich dzieci pragnęły słodczy. Jednak w czasie deszczowych dni małe palenisko zaspokajało wszystkie potrzeby.

Rozmigotane blaski w rozgrzanym powietrzu podążały za samochodem jak stado trzepoczących skrzydłami ptaków. July robił postępy.

Gdy lekcja dobiegła końca, July i jego kolega kucnęli przy aucie. Byli zbyt daleko, by dało się określić, co właściwie robią. Na pewno rozmawiali – July był

pobudzony, chętny do rozmowy jak każdy, kto nabywa nowej umiejętności. Kiedy wracając przez dolinę, zbliżył się do osady na tyle, by móc rozpoznać pojedyncze osoby i samemu zostać rozpoznanym, pomachał wesoło.

– Nigdy bym nie pomyślał, że on jest gotów zrobić coś takiego. Zawsze zachowywał się tak poprawnie. – Bam zamilkł na moment, by się upewnić, że dotarła do niej absolutna trafność użytego przezeń słowa. – Nie był roszczeniowy, ale też sobie nie pobłażał. Żył w równowadze pomimo wszystkich nierówności, wszystkich tych rzeczy, których nie mogliśmy naprawić. A także tych, które pewnie mogliśmy...

Maureen poczuła ucisk w gardle z wdzięczności.

– Gdyby nie on, nie mielibyśmy szans.

Jej mąż się uśmiechnął: fakt, ale kluczyki to inna sprawa.

Ona zresztą temu nie zaprzeczała. Przywoływała tylko fakty, walutę, której wartość skorygowano. Tutaj nie tylko banknoty nie mogły zapewnić tego, czego brakowało.

– Dałbym mu kluczyki w każdej chwili. Sam nauczyłbym go jeździć, ale mnie nie poprosił. No dobrze, ktoś musi nam dostarczać zapasy.

– Dopóki mamy pieniądze.

– Pieniądze! Wyjedziemy stąd z mnóstwem pieniędzy. – Nawykowo wszedł w rolę mężczyzny, który wykazuje inicjatywę i nad wszystkim panuje, z kartą kredytową albo książeczkę czekową pod ręką. Nie spojrzała na niego, nie

skomentowała fakt, że został pozbawiony wszelkich środków.

July machał beztrosko. Przyszedł, niosąc im naręcze drewna. Wciąż jeszcze było tak wilgotne, że gdy przed chatami zapłonęły jednocześnie wszystkie paleniska, całą osadę wypełniła błękitna mgiełka. Bam odezwał się przyjaznym tonem:

– Nie powinieneś się nami przejmować. Mówiłem ci, sami narąbamy sobie drewna. Nie powinieneś tego robić.

– Kobiety przynoszą drewno. Widzicie cały czas, kobiety robią. – Była to sprawa, o której nie było sensu rozmawiać. July był rozentuzjasmowany nowo nabytą umiejętnością prowadzenia samochodu. – Pan wie, ja już zakręcam? Znam, jak jadę w tył, wszystko. Kolega mnie uczy bardzo ładnie.

– Widziałem. Nie mówiłeś, że będziesz się uczył jeździć. Nigdy nie powiedziałeś, że chciałbyś się tego nauczyć.

– W mieście? – Uprzejmie umniejszał własne zdolności albo przypominał, że byli świadomi tego, iż zna ograniczenia własnej pozycji.

– Tu. Tutaj.

Nachylił się i osłonił usta dłonią, by powiedzieć coś w zaufaniu.

– Niedobrze ktoś inny jeździ auto, nieprawda? Dużo lepiej ja sam prowadzę.

– Jeśli cię złapią bez prawa jazdy...

Roześmiał się.

– Kto mnie łapie? Biały policjant ucieka, kiedy czarni żołnierze teraz przychodzi. Czasem go zabierają, nie wiem. Nikt nie może mnie spyta, gdzie moje prawo. I nawet moja przepustka. Nikt więcej nie może spyta, to już koniec.

– Ja jednak wciąż się obawiam, że ktoś może zacząć nas szukać, kiedy zobaczy pick-upa.

– Pick-upa? Wie pan, ja powiem, dostałem od pana w mieście. Samochód mój. No i co mogą powiedzieć?

Bam zaczął łysieć, kiedy miał dwadzieścia kilka lat. Na skórze jego wysoko wysklepionej głowy pozostał tylko bezbarwny, przejrzysty meszek podobny do resztek wyczesanej wełny. Oczy miał niebieskie – przypominały oczy Giny jaśniejące w brudnej buzi.

– Naprawdę jest twój, July?

Wszyscy troje roześmieli się z ożywieniem.

– Oni mnie słuchają. Muszą zgodzą, jak powiem, biore od pana.

Pod wpływem nagłej fali gwałtownych emocji, która zdawała się płynąć do niej wprost z czubka poczerwieniałej głowy Bama, Maureen postanowiła wycofać ich wszystkich z tego grząskiego gruntu.

– Martha dała mi coś, co ma pomóc dzieciom na kaszel. Robi ten wyciąg z ziół, a w każdym razie pokazywała mi jakieś rośliny, które gotuje.

July wywrócił oczami.

– Co? Ona to pani daje? To niedobre. Niedobre.

– Ale ona to daje dziecku. Twojemu dziecku. Właśnie przy tej okazji mogłam jej wyjaśnić, że potrzebuję czegoś podobnego dla Royce’a i Giny. Royce nie przestaje kaszleć nawet w nocy, chociaż się nie budzi.

Na jego twarzy zamigotały hamowane emocje: zdenerwowanie na żonę, irytacja spowodowana odpowiedzialnością. July nie był prostym człowiekiem, nie potrafili go rozgryźć. Zнали go już od piętnastu lat, lecz wówczas jego skrytość składali na karb sytuacji zależności – jego zależności od nich.

– Ten lek jest niedobry dla Royce’a. Pani nie daje to dla Royce’a. Pani już to daje?

– Nie, zamierzałam podać dziś wieczorem. Sądziłam, że może to jest coś na sen.

– To... No, wie pani, to nie jest coś dla białych ludzi.

Uśmiechnęła się, jakby chciała zakomunikować, że nie powinien być tak naiwny.

– July, przecież twoje dziecko to dostaje. Nie mów mi, że to jest szkodliwe.

– Co one wiedzą, te kobiety ze wsi? Wszystko wierzą. Kiedy chory, wy posyła mnie do szpitala w mieście. Kiedy wy mnie widzą, biorę taki afrykański lek?

– No dobrze. Ale nawet w mieście niektóre leki na kaszel wytwarza się z roślin. To mogłoby pomóc. Nie mam nic innego.

– Jak ja znowu jadę do hinduskiego sklepu, próbuję kupić.

Bam krótko uciął tę akademicką dyskusję:

– Tam nie będzie lekarstw, może co najwyżej tabletki od bólu głowy.

– Nie, July ma rację, jakiś syrop na kaszel powinni mieć. Pomyśl, jakie ci wszyscy ludzie ze wsi muszą mieć problemy z płucami, żyjąc w takich warunkach. To możliwe.

– Royce ma ciepło w nocy? Może przynoszę koc od siebie z domu.

Odmówiła, kręcąc głową i uśmiechając się, a zaraz potem powiedziała tonem stwierdzenia raczej niż prośby:

– Położę gumową matę z samochodu na klepisko pod jego łóżko.

Wyciągnęła otwartą dłoń.

– Chciałem ją zabrać dzisiaj rano, ale miałeś kluczyki. – Bam nie podnosił głosu. Tam, w mieście, nigdy nie krzyczał, by go przywołać. Kiedy biały człowiek miał do przekazania jakieś uwagi krytyczne (Bam starał się patrzeć na siebie ich oczami), całkowicie opanowany wychodził raczej na podwórze i wypowiadał je w drzwiach pokoju Julya, gdzie siedzieli i plotkowali jego znajomi, odświętnie ubrani z okazji wolnego.

– Kto może jedzie do sklepów po rzeczy dla was? Kto może przynosi dla was zapalki, parafinę? A jedzenie dla dzieci? Powiedzcie mi.

– Ależ oczywiście. Oddam ci potem kluczyki.

– Powiedzcie mi.

– Tak, oczywiście, masz rację.

Spojrzał na nią, po czym odwrócił wzrok.

– Jutro jadę, kupię lek dla Royce’a. To dziecko jest chore.

Rozglądał się jeszcze przez chwilę po chacie jak człowiek, który nie pamięta, po co przyszedł. Następnie w jej ciasnym wnętrzu, kierowany jakimiś przypadkowymi impulsami, zaczął przekładać i przesuwając rzeczy według własnego poczucia porządku.

Stali bez ruchu, podczas gdy July wypełnił całe pomieszczenie swymi gwałtownymi ruchami. Nie patrzyli ani na niego, ani na siebie. Nie pozwolili przynajmniej na to, by wyrzucił ich na dwór razem z kurami, które co prawda zostawiały odchody, ale w zamian pieczołowicie wydziobywały insekty żyjące w chacie.

Jego czarny profil, ruch jego oczu, które kierowały się na nich, a zaraz potem odwracały, bolesny grymas szerokich ust przesłoniętych grubym wąsem zdradzał pogardę i upokorzenie, które płynęły w ich krwi, w jego krwi. Cudowność i niejednoznaczność archetypicznego uczucia, które istniało między nimi, była jak rosnący opór żyły, w którą igła wstrzykuje ciecz wbrew życiodajnemu obiegowi krwi. Takie uczucie można tylko zderzać z innymi ludźmi. Nie sposób przeżywać go ani być przez nie karany

w samotności. Nie istniało, zanim Pizarro oszukał Atahualpę; przeżywali je już Dingane i Pięt Retief.

Ciszę przerwały tupania i krzyki dobiegające z zewnątrz. Victor i jego dziecięcy gang biegli do chaty, wołając:

– Wszyscy biorą wodę! Odkryli, że leci z kranu! Każdy ją bierze! Mówiłem, że dostaną straszną burę, ale nie rozumieją. Tato, chodź zaraz!

Czarne twarze jego kolegów rozjaśniało podniecenie na myśl o szykującej się awanturze – dreszcz emocji wywołany obietnicą kary, która ma zostać wymierzona innym.

– Ale to jest ich woda, Victor. Ona należy do wszystkich. Po to właśnie zamontowałem zbiornik.

Chłopiec podrapał się w głowę, rozstawił ubłocone bose stopy i zatańczył cudacznie na piętach.

– Nie, nieprawda, ona jest nasza, nasza! – Jego koledzy, oczarowani przedstawieniem, sami zaczęli odgrywać własne jego wersje.

– Do kogo należy deszcz? – zabrzmiało rozsądne retoryczne pytanie jego matki.

– Jest nasz, nasz.

Przy chłopcu July natychmiast stał się czuły, skory do zabawy, beztroski, chełpliwy.

– Masz szczęście, wiesz, twój ojciec bardzo, bardzo mądry człowiek. Idzie dużo deszczu, teraz każdy nacieszy

zbiornikiem, tak miło łątwo, nieprawda? Widzisz, ojciec robi
każdy-każdy szczęśliwy.

Ale z niego humorzasty sukinsyn.

Słowo to, którego użyła w myślach, nie było wcale zbyt mocne. Czasem, gdy obserwowała, jak Gina zachowuje się wobec Victora i Royce'a, dochodziła do wniosku, że jej córka potrafi być „prawdziwą, małą suką”.

Tam, daleko, dbała o jego komfort. Obawiała się, że go straci i skończy się wygodne życie, które dzięki niemu wiodła; że niedostatecznie bierze pod uwagę jego osobiste problemy, o których nie miała pojęcia i mogła się ich jedynie domyślać, wyobrażając sobie sytuacje, w których raczej nie mógł się znaleźć. Czy on kochał kobietę z miasta? Zastanawiała się nad tym, będąc tutaj. A jeśli tak, czy chciałby ją sprowadzić i zamieszkać z nią na stałe?

Moc humanitarnego kredo (Maureen, jak każdy, uważała swoje własne za ostateczne) zależy od tego, czy intymne relacje między istotami ludzkimi mają charakter absolutny. Jeśli nie wszyscy doświadczają zaspokojenia czy zubożenia emocjonalnego w taki sam sposób, czy można postulować równość potrzeb? Uznanie, że absolut emocji ma charakter otwarty, było czymś niepokojącym i groźnym. Badacze wążący mózgi, ludzie przypisujący sobie boskie prawo określania moralności po stopniu skręcenia włosów, a zdolności myślenia abstrakcyjnego po relatywnej grubości warg, zawsze byli gotowi chwycić się każdego faktu, który mogliby tak przerobić, by potwierdzał ich racje. Ale jak doszli do twierdzenia o absolutnej naturze intymnych związków międzyludzkich? Kto o tym decydował? „My”

(rozważała czasem Maureen) pojmujemy uświęconą moc i prawa miłości erotycznej w taki sposób, w jaki formułuje się je w sypialniach państwa domu, a zarazem w motelach z fałszywymi nazwiskami w księdze gości. Tutaj uświęcona moc i prawa miłości erotycznej kształtują się w chacie żony, a zarazem w pokoju służącego przy miejskim domu. Sposób utrzymywania równowagi między pożądaniem i obowiązkiem zależy – musi zależeć – od pozycji kochanków w systemie ekonomicznym. Wpływa to na sposoby przeżywania doświadczenia erotycznego, a więc i na samo doświadczenie. Absolutna natura, którą ona i jej podobni sprawiedliwie, po równo obdzielali każdego człowieka, nie była niczym więcej niż ceną sypialni i taryfą obskurnego hoteliku.

Trzymała w ręku jeden z glinianych wołków, które uczyła się robić Gina, wystawionych do suszenia na słońcu. Abstrakcje zestalone w konkret: nawet śmierć się kupuje. Jeden ze starszych partnerów w firmie Bama mógł sobie pozwolić na śmierć za cenę prywatnego samolotu, w którym się roztrzaskał. Stara matka Julya (czy ona nie była jego babką?) będzie znosić na głowie do domu drewno i witki na swoje miotły przygięta coraz mocniej ku ziemi, z którą pewnego dnia się połączy – to jedyna śmierć, na którą ją stać.

Maureen miała kluczyki od samochodu, które zatrzymała na noc po tym, jak wyciągnęła z szoferki gumową matę. Słyszała jego głos, jego donośny śmiech, widziała, jak chodzi między swoją chatą a kraalem z kozami. W miejscu, gdzie w każdym domostwie każdego dnia ludzie zajmują się tymi samymi rzeczami, być widocznym nie znaczy jeszcze

zostać dostrzeżonym. Każdy był świadkiem życia innych, co prowadziło do wytworzenia swoistej prywatności. Tylko dzieci trzymały się w gromadzie i poruszały niczym pszczeli rój, który pewnego razu widziała, jak opadł z nieba na drzewo, potem na kolejne i kolejne, aż w końcu na którymś pozostał. Nigdy nie była w jego chacie, lecz Bam był.

– Ma tam różne rzeczy z domu. To taka zaawansowana chata. On nie może żyć tak jak inni.

Mówiąc o domu, Bam miał na myśli dom, który on i Maureen zapewnili Julyowi. Dla Julya były nim żona i krewne.

Rozmyślała nad wizytą w jego domu. Dzieliło ją od niego najwyżej trzydzieści metrów. Pokój Julya znajdował się po drugiej stronie podwórza – machała przyjaźnie do jego przyjaciół i braci nieustannie przychodzących w gości, których widziała przez otwarte drzwi w lecie lub słyszała, jak rozmawiają skupieni wokół dostarczonego przez nią grzejnika w zimie. Za każdym razem, gdy szła do garażu, gdzie stał jej samochód, przechodziła obok tego pokoju. Nigdy tam jednak nie wchodziła poza jednym przypadkiem, kiedy był chory. Zapukała wówczas, a gdy weszła, dotrzymujący Julyowi towarzystwa przyjaciele wstali w geście szacunku z podwracanych skrzynek, na których siedzieli przy starym stole (dla wygody dała mu jedno krzesło, ale nie mogła go przecież zaopatrzyć w meble na wypadek wizyty tuzina znajomych). Na czystym łóżku postawiła tacę z lekkostrawnym jedzeniem, które sama mu przygotowała. Tu, w osadzie, July najwyraźniej traktował własną chatę jako prywatną przestrzeń, której nie dzielił z

kobietami. Ale ona była biała, była kimś, kto go dawniej zatrudniał, istniała między nimi relacja pracy. Z pewnością, miała prawo go odwiedzić. Od dwóch tygodni mieszkała tuż obok tej chaty, a mogłaby spędzić resztę życia, w ogóle nie przekraczając jej progu. Nie miała większej ochoty oglądać swoich niepotrzebnych dekoracji teraz, gdy oddzielały Julya od innych, żyjących po swojemu mieszkańców osady, niż dawniej, kiedy stanowiły barierę odgradzającego od jej stylu życia. Stara zielona kapa z delfinami, syrenami i trytonami nadrukowanymi na obrzeżach na modłę pierwszych map świata czy oprawiony w ramy plakat reklamujący Malagę – być może w swoim pokoju przy domu nie miał tych konkretnych przedmiotów, lecz dostawał inne, podobne. Na pewno wiedział, że kiedy Maureen wręczała mu jakąś nową rzecz, robiła to dlatego, że wydawała się jej tandetna albo brzydka, a to, czego sama wcześniej używała, oddawała mu, gdy w jej oczach traciło wartość. Zatrzymała Royce'a (jego ulubieńca), który właśnie biegł wraz z innymi dziećmi po porcję orzeszków ziemnych należących im się w nagrodę za pomoc przy ich wykopywaniu.

– Zobacz, gdzie jest July.

Syn wrócił razem ze swoją bandą. Położyli się kołem na wilgotnej ziemi i wsparci na łokciach z zachwytem rozłupywali włókniste skorupki fistaszków.

– Znalazłeś Julya?

– Mhm. Jest w chacie.

– Przyjdzie?

– Mówi, że siedzi w domu, nie wychodzi i możesz przyjść.

Siedziała w słońcu, które piekło jej skórę jak rozgrzane żelazko wilgotną, tkaninę. Od wczoraj miała okres. Zgodnie z kalendarzykiem, który pozostawiła na stoliku obok telefonu, zaczął się o tydzień za wcześnie. Zdała sobie sprawę, że zapomniała zabrać jeszcze jednej ważnej rzeczy. W spodniach, między nogami, miała zwitek szmat podobnych do tych, których używały wszystkie tutejsze kobiety podczas menstruacji.

Po cichu, samotnie, w aurze prywatności, którą dopuszcza każda ludzka kultura, udała się nad rzekę, aby wyprać zakrwawione szmaty. Nie myślała o zakażeniu motylicą, kiedy tarła je na kamieniu i patrzyła, jak czas odmierzający kolejny miesiąc wiruje i faluje niczym czerwony dym unoszony z nurtem rzeki.

– Chcesz trochę? – Jej najmłodsze dziecko wciąż pragnęło dzielić się z nią swoimi przyjemnościami.

Czerwone grudki ziemi i pęczki surowych orzeszków tkwiły przyklejone do korzeni rośliny.

– Jeżeli wszystkich nie zjecie, to resztę upiekę. Posypię je solą. Będą lepiej smakować.

– Tak samo jak te w paczkach? Ze sklepu?

– Właśnie tak.

– Ja nie wiedziałem, że tamte też rosna!

Mały chłopiec bębnił palcami stóp o ziemię i mruczał podczas jedzenia – wkrótce przestanie to robić, będzie za duży na to, by z brania różnych rzeczy do ust czerpać przyjemność, jaką odczuwał, gdy ssał sutek. Zdawało się, że rozumie, co mówią czarne dzieci, a na pewno poznał ceremonialny, rytualny żargon ich zabaw. Wykrzykiwał słowa, które znaczyły zapewne tyle co: „Wygrałem!”, „Moja kolej!”, „Oszukujesz!”.

– Idź i powiedz, że chcę się z nim zobaczyć.

Dzieci zerwały się całą gromadą. Wyciągnęła rękę, pod którą przesunęła się czarna głowa pokryta włosami przypominającymi w dotyku czystą sierść owcy. Czasem udawało jej się przywabić jakieś małe, ledwie chodzące dziecko, lecz w oczach większości z nich wyglądała zbyt obco, by można jej było zaufać.

Dzieci nie wróciły. Miała wrażenie, że słyszy jego stłumiony, gardłowy śpiew, jeden z hymnów, które nucił podczas wykonywania powtarzalnych, rytmicznych czynności, takich jak polerowanie lub czyszczenie. Gdy go jednak zobaczyła, szedł ku niej w milczeniu, nie spiesząc się w ciepłe słoneczne dnia. Nie wyglądał na ponurego czy urażonego. Jej mały sukces – nakłonienie go do przyjścia – obrócił się w jej piersi z tętnieniem i pokazał swoje paskudne oblicze. Zdarzało się, że te nagłe poruszenia w jej wnętrzu zmieniały ją z oprawcy w ofiarę swojego męża, dzieci czy kogokolwiek innego.

Odezwała się takim tonem, jakiego używała tam, w mieście, kiedy jakaś domowa drobnostka kolidowała z

biegiem poważnych życiowych spraw, których istoty on by nie zrozumiał. Podniosła się z miejsca.

– Oto kluczyki.

Na mgnienie jego dłonie złożyły się w miseczkę, lecz zaraz cofnął je, po czym dwoma palcami prawej ręki wyjął pęk kluczy z jej dłoni. Głowę trzymał wysoko, jakby starał się wyczuć raczej niż dostrzec, czy Bam jest w chacie. Oboje wiedzieli, że z samego rana wyszedł, by upolować jakieś zwierzę na mięso – rodzina guźców lekkomyślnie podchodziła w pobliże osady, by tarzać się w piachu. July stał z demonstracyjną obojętnością, wobec faktu, że nie może uciec Maureen, gdyż jest sama i spotkali się w cztery oczy. Ona zaś swym postępowaniem komunikowała, że postanowiła odrzucić jego zaproszenie do chaty, gdyż wolała się spotkać w miejscu, w którym nikt nie będzie ich osądzał. Takie subtelne gesty nie były niczym nowym. Ludzie związani jakąś relacją muszą nawyknąć do interpretowania tego, co dzieje się między nimi, bez słów.

– Pani nie podoba, ja muszę trzymam kluczyki. Nieprawda? Widzę cały czas, pani to nie podoba.

Pokręciła głową z rękami skrzyżowanymi na piersiach i niemal się roześmiała, sztucznym sprzeciwem próbując kupić czas na wyjaśnienia.

– Ja widzę. Ale ja robię dla pani pracuję. Jak ja pani chłopak, zawsze mam klucze do domu. Każdej nocy mam klucze do domu w pokoju. Kiedy wyjedziecie na wakacje, ja robię zamykam wszystko... Ja mam klucze od wszystkich waszych rzeczy, nieprawda...

– July, chcę ci powiedzieć...

Dziesięć palców jego dłoni uniosło się jak bariera przeciw temu, co ona sądzi i czego chce.

– W waszym domu, jak coś zgubi, to ja muszę to wiem, nieprawda? Tam wszystkie wasze rzeczy, a ja zawsze mam klucz, zawsze ja.

– July, nie spytałeś mnie...

– Wasz boy, co dla was pracuje. Tam, daleko, wy ufacie jemu boyowi piętnaście lat. – Jego nozdrza były jak twarde czarne dziuple. Absurdalne słowo „boy” padało na nią jak niezasłużone razy, których nijak nie da się uniknąć. Gdzie wynalazł tę broń? Używał jej sztygar; lecz w jej własnym domu nigdy tak się do nikogo nie zwracano – wstydziła się i krytykowała ludzi posługujących się takimi określeniami w jej obecności. Zwracała uwagę sklepikarzom, a nawet policjantom, by ich nie używali.

– Ależ oczywiście, że ci ufaliśmy!

Podeszli do siebie bliżej. Położyła dłoń na jego ramieniu, by wzmocnić siłę swoich słów.

– Nie. Nie. Pani nie podoba, że muszę mam kluczyki.

– July, dlaczego mnie nie spytasz? Mówisz tylko, zamiast słuchać. Czemu nie dajesz mi dojść do słowa? Czemu mnie nie spytasz?

– A co pani powie? He? Co pani może powie? Pani mówi każdemu, ufa swojemu dobremu chłopakowi. Pani dobra, ma dobrego chłopaka.

– Nie mów tak.

– Mówi zawsze miło, płaci grzywny za mnie, kiedy aresztują, a kiedy raz chory, ona zawoła doktora. – Zaśmiał się płaczliwie. – Pani martwi o klucze. Kiedy wy wyjadą, ja pilnuję waszego psa, waszego kota, wasze auto w garażu. Nie mogę zapomnę daję wodę roślinom. Zawsze mówicie nawet w ostatniej chwili niosę bagaże, nieprawda? Czuwaj nad wszystkim, July. I wracacie przywozicie ładne prezenty. Patrzycie wszędzie, czy wszystko jest dobrze. Ja nie mówię, pani zła pani – ale nie ufa mi. – To było stwierdzenie faktu. – Pani idzie za mną. Pani sprawdza. Mówi ja wyjmę, wyczyszczę wszystkie książki, kiedy wy wyjechali. Pani boi, ja nie dość pracuję dla was?

– Jeśli uważałeś, że nie powinnam była cię prosić o odkurzenie półek, to dlaczego nie powiedziałeś mi o tym? Czego się bałeś? Zawsze mogłeś mi o wszystkim powiedzieć. Wystarczyło słowo. Nigdy nie prosiłam, żebyś zrobił coś, co twoim zdaniem nie należało do zakresu twoich obowiązków, prawda? Prawda? Ja także popełniam błędy. Powiedz mi – kiedy potraktowaliśmy cię niesprawiedliwie albo źle? Chciałabym to wiedzieć, naprawdę bym chciała.

– Mój pan – on myśli o mnie. Ale pani nie myśli, ja dorosły człowiek i wiem, co mam robię. Pani myśli, ja nie myślę zawsze o waszym psie, waszym kocie.

– Twój pan? Bam nie jest twoim panem. Dlaczego udajesz? Zawsze uważaliśmy cię za dorosłego człowieka. Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że mówisz o mnie takie rzeczy... Bam zadawał się z tobą przez cały czas przez te piętnaście lat, a nie ja. Razem bawiliście się narzędziami w

warsztacie. Każdego dnia pracowałeś dla mnie. Działałam ci na nerwy. I co z tego? Ty też czasem działałeś mi na nerwy. Tak to już jest między ludźmi. – Zaczęła mówić z większym zapałem. – Ale teraz nie o tym mowa. Tamte sprawy nie mają nic wspólnego z tym, co jest dzisiaj. To koniec.

Jego oczy zamigotały.

– Jak pani może mówi, to koniec?

– Koniec i tyle. Przecież już dla mnie nie pracujesz.

– Wy mi nie zapłacicie w tym miesiącu?

– Zapłacić? – Zapłonął w niej gniew. Teatralna, pretensjonalna uraza Julya przeszła w prostą napaść. – Wiesz, że możemy ci zapłacić tyle, ile płaciliśmy ci do tej pory, ale nie możemy zapłacić za...

– Afrykanie lubią, pieniądze. – Znieważał ją, uniemożliwiając porozumienie na choć trochę wyższym poziomie.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi... Tutaj sprawy mają się inaczej. Nie jesteś służącym.

– Jestem boy przy domu pani, nieprawda? – Demonstracyjnie domagał się należności.

– Dlaczego ciągle mówisz w taki sposób? Przejechałszy sześćset kilometrów. – Zatoczyła ręką krąg, przywołując tym gestem wszystko, co się wydarzyło w buszu. – Jeżeli cię obraziłam i naruszyłam twoją godność, jeżeli tylko mi się wydawało, że okazuję ci przyjaźń, ale zraniłam twoje uczucia... Tak, może nie jestem, nie byłam tego świadoma, choć powinnam być. – Jej ręka zawisła w

powietrzu. Nie wiedziała, czy on rozumie jej słowa. Porzuciła piętnastoletni nawyk tłumaczenia swoich myśli na najprostsze, najkonkretniejsze pojęcia. Jeśli nigdy wcześniej nie użyła przy nim słowa „godność”, to nie dlatego, że jej zdaniem by go nie zrozumiał albo że był pozbawiony godności, ale z tego powodu, że termin ten mógł leżeć poza obszarem języka, którym się posługiwał. – Jeśli cię teraz poproszę o kluczyki, to nie będą to klucze od kuchennego wejścia! Nie trzymasz ich jako służący, rozumiesz? tylko jako przyjaciel. Przyjaciel pożycza i oddaje, a jak znowu czegoś potrzebuje, to raz jeszcze prosi o pożyczenie.

Wyciągnął dłoń z leżącymi na niej kluczykami.

– Pani bierze. To nie klucze od wejścia do kuchni. Piętnaście lat zapracuję dla pani kuchni, pani domu, bo moja żona, moje dzieci, muszę pracuję dla nich. Pani bierze.

– Skoro nie możesz myśleć o niczym innym, tylko o wydarzeniach z przeszłości, to co powiesz o Ellen?

Imię kobiety z miasta padło między nimi jak niewypał, którego nikt nie śmie dotknąć.

– Co się teraz z nią dzieje? Twoja żona i dzieci żyły tutaj, a ty przez te wszystkie lata byłeś z Ellen. Gdzie ona teraz jest? W mieście, gdzie toczą się walki? Ma co jeść, ma gdzie spać? Tak bardzo przejmowałeś się żoną – a co ona by powiedziała na wieść o Ellen?

Natychmiast przerwał swoją sarkastyczną pantomimę. Mógł ją chwycić za ramiona; przekroczyli piętnaście lat ziemi niczyjej, jej słowa pchnęły ich ku sobie i stali teraz naprzeciw siebie jak uczestnicy pojedynku, którzy przez

krótką chwilę czują na twarzy oddech przeciwnika, po czym odwracają się, by odejść na ustaloną liczbę kroków, lub jak spiskowcy na zawsze skazani na to, co o sobie wiedzą. Jej triumf skrył się pod maską otwartości, uległości, był w spojrzeniu oczu – oczu ich obojga – czekających na powrót zdolności widzenia.

Julyem wstrząsnęła uraza i pokusa. Maureen dostrzegła, jak jego szyja się napina, i zrozumiała, że on nigdy jej tego nie wybaczy. Zwycięstwo buzowało w niej jak płomień wewnątrz wypróchniałego drzewa.

Służący odpowiedział uprzejmie na pytanie zatroskanej pani, której w rzeczywistości wcale nie zależy na poznaniu ryzykownej prawdy:

– Myślę, Ellen wraca do domu ciotki w Botswanie. Mała, mała wioska. Taka jak moja. Tam spokój dla czarnych ludzi.

Schował kluczyki do kieszeni i odszedł. Spoglądał na prawo i lewo jak majster, który ogląda, w jakim stanie jest jego warsztat, albo farmer sprawdzający, co trzeba zrobić w gospodarstwie. Zawołał do pracującej opodal kobiety, by coś jej doradzić, zadał pytanie chłopakowi latającemu oponę rowerową i krzyknął do młodego człowieka nadchodzącego z przeciwnej strony doliny. Był to jego instruktor jazdy, z którym prawie nigdy się nie rozstawał, gdyż chłopak chodził za nim jak milczący ochroniarz, w młodzieżowych dżinsach i ze sznurem paciorków po dziewczęcemu zapiętych u nasady smukłej szyi.

Biały mężczyzna obserwował rodzinę guźców brodzących w trawach – gromadka sterczących ogonów – które z popołudnia na popołudnie żerowały coraz bliżej. Widział zady dorosłych sztuk pokryte szorstką szczeciną i jasnymi plamami błota, w którym się tarzały. Byłaby to wspaniała gratka dla turystów odbywających wycieczkę do rezerwatu – drink w dłoni, skrzyżowane nogi, świetny widok z okna klimatyzowanego bungalowu.

W stadzie było pięć warchlaków, dwie dorosłe samice i duży samiec z pyskiem jak stary parowóz i kłami niczym stalowy zgarniacz do usuwania przeszkód na torach. Czarni nie mieli strzelb i bali się tych kłów. Guźce były skupione na jedzeniu i nie wykazywały żadnych szczególnych emocji poza typowym, głęboko zakorzenionym brakiem zaufania dzikich zwierząt do ludzi. Skubiąc trawę, podchodziły coraz bliżej i bliżej do chat. Od czasu do czasu przy chorągiewce ogona wyrastała głowa jednej z loch lub dzika, który po chwili odwracał się i odbiegał szybkim truchtem. Masywne brzuchy świń podrygiwały jak fałdy ciał kobiet w gorsetach. Turyści wybuchali śmiechem na ten widok: brzydota natrzasa się z godności, grubaski biegną baletowym truchtem – co za „urocze” stworzenia.

Bam wyciągnął strzelbę ze zgniłej strzechy i pokazał się z nią wieśniakom Julya. Nie był świadom tego, że każdy już wie o jego broni – dzieci biegające po wszystkich chatach bez żadnych przeszkód jak karaluchy wiedziały wszystko i o wszystkim paplały. Szedł między wieśniakami zupełnie nieszkodliwy – patrzcie, Bam ze strzelbą, nasz człowiek.

Kilka kobiet uśmiechnęło się do niego, większość nie zwracała na niego uwagi. Za nim ciągnął wianuszek dzieci, któremu przewodził Victor – tłukły patykami i się przechwalały. Przesądny July nigdy nie chciał się zbliżyć do broni. Kiedy na podwórzu rozpakowywał myśliwski ekwipunek po powrocie swojego pracodawcy z polowania, z lękiem ostrożnie składał pokrowce ze strzelbami prosto w jego ręce. Może i dobrze – w ten sposób niczego nie upuścił i nie uszkodził. Przyjaciel Julya, chłopak z paciorkami na szyi, wykazywał natomiast zainteresowanie bronią, tak jakby orientował się w tych sprawach. Chciał potrzymać strzelbę. Bam pokazał mu, jak się mierzy do ruchomego celu, i objaśnił sposób ładowania nabojów.

– Czy kiedykolwiek strzelałeś?

Młody mężczyzna pokręcił głową, a inni zaśmiali się z ignorancji białego człowieka.

– Czytam o tym. – Czyta. A więc ten były mleczarz zna trochę angielski. Przeglądał gangsterskie komiksy, a może miał podziemną ulotkę o posługiwaniu się bronią? Takie ulotki przez ostatnie dziesięć lat krążyły po kraju i pojawiały się w najbardziej nieoczekiwanych, odległych rejonach. Władze okazywały je jako dowód działań wywrotowych przy każdym politycznym procesie czarnych. Lecz cudowne poczucie wolności wynikające z bezsilności (która miała się niebawem zakończyć wraz z opuszczeniem osady) sprawiło, że Bam poczuł się beztrosko.

– Kiedyś dam ci spróbować. Jak się nazywasz?

– Daniel.

Chłopak wycelował w siebie trzymaną przez Bama strzelbę. Lufy patrzyły prosto w jego oczy – te dwa błękitnawe, nieskazitelnie gładkie stalowe tunele, w których wirowały jasne blaski, były najdoskonalszą rzeczą w osadzie, były doskonalsze niż wszystko, co dotąd widział. Skoncentrował się na nich z powagą, która nie pasowała do lekkiej atmosfery chwili. Wreszcie odsunął się z cichym westchnieniem niedowierzania. Być może nie sądził, że śmierć może być tak czysta. Może myślał, że spójrzył jej w oczy. Może był za młody, by sądzić, że istnieje.

Bam leżał ukryty w pobliżu miejsca, do którego guźce przychodziły się wytarzać. Był z nim wybrany przez niego chłopak w wieku około czternastu lat. Przed wyjściem musiał szybko wymyślić jakiś argument, który zniechęciłby Victora do wyruszenia na polowanie. Ludzie jego pokroju nie bili dzieci, tylko tytułem kary za nieposłuszeństwo odbierali im jakąś zabawkę albo przywilej, lecz tutaj nie dało się dziecka niczego pozbawić.

– Obiecuję, że dam ci skórę. Zaniesiemy ją do jednego z krewnych Julya, który nas nauczy, jak ją wygarbować.

– A jak niczego nie upolujesz? – krzyczał za nim chłopiec. – Co mi dasz, jak niczego nie upolujesz?

Ojciec nie podnosił wzroku. Gdy strzelbą rozchyłał wilgotne źdźbła traw z czarnym chłopakiem u boku, który stał się szybki i płochliwy jak jeleń, odczuwał echo swojskiej weekendowej przyjemności dawnego życia przemieszane z męczącą koniecznością nieustannego czuwania, pod znakiem której upływały ostatnie dni wybite z rytmu normalności. Z minuty na minutę nogi niosły go coraz dalej

w głąb obszaru, na którym przejeżdżający patrol albo grasująca banda mogły się na niego natknąć. Huk wystrzałów mógł zdradzić obecność białej rodziny ukrywającej się w chacie. Równoczesna swojskość i obcość sytuacji oszołomiła go. Nagle poczuł przedsmak chłodnego żalu, który pewnego dnia poczuje do swojego syna, gdy ten stanie się mężczyzną – była to zapowiedź rozgoryczenia po wygnaniu z rajy, nie rajy dzieciństwa, lecz ojcostwa.

Czekał wśród trzcin. Obok niego marszczyła się czarna twarz chłopca, który próbował wytrzymać ukąszenia komarów. Nadeszły guźce i gdy znalazły się w miejscu, z którego najtrudniej było uciec, Bam strzelił do najbliższego warchlaka. Na te zwierzęta właściwą bronią był sztucer, a nie dubeltówka. Najlepsze, co mógł zrobić, to użyć grubego śrutu i mieć nadzieję, że to wystarczy, by przebić grubą skórę dzika. Wszystkie dawne gry – podniecenie decydowania o śmierci, etyczne zasady strzelania tylko do lecącego ptactwa, zabawa w chowanego mająca uczynić zabijanie przyjemnym – należały teraz do innego rodzaju dzieciństwa, tego, które tam, daleko, przeżywał do czterdziestego roku życia. Prosiak upadł i Bam strzelił do drugiego, któremu zabrakło sekundy, by skryć się w krzakach za dorosłymi. Chłopak, który był jeleniem, zamienił się teraz w drapieżnika i rzucił się na pierwszego warchlaka; potem przeistoczył się w myśliwego – związał zwierzęciu nogi kawałkami sznurka, który wykorzystywano po wielekroć i bardzo ceniono w osadzie. Prosiak leżał nieruchomo i szybko umierał, wpatrzony pustym wzrokiem w jakiś odległy punkt. Drugi warchlak dostał w grzbiet i rzucał się w pełnej bólu agonii, a może myślał, że nogi wciąż

niosą go w bezpieczne miejsce i podąża za wielkimi ciałami dorosłych guźców. Czarny chłopak, ze starannie związanym prosiakiem w ręce, przykucnął, oczekując, aż drugie zwierzę skona. Bam gestem kazał mu się odsunąć i strzelił prosiakowi w głowę. Młode kości były tak kruche, że pysk zwierzęcia całkiem się rozpadł. Oblicze prosiaka z krwią lejącą się z oczu i nozdrzy prezentowało koszmarny widok – oto czysta śmierć z chromowanych luf o chemicznym zapachu oleju maszynowego. Ptaki, na które Bam przeważnie polował, właściwie pozbawione były twarzy i ciała składały się z delikatnej, estetycznej konstrukcji szkieletu, dzioba, w którym nie płynęła krew, guzowatej skóry, pomarszczonych papierowych powiek. Twarz martwej świnki morskiej także nie różni się zbyt od twarzy żywej. Roztrzaskane oblicze świni zwieszało się nad ziemią i ciągnęło za sobą krwawy ślad przez całą drogę do osady, w której Bam zyskał status i funkcję człowieka, który przynosi mięso.

Był świadom, że Maureen może próbować tłumaczyć jego czyn, mówiąc, że to było konieczne. Zabezpieczył się przed jej słowami pancerzem milkliwości. Po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że jest zabójcą, rzeźnikiem takim samym jak ci w gumowych butach nurzający się w brei flaków, uryny i krwi, niezależnie od faktu, że to July i jego ludzie mieli się zająć skórowaniem i ćwiartowaniem zwierząt. Z tą świadomością przyszła ulga, o której nie miał ochoty rozmawiać.

Maureen stanęła obok niego z rękami na biodrach. Łydki i stopy pod krawędzią podwiniętych dżinsów miała brudne jak u menela.

– Oddaj im tego większego.

Nie potrzebował porad odnośnie do sprawiedliwego postępowania ani do tego, jak przetrwać. Wymruczała mu prosto do ucha:

– Mały będzie delikatniejszy.

Zatrzymał tylko poleć mniejszej świni i skórę dla Victora. Prosiak miał równo ucięty łeb. Mężczyzna, któremu opuchnięte nogi nie pozwalały się swobodnie poruszać, w związku z czym stał niczym bałwan z czarnego śniegu (nosił brudny szalik, bo dręczył go mokry kaszel) lub wspierał się na oparciu starego krzesła – słomiany chochoł w starych ubraniach – ożył nagle i odrąbał zmasakrowany łeb. Rozejrzał się zazdrośnie i przekazał go w ręce, które czekały w ciemnej czeluści chaty. Gdy szedł, jego wielkie miękkie uda kołysały się jak piersi kobiet podczas tłuczenia kukurydzy.

Bam skonstruował prowizoryczny rożen. Mięso pozbawione ziół, cebuli czy pieprzu – w jego twarde włókna Maureen wtarła tylko sól – było przysmakiem, jakiego nigdy wcześniej nie próbowali. Ani oni, ani ich dzieci nie przeżyli nigdy dwóch tygodni bez mięsa. Aromat pieczonej dziczyzny – nie było zbyt wiele tłuszczu – unosił się znad każdego paleniska. Już sam zapach powodował, że psy zaczynały się gryźć między sobą. Na wpół zdziczałe tchórzliwe koty miauczały natarczywie, gromadząc się szerokim kręgiem wokół przygotowującej jedzenie Maureen. Przykucnięta nad rożnem starannie polewała mięso tłuszczem, który lał się do stojącej w ogniu puszki po mleku z rączką zrobioną z patyka. Pot i dym dostawały się jej do oczu, więc od czasu

do czasu, śmiejąc się z siebie, wstawiała, by odetchnąć, a pracę przejmował Bam.

Nie wiedzieli, że jedzeniem można się odurzyć. Posiłek podział na nich jak wino, które pijali ze znajomymi przy stole. Bam zaśpiewał Royce'owi śmieszoną piosenkę w afrikaans.

– Jeszcze raz! Jeszcze raz!

Gina, zacinając się, zaśpiewała w miejscowym języku kołysankę, której nauczyła się od innych dzieci. Victor zamienił się w gawędziarza, przeplatając przeszłość, terażniejszość i odległość jak wytrawny anegdociarz:

– Wiecie, co robimy w szkole? W piątek, kiedy starsi chłopcy idą do kadetów i nie ma nikogo, kto mógłby nami rządzić na placu zabaw...

Chichocząc jak pijani, wytykali sobie wzajemnie przechwałki i kłamstewka. Rodzice patrzyli na swoje dzieci i śmiali się. Royce mrucał, niemal przez sen wysysając szpik z żebra. Kiedy nieśli go do chaty, mamrotał z zadowoleniem, nie wiedząc, gdzie jest:

– Jutro nie ma szkoły, prawda?

Czasami zadawał to pytanie w piątkowy wieczór, kiedy pozwalano mu zostać do późna.

Nie kochali się od chwili opuszczenia miasta. Było to nie do pomyślenia w takich warunkach, z trojgiem dzieci w chacie, w której za drzwi służył kawał płachty. Brak prywatności zabijał pożądanie, którego i tak nie odczuwali, skupiając się na przetrwaniu z dnia na dzień, czego nigdy

wcześniej nie musieli robić. Panujące między nimi napięcie przybrało postać oczekiwania na falę marszowej muzyki po włączeniu radia. Potem złagodniało, zamieniło się w niedowierzanie, przeczucie katastrofy, a nieco później, kiedy oznajmiono, że walki o miasto wciąż trwają – w poczucie szczęścia, że żyją, choćby w takich warunkach.

Docierał do nich pozostały na palcach zapach tłuszczu i mięsa. Nie kuląc się, trudno było utrzymać równowagę na wąskiej wysepce foteli samochodowych. Kochali się, wsłuchani w głęboką wibrację ich splecionych ciał. Wokół siebie słyszeli oddechy śpiących dzieci i wyczuwali znajomą obecność karaluchów, świerszczy, badających ciemność myszy; uśpionej osady; buszu.

Nad ranem Bam, na wpół śpiąc, z przerażeniem odkrył krew świni na swoim penisie – później zrozumiał, że to krew jego żony.

– Dobre mięso, *mhani*?

Staruszka była w tym wieku, w którym ludzie udają., że nic już ich nie cieszy, obrażeni na wszystkich, którzy ich przeżyją.

– Kiedy ostatni raz jadłaś takie dobre mięso?

Skrzywiła się, jakby ten temat nie był wart jej uwagi.

– Mięso szybko się kończy. Zjadasz, jutro nie ma nic. Mój dom musi dostać nowy dach, deszcz przemaka. W zimie będzie zimno. Chciałam położyć nową. trzcinę...

– I położysz.

Posłała synowi trzeźwe pytające spojrzenie.

– Położysz nową. trzcinę, odzyskasz dom.

– Z nimi w środku. – Jego żona Martha czyściła popiołem emaliowany garnek, który przyniósł, gdy był w osadzie przed ostatnim razem. – *Hey-i, mhani!*

– Postawię ci nowy dom, rozumiesz? Ty się martwisz, a ja ci zbuduję nową. chatę.

– Oni sprowadzą na nas kłopoty. Nie przeszkadzają mi wcale – bo i czemu by mieli? – ale biali ludzie przynoszą kłopoty.

Szorowany garnek dźwięczał zgrzytliwie. Kobieta nie patrzyła na Julya, nie chcąc go prowokować.

July wyklepał pytanie, które nieustannie musiał powtarzać:

– Jakie kłopoty? Z czyjej strony?

Wiedziała, że nie może odpowiedzieć jak dawniej: kłopoty z policją, z władzami.

Wydał z siebie ni to śmiech, ni to chrząknięcie. Poruszył się, jakby chciał już wyjść i zostawić kobiety na pastwę ich dramatycznej ignorancji, lecz jednak odwrócił się z powrotem ku nim, odbijając od nich myśli tak jak rzucone płasko kamienie odbijają się od powierzchni wody.

– Jeśli powiem, że mają wyjechać, to wyjadą. Jeśli powiem, że mogą zostać, zostaną. Więc zostają.

Jego żona nie ustępowała – tak jak wtedy, gdy jej dłonie ostrożnie, lecz uparcie przebierały wysuszone ziarna czy pastą z popiołu szorowały garnek – i próbowała poskładać w całość pokruszone kawałki przeszłości, które przyjechały do niej żółtym samochodem.

– Tam, w mieście, ta biała kobieta – czy to ona mówiła ci, że masz coś ugotować albo posprzątać...

– Nikt już nie może mi nic mówić. Jeśli postanowię...

Kręciła opuszczoną głową, jakby go tam nie było. Miała nawyk rozmawiania z nim pod jego nieobecność. Nie było go tak długo, że w tych rozmowach zadawała mu pytania, na które sama sobie odpowiadała. Czasem znikał całkowicie. Miała wrażenie, że już go nie ma, nie istnieje. Wtedy dyktowała do niego listy, które pisał ktoś, kto umiał to robić lepiej niż ona (odpowiedzi męża napisane w ich języku

potrafiła przeczytać samodzielnie, lecz od chwili skończenia trzyletniej edukacji nie miała okazji, by korzystać z umiejętności pisania, zaś długopis trzymany specjalnie do pisania listów kreślił nieforemne litery). „Mój drogi mężu, ciągle wspominam czas, kiedy byłeś tu ze mną, i myślę, jak to będzie, kiedy przyjedziesz”. Większość kobiet będących w wieku rodzenia dzieci miała mężów spędzających znaczną część życia w miastach, których ich żony nigdy nie widziały. Wypracowały różne sposoby rozmawiania na te tematy. Mąż napisał albo nie napisał, pieniądze dotarły albo się w danym miesiącu spóźniały, zmienił pracę albo zatrudnił się „gdzieś indziej”. Czy był ktoś, jakaś inna kobieta, której mąż pracował tam gdzie jej i dla której nazwa kolejnego obcego miasta brzmiała znajomo? Nawet nie przyszło jej na myśl, że pytania zadawane w czasie fikcyjnych rozmów z mężem mogłaby zadać innym kobietom lub choćby jego matce, starej kobiecie, której spojrzenie mówiło, że znałaby odpowiedzi: miała mężczyznę, który trzydzieści lat pracował w kopalni.

Równoległe z porami roku biegł dodatkowy długi sezon – czas bez mężów. Nakładał się na zasiewy i żniwa, deszczowe lata i suche zimy. U każdej z kobiet – w różnych okresach roku, lecz z podobną częstotliwością – ów czas zamieniał się w krótki okres pobytu męża w domu. Wówczas kobieta taka, choć pracowała i żyła tak jak dotychczas, wkraczała w inną niż pozostałe fazę cyklu, którego zasady uchylały wszechogarniające prawa rytmu natury. Słońce wschodzi, księżyc zachodzi; pieniądze muszą napływać, a mężczyzna wyjeżdżać.

Jego żona potrafiła uporczywie drażnić temat, stękając, odwracając wzrok i nalegając.

– Ale tam, w mieście. Czy to mężczyzna mówił ci, co masz... Na takie pytanie niemal nie było sensu odpowiadać.

– Wiesz przecież, że nie ja przyrządzałem jedzenie. Tym zajmowała się kucharka, Xhosa.

– Skąd miałabym wiedzieć, przecież jej nie widziałam.

– Nazywała się Nomvula. Oni mówili na nią Nora. Widziałas ją na zdjęciu. Na Boże Narodzenie. Masz zdjęcie, które nam zrobili. Są tam też dzieci – Gina i chłopcy. To kolorowe zdjęcie. Masz je, Albert ci je przywiózł razem z butami, które ci wysłałem.

Staruszka uzupełniła opis:

– Gruba kobieta w różowej czapce, o, tak. – Zakryła dłonią jedno oko. – Wyglądała, jakby lubiła popić.

– Miała męża?

– Wydaje mi się, że jej mąż zmarł.

– Więc nie miała mężczyzny?

Obserwowała go, czekając na odpowiedź. Widziała, że wraca myślą do tamtych miejsc. Zdjęcie zrobione na podwórku, biały mężczyzna i biała kobieta z dziećmi tu i teraz – tak, to były konkretne fakty, ale nie wystarczały, by mogła podążać za nim ich śladem.

– Jest Bongani. To Zulus, pracuje jako inspektor w wydziale oczyszczania. Ma mundur, jeździ na rowerze. Mieszka z Nomvulą w jej pokoju.

– I nie przeszkadzało im, że on mieszka u nich w podwórzu. .. Mnnn. A co się z nią stało? Dokąd poszła?

Usiadł na niskiej ławeczce pod ścianą, na której siadali mężczyźni przychodzący w odwiedziny. Z wejścia wpadała pojedyncza smuga światła dzieląca wewnątrz chaty na dwie połowy: z jednej strony kobiety (za nimi zagłębienie ściany i powierzchnia gliniastego tynku niczym oprószony złotym pyłem relief równie zawiły jak rysy ich twarzy); z drugiej strony mężczyzna w ciemności. Dłonie położył na kolanach. Widziały jego paznokcie i oczy. Być może wzruszył ramionami na znak, że nie wie. Gdy jego żona uznała już, że postanowił nie odpowiadać – a i tak nie potrzebowała odpowiedzi, gdyż Zulus był odpowiedzią, która jej wystarczyła, a następane pytanie zadała tylko po to, by odwrócić uwagę innych od tego faktu – przemówił z mroku:

– Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem, co się z nią stało. Jeśli dotarła do rodziny w... – Jego głos zamarł, tak jakby zapomniał nazwy tego miejsca albo nie był w stanie jej wypowiedzieć.

Gliniane naczynia, które Maureen niegdyś zbierała, teraz służyły jej za lodówkę i sprzęty domowe. Robaki, kury, słabe dzikie koty, które by przetrwać, otwarcie lub skrycie chodziły za nią, wyczuwając zapach jedzenia na jej rękach i słysząc bliskość jedzenia w jej krokach, świnie, które podążały za nią, by pożreć jej odchody – wśród nich pojawiły się dodatkowo małe kocięta. Kotka, która je urodziła, zrobiła sobie legowisko na chlebaku, którego Bam używał jako poduszki. Ostrożnie ją stamtąd przegonił. Gina i Victor przynieśli plastikową siatkę, jedną z tych, w których tam, daleko, sprzedaje się pomarańcze, i zrobili z niej nowe legowisko. Wówczas przyszedł jednak człowiek ze znajomym ponurym wyrazem pokrzywdzenia na twarzy – tacy ludzie od pokoleń pojawiali się u tylnych drzwi domów, domagając się zadośćuczynienia jałmużną, gdyż rozumieli, że nie mają co liczyć na sprawiedliwość. Maureen wiedziała, kim on jest: zajmując się w ciszy swoimi sprawami, przyglądała się, co robi. Rozplątywał siatki po pomarańczach i splatał kawałki uzyskanej w ten sposób plastikowej linki, tworząc silny, jaskrawy sznurek. Bam i Maureen zrozumieli, że chce odzyskać siatkę. Dzieci ją ukradły.

Victor spoglądał to na matkę, to na ojca, jakby szykował się do pojedynku.

– Ona leżała na ziemi! Pod drzewem leżała ich cała kupa! My po prostu wzięliśmy jedną!

Ginę przeraziło oskarżenie, tak jak w szkole przerzała ją konieczność recytowania wierszyków.

– To siatka po pomarańczach! Kto chciałby kraść śmieci? A poza tym myśmy sami przywieźli torbę pomarańczy, prawda, mamó? Tak było! Jedna z tych starych siatek jest nasza. To nasza siatka. Jak można ukraść coś, co ktoś wyrzucił?

– Ale on tych siatek używa jako materiału na sznurek.

Victora ogarnął gniew, gniew białego człowieka, zbyt wielki dla niego.

– Nie wolno mu mówić, że ukradłem. Wziąłem coś, co leżało i nikt tego nie chciał.

Ale jego rodzice wręczyli po prostu człowiekowi dwurandowy banknot, a Bam poklepał go przyjaźnie po plecach, dając do zrozumienia, że przeprasza i bierze odpowiedzialność za to, co zrobiły dzieci.

Człowiek odszedł. Victor stał wyczerpany przeżyтыми emocjami.

– Jeju, dwa randy za starą siatkę po pomarańczach. Za tyle to mógłbym kupić taki miniaturowy wózek. Jak mi da dwa randy, to mu załatwię mnóstwo siatek po pomarańczach.

Ojciec łagodnie położył mu dłoń na głowie.

– Gdyby miał dwa randy, mógłby kupić gotowy sznurek, prawda?

Royce ominął zawilości całej sprawy i nieśmiało, poufale spytał brata:

– Kupisz taki mały wózek, Vic? Znaczący, jak będziesz miał dwa randy?

– Tylko gdzie? Tu się nie da. Były w Sandton w Pick'n Pay. Tam się je kupuje.

– Poproś Julya, Vic. Czemu nie poprosisz Julya? Co, Vic?

Nagle chłopiec znowu się rozemocjonował. Poczzerwieniały mu powieki.

– Wiem jedno – nie wszyscy Afrykanie są tak mili jak July. Niektórzy są, okropni. Okropni.

Pojawiła się Nyiko, przyjaciółka Giny, która przez cały dzień, tak jak kury, swobodnie wchodziła i wychodziła z chaty. Podeszła prosto do Giny, szukając jej bliskości. Dziewczynki stały jedna obok drugiej i spokojnie przyglądały się cierpieniom Victora. Gina oderwała od kociego sutka po jednym kociaku dla każdego z nich. Małe istotki zaczęły drapać i kwilić, szok był dla nich stanowczo zbyt wielki, tak jak gniew Victora był za wielki dla niego.

Usłyszeli rodzicielskie napomnienie, którego zresztą się spodziewali. Matka powiedziała:

– Nie możecie ciągle zabierać kotce małych. One mają dopiero dwa dni.

Ojciec odezwał się do niej w nieznanym dzieciom sekretnym języku gestów i sugestii:

– Może Nyiko wie, czyj to jest kot? Może udałoby się oddać całą tę gromadkę tam, gdzie jej miejsce?

Potaknęła, lecz popatrzyła na niego jak na człowieka, który swoje sądy opiera na zupełnej fikcji.

Bam wypytał Nyiko za pośrednictwem Giny. Dziewczynka zachichotała, zmarszczyła nos i pokazała zęby. Spytał raz jeszcze. Gina potrząsnęła jej ręką. Nyiko zaśmiała się i zakołysała na boki.

– Tato, ona nie rozumie. Mówi, że nikt nie ma kota.

– No, tak, tak. Każdy ma koty, tak jak koty mają pchły.

Ginę zniecierpliwiał jego żartobliwy ton.

– Nieee, mówię ci – nikt nie ma kota... ona tak twierdzi.

Po południu Bam poszedł łowić ryby w rzece. On sam i jego rodzina nie mogli się zmusić do jedzenia brzan, ale inni bardzo je cenili. Zostawił dzieci na brzegu, a sam wrócił, by wysłuchać wiadomości o szesnastej. Maureen leżała na łóżku. Kiedy któreś z nich miało łóżko tylko dla siebie choćby na godzinę, skwapliwie korzystało z okazji. Widział ją, widział siebie leżącego na tym łóżku i pomyślał o tym, jak zwykle przedstawia się więźnia zamkniętego w celi. Odkąd tu przyjechał, nauczył się zasypiać na komendę – wysiłkiem woli oddalać się od tego miejsca, od niej, od dzieci, które czekały, aż je stamtąd wywiezie.

Nie gruchnęła wojskowa muzyka.

Słuchali wiadomości. Jakość odbioru była słaba, lektor się zacinał – kto pozostał w majestatycznych granitowych wieżach stacji radiowej, by wykonywać taką pracę?

Być może zresztą zmieniono siedzibę radia – w wiadomościach było tak wiele niedopowiedzeń, że z pewnością nie ogłoszono by publicznie, iż redakcja musiała się ewakuować i nadaje z jakiejś tymczasowej kryjówki. W pesymistycznych, lecz wygłaszanych statecznym tonem doniesieniach cytowano „wiarygodne źródła”: czy nieobecny brygadier Sił Obywatelskich, którego cytowano, oceniając sukces operacji „opanowywania” Soweto przez wojska z bazy w Diepkloof, uciekł tak samo jak wszyscy? Czy naoczny świadek odzyskania kopalni Far West Rand, tak nieporadnie i nieściśle opisujący drogę przez tereny, w których wychowała się córka Mojego Jima Hetheringtona, zwyczajnie zmyślał? Ewidentne niedopowiedzenia były złowieszcze. Zeszłej nocy Union Buildings w Pretorii, siedziba rządu, zostały „częściowo zniszczone”. Tym razem nie padła wzmianka o ataku raketowym. Budynki musiały zostać wysadzone od środka. Pewnie toczono brutalne walki wręcz o kolonialne wdzięki tych kolumn i murów z piaskowca zaprojektowanych przez Sir Herberta Bakera. A może obrońcy woleli sami wszystko zburzyć niż wpuścić tam czarnych.

Nie dało się już rozmawiać o tym, co tam się dzieje. Bam z żoną słuchał w milczeniu i nagle coś sobie przypomniał. Gdy audycja dobiegła końca, zapytał:

– Znalazłaś kogoś, kto zabrał koty?

Zwierząt nie było już w chacie.

Wstała ospale z łóżka. Najwyraźniej przysnęła.

– Utopiłam je w wiadrze.

Niekiedy odpowiadała mu w taki zaskakujący, sarkastyczny sposób, kiedy pytał o coś, czego na pewno nie mogła zrobić jako wrażliwa i inteligentna osoba. „Tylko nie wygadaj się Parkinsonowi, że nie mam zamiaru iść na spotkanie, bo nie zamierzam głosować”, „Jasne, długo o tym z Sandrą rozmawialiśmy, żeby on na pewno usłyszał”.

W tych ciętych wymianach zdań odzwierciedlała się pokrętność właściwa podmiejskiemu życiu. W sypialni kończyły się krótkim rozdrażnieniem i chłodem, przekomarzankami albo seksem w takiej formie, jaką narzucały okoliczności: jego dłoń między jej nogami, kiedy szczotkowała zęby, penis ocierający się o nią, gdy pochylała się, by sprawdzić temperaturę wody w wannie.

Wyszczupiała, wyglądała na zaniedbaną – włosy na łydkach, które zawsze starannie goliła, odrastały nierównymi kępkami po tak wielu latach depilacji. Powiedziała „w wiadrze”, on zaś zrozumiał, że mówi poważnie, a ten konkretny szczegół stanowił dowód porządnie wykonanego zadania.

– O mój Boże. – Skrzywił usta z odrazą i niesmakiem, wczuwając się w jej sytuację.

Podrapała się energicznie pod małymi piersiami przez obcisły podkoszulek.

– O, moje biedactwo...

Zdjęła podkoszulek i wytrzepała go. Położyć się na łóżku oznaczało wystawić się na żer pchlom. – Nie przesadzaj. – Obnażenie piersi nie było aktem intymnym, tylko dowodem zaniku seksualności między nimi. Stała

pólnaga jak robotnik w fabrycznej szatni albo kobieta w więziennej łaźni. – Dawniej zabierałam je do sterylizacji.

– Tak, to jasne, że je zabierałaś.

– Miałam obsesję na punkcie minimalizowania cierpienia. Chyba dobrze postępowałam. Nie należy tego robić tak, jak robi się to tutaj.

– To prawda, to cholerna prawda.

Miała poczerwieniała, od wiatru i słońca szyję upstrzoną ciemnymi piegami aż po kołnierzyk bawełnianej bluzki, którą tu nosiła. Nigdy by nie uwierzył, że ta blada, seksowna szyja przesłonięta długimi włosami zamieni się pewnego dnia w szyję jej ojca, którego zapamiętał, jak siedzi w niedzielny poranek ubrany w koszulkę polo.

Gdy zakładała obcisły podkoszulek, skóra jej twarzy naciągnęła się, a oczy, nos i usta wykrzywiły. Wyglądała, jakby robiła do niego brzydką minę. A jednak była jego „biedactwem” wyniszczonym przez życie w trudnych warunkach, zmuszonym do robienia różnych nieprzyjemnych rzeczy.

– Dlaczego nie kazałaś tego zrobić któremuś z nich?

Początkowo pracujące w polu kobiety ignorowały ją albo pozdrawiały nieobecny uśmiechem człowieka skoncentrowanego na roli. Jedna czy dwie z młodszych kobiet rzucały czasem na jej temat jakąś uwagę, tak jakby była kimś, kto przyszedł, by je oglądać czy oceniać – fotografem albo nadzorcą (zdarzało się w przeszłości, że zatrudniały się przy sezonowych pracach i pielili pola białych farmerów, na które zwożono je z daleka ciężarówkami). Zaczęła je naśladować. Przyglądała się, czego szukają i co wykopują. Zwłaszcza matka Julya miała wyjątkowy talent do znajdowania pewnych korzeni, które zawsze były w miejscach, które wskazała zaostrzonym patykiem. Choć ona sama nie miała takich zdolności, potrafiła rozpoznać dziki szpinak i kilka innych liściastych roślin, które miejscowe kobiety zrywały i wkładały do koszy. Kiedy nazbierała już tyle, że rośliny nie mieściły jej się w rękach, także wrzucała je do któregoś kosza. Potem znalazła plastikowy worek po nawozie – ludzie znosili do osady wszystko, co udało im się znaleźć podczas pobytu w innych wioskach albo na farmach – i dorobiła do niego uchwyt ze sznurka, tak jak czynili ci, którzy nie mieli kosza.

Wraz z narastaniem upału rozszedł się duszny zapach nasiąkniętych uryną chust, w których kobiety trzymały na plecach swoje dzieci. Podciągnęły spódnice, wchodząc na bagnisty *vlei*, i rozstawiły nogi niczym brodzące ptaki. Między palcami stóp przeciskało im się błoto. Gdy wychodziły na twardy grunt, zasychało w skorupę pokrywającą nogi do połowy łydki. Maureen wysoko

podwinęła nogawki dżinsów, eksponując żółte siniaki, delikatne siateczki popękanych naczyń krwionośnych na udach, niebieskie linie żyłaków w zgięciach kolan i szorstkie włoski na łydkach wyraźnie widoczne na tle białej skóry, tak jakby nagle zapomniała o tym, że ma trzydzieści dziewięć lat i blizny poporodowe, i znowu stała się młodą dziewczyną tańczącą w szortach po kopalnianym kompleksie. Zwykle poważna żona Julya zaśmiała się, patrząc wprost na te jej białe nogi, i nie odwróciła spojrzenia, kiedy Maureen nakryła ją na tym, że się gapi. Śmiała się, bo dlaczego nie? Maureen też zaczęła się śmiać. Śmiała się z tej kobiety, którą wielki zad ciągnął w tył, z jej ładnej, drobnej buzi, której czarny kolor nie był tylko sprawą pigmentu, lecz, jak się zdawało, rodził się gdzieś głęboko w ciele i emanował na zewnątrz. Czemu niby biała kobieta miałaby się wstydzić, że dostrzeżono jej słabości i niedoskonałości, skoro inne kobiety się z nimi nie kryły? Przez jakiś czas pracowały obok siebie w milczeniu. Później ktoś zawołał żonę Julya i ta odeszła kawałek dalej do innych zajęć, tak jak robiły to wszystkie kobiety, pracując samodzielnie, lecz we wspólnym rytmie, niczym stado czapli przelatujących z miejsca w miejsce w poszukiwaniu ławic.

Przy posiłku każdy dostał porcję zieleniny z kukurydzą. Jeśli Bam wiedział, że Maureen sama zebrała rośliny, które jedli, nie dał tego po sobie poznać. Kiedy jednak Victor zażądał dokładki, powiedział szybko:

– Zjadłeś już swoją porcję. Zbieranie tych roślin wymaga wiele wysiłku.

Żując suchą, papkę, poczuła nagły, krótki impuls – który zaraz zdusiła – aby podejść do tego mężczyzny, wtulić się w niego, objąć go, dotknąć kogoś utraconego, nie człowieka, który przetrwał w jego imię i od czasu do czasu dostarcza ludziom mięsa oraz ryb.

Wiadomości. Tego dnia wśród świstów zagłuszania nie dało się złapać radia i po raz pierwszy słuchali transmisji czegoś, co mogło być tylko MARNET-em, wojskową, terenową siecią, radiową, którą utworzono w obszarze nadgranicznym, by wesprzeć podatną na uszkodzenia komunikację telefoniczną w czasie wojny z Namibią, a później rozszerzono na cały kraj. Mówiący używali szyfru, ale padały wzmianki o Diepkloof, bazie wojskowej położonej między Soweto a Johannesburgiem. Nagle ożywione rozmowy w afrikaans zamilkły. Maureen przyglądała się, jak Bam kręci gałką radia, by odszukać transmisję. Siedział odwrócony do niej plecami, jak gdyby robił coś intymnego i wstydliwego. Wreszcie wyłączył odbiornik i zajął łóżko.

Wyszła bez celu w próżnię gorącego popołudnia. Otoczył ją rój much. Strzechy, stare puszki, kogucie pióra błyszcząły bezbarwnie. Ruszyła ku chacie, w której stał ukryty pick-up, tylko po to, by mieć dokąd pójść – w samochodzie nie było już nic, co do niej należało. Mrówki utworzyły skorupę z czerwonej ziemi na spróchniałych gałęziach, które niegdyś stanowiły płot zagrody dla bydła. Cienką czarną gałązką odłupała kawał zlepionej mrówczą śliną ziemi, odsłaniając drzewo pod przeżartą korą. Było białe jak kość i mrówki drażyły je również – płytkie, równe kanaliki wyglądały jak wykonane wąskim dłutem. Zdrapywała ziemną skorupę bez celu, z satysfakcją dziecka,

które nie ma nic do roboty, więc zajmuje się tym, co rzuci mu się w oczy. Potem poszła dalej. Zobaczyła samochód – wciąż tam był.

Wystawały spod niego nogi w starych, drelichowych spodniach po Bamie.

Zawsze jest coś do powiedzenia – na przykład typowa formułka na wypadek awarii samochodu.

– Co się zepsuło?

July odpowiedział, chrząkając:

– Zrobi dobrze. Ta rura jak zawsze trochę luźna.

– Aha, wydech. No cóż, w podróży musiał się nieźle poobijać. Nic dziwnego, że się popsuł.

Wygramolił się spod auta na plecach, zamrugał i potrząsnął głową, by pozbyć się piasku, który obsypał mu twarz. Uśmiechnął się i wykrzyknął z komiczną przesadą:

– Co za rzecz!

Następnie odwrócił się i zadał pytanie w ichnim języku; Daniel wciąż leżał pod samochodem. July przykucnął zesztywniały. Bezwładnie zwiesił ubrudzone smarem dłonie.

– W domu mamy ten silny drut.

Przytaknęła. Cała wielka rolka drutu, więcej, niż mogliby kiedykolwiek zużyć, stała w podwójnym garażu wciśnięta między wór węgla do grilla a kosiarkę.

Roześmiał się.

– Rany, szkoda nie mam tu trochę tego drutu!

– Nie wiem, czy jeszcze tam jest.

– Oo, tak! Wszystko tam jest! Kiedy odjeżdżamy, ja zamykam tę wielką... – Pokazał dwa splecione kółka z palców na oznaczenie kłódki. – Zamykam wszystko ładnie!

Oparł się o koło pick-upa. Duma i satysfakcja posiadacza sprawiły, że zapomniał, czym kosztem go zdobył.

– Walki muszą być bardzo ciężkie.

– Pani słyszała coś, co mówią?

– Nie na tym kanale, którego zawsze słuchamy. Myślę, że transmisje się skończyły na dobre. Być może wysadzono stację, nie wiem. Słuchaliśmy specjalnego radia, wojskowego.

On także miał coś do powiedzenia – wypowiedź służącego, który chce dostroić się do zmartwień pana i w taktowny sposób, fatalistycznymi zdaniem z misjonarskiej szkółki, przesunąć konflikt zbrojny w neutralną dziedzinę woli bożej.

– O rany, rany. Co my zrobimy. Straszne, wszyscy bardzo źli, zabijają... palą... Tylko Bóg nam pomoże. Miejmy nadzieję, wszystko wróci dobrze jak dawniej.

– Jak dawniej?

Zauważyła, że July nie ma ochoty rozmawiać z nią na jakiegokolwiek innej płaszczyźnie.

– Jak dawniej?

Kąciki jego szerokich ust opadły i zmrużył oczy jak wtedy, gdy tam, w mieście, wydawała mu polecenie, które mu się nie podobało, lecz nie śmiał mu się sprzeciwić.

– Ja nie chcę słyszeć o zabijaniu. Ten zabija albo tamten zabija. Dość zabijania.

– Ale nie chodziło ci o to, żeby znowu było tak, jak było, prawda? Nie chodziło ci o to?

Daniel, młody i zwinny, wytoczył się sprawnie spod samochodu i stanął obok nich. Spojrzała na niego, szukając potwierdzenia swoich słów. On także miał coś do powiedzenia – słowa powitania, *ihlekanhi*, *missus*. July odezwał się do niego. Zadał kilka niezobowiązujących pytań, a potem najprawdopodobniej wydał jakieś polecenie. Młody mężczyzna ruszył doliną w stronę osady. Być może miał przynieść coś, co pomoże naprawić samochód.

Lecz nim przeszedł dziesięć kroków, stało się jasne, że July odesłał go, by nie przeszkadzał. Musiał uznać, że Maureen go szukała, ona zaś nie mogła zaprzeczyć poszlakowemu dowodowi, jakim był fakt, że oto znowu zostali całkiem sami, tak jak wtedy, gdy July przyszedł do niej i spoglądał ponad jej ramieniem, czy ktoś jest w chacie.

Odezwał się tak, jakby dopiero co się zobaczyli, a ich rozmowa ledwie się zaczęła, a nie trwała już od pewnego czasu.

– Robię zmartwiony.

Znała jego sposób używania gramatyki. Miał na myśli: „Martwię się”.

– Pani głodna. Myślę, wy głodni.

Uśmiechnęła się zaskoczona i zaintrygowana.

– Czemu tak sądzisz? Nie jesteśmy głodni. Wszystko u nas w porządku.

– Nie... Nie. Musi pani chodzi szuka szpinaku z kobietami.

Odparowała gwałtownie:

– Chodzę. Nie muszę chodzić.

– Jeśli dzieci potrzebują jajek, ja zaniosę więcej jajek. Ja mogę przynieść szpinak.

– Nie mam nic do roboty. Chcę jakoś spędzić czas. – Lecz porozumieć mogli się tylko wtedy, gdy wstrzymywała się od najtrywialniejszej nawet abstrakcji. July znał angielski, którego uczono w kuchniach, fabrykach i kopalniach. Opierał się na rozkazach i reakcjach, a nie wymianie idei i uczuć.

– Nie mam pracy.

Uśmiechnął się, jakby miał przed sobą dziecko, które chce pomóc, ale tylko przeszkadza.

– To nie pani praca.

Dawniej podejmowała się różnych zajęć na pół etatu. July każdego ranka zamykał za nią bramę garażu, kiedy wyjeżdżała do swojej maszyny do pisania, katalogów, gazet,

spotkań. Machał jej na pożegnanie, czekając, aż będzie mógł pogadać z przechodzącymi ulicą znajomymi. Wiedział jednak, że Maureen potrafi także pracować fizycznie. Kiedy córka sztygara całą sobotę spędziła na kopaniu w ogródku i sadzeniu roślin, mówił do niej (jak się jej wówczas zdawało) z braterską poufałością: „Pani dzisiaj robi wielką robotę”. Teraz sam decydował, co chce pamiętać, a czego nie. Teraźniejszość należała do niego. Przeszłość mógł przekształcić wedle własnych potrzeb.

– Tak czy inaczej, nie chcę, by inne kobiety zbierały żywność dla mojej rodziny. Muszę to robić sama.

Oboje jednak rozumieli, że choć pozwolili temu zdaniu wybrzmieć, opiera się ono na iluzji. Kobiety i rodzina Julya zapewniali jedzenie, schronienie i bezpieczeństwo jej rodzinie. Popatrzyła na swojego służącego: byli stworzeniami tych ludzi tak jak bydło i świnie.

– Kobiety mają swoją pracę. Muszą robią. To jest ich miejsce, my zawsze tu żyjemy, a one robią wszystkie rzeczy, wszystko tak jak musi być. Pani nie musi dla nich pracuje w ich miejscu.

Kiedy go nie rozumiała, zwykle wykonywała jakiś ogólny gest lub wydawała nic nieznaczące mruknięcie, licząc, że z kontekstu tego, co powie później, zrozumie, o co chodziło wcześniej. (Mimo że July tak bardzo cenił Bama – albo tylko udawał, że go ceni, aby ją zranić – Bam nie posiadał tej umiejętności i często irytował Julya swoimi nieprzemyślanymi odpowiedziami, które prowadziły do nieporozumień i były dowodem na to, że czarny mężczyzna za słabo zna angielski, by móc wyrazić swoje myśli). Być

może chodziło mu o „miejsce” w znaczeniu roli, a może sugerował, że Maureen musi pamiętać, iż nie może rościć sobie prawa do ziemi – „miejsce” jako terytorium – w której grzebie w poszukiwaniu jadalnych roślin, by zapobiec niedoborowi witamin i zatwardzeniom u dzieci. Nie czekała jednak, by się upewnić, o co mu chodziło. Odezwała się zapalczywym, zmienionym tonem osoby, która właśnie dokonała jakiegoś odkrycia i zamierzała postąpić zgodnie z tym, czego się dowiedziała.

– Chcę czasem pobyć z innymi kobietami. Są tam także dzieci. Udaje nam się trochę porozmawiać. Odkryłam, że Martha nie zna angielskiego, ale mówi trochę w afrikaans. Tyle tylko, że się wstydzi.

Na jej twarzy pojawił się miły uśmiech pracodawczyni. Imieniem jego żony posłużyła się w sposób sugerujący zażyłość pomiędzy kobietami.

July wstał ociężale.

– Dla pani niedobrze chodzi tam z kobietami.

Nie zamierzała się z nim zgodzić.

– Ale czemu? Dlaczego?

– Niedobrze.

Słowa robiły uniki i rzucały się na niego.

– Dlaczego? Myślisz, że ktoś mnie zobaczy? Przecież miejscówki wiedzą o nas, to jasne. Więc czemu? Dużo większe ryzyko jest wtedy, gdy Bam wychodzi na polowania i strzela. I gdy ty jeździsz naokoło tym żółtym autem. Czy ty

się boisz... – Oczy Maureen zaszczyły łzami rozbawienia, jakby ktoś splunął jej w twarz jej własnym jadem. Zaskoczyła i jego, i siebie własną postawą, tym, że choć znali się od dawna, przypominała teraz jakąś bezczelną nieznajomą. – Czy ty się boisz, że coś jej powiem?

Z zaskoczenia ustąpił jej na moment pola.

– Co może powie? – Poraziła go fala gniewu. – Że pracuję dla pani piętnaście lat. Że pani ze mnie zadowolona.

Wokół nich śpiewały cykady. Stojący na wprost niej July uderzył się prawą ręką w pierś. Rozległ się głuchy dźwięk, który zawibrował w jej własnej piersi strachem.

Nigdy nie doznała niczego podobnego. Sztygar o grubych przedramionach górnika, z kikutem w miejscu trzeciego palca prawej dłoni uciętego przez żelazne wiadro pod ziemią, nigdy nie sprzeciwiłby się swojej małej tancerce. Jej mąż – co takiego musiałoby się wydarzyć, by zaczął jej grozić? Tutaj natomiast był architektem leżącym na łóżku w chacie z błota, mężczyzną bez samochodu. Wcale nie myślała o nim z odrazą – nie miała do tego prawa, przecież mieszkała z nim w tej samej chacie – ale czuła, że wyruszając w długą podróż, zostawiła go za sobą w małżeńskiej sypialni. Jakieś wypaczone wyobrażenie jej męża żyło z nią tutaj w okolicznościach, o których nie wspominał kontrakt małżeński.

Nigdy nie bała się żadnego mężczyzny. Teraz, do wszystkich niewygód, pcheł i krwawienia w szmaty doszedł jeszcze lęk – i to lęk wywołany przez tego człowieka, właśnie

przez niego. Emanował z Julya. Miała wrażenie nie tyle, że July jej fizycznie, osobiście zagraża, ile że wzbudza poczucie niebezpieczeństwa. Skąd mogła wiedzieć, zanim tu trafiła, że szczególna dbałość o to, by traktować go z godnością należną człowiekowi, podczas gdy on był z definicji służącym, sama okaże się czymś, co go upokarza, i tylko poprzez upokorzenie ich słowa nabierać będą sensu?

Piętnaście lat

pani boy

pani zadowolona

Odeszła i usiadła na zrujnowanej ścianie z błota, posyłając spojrzenie daleko od siebie i od niego, w stronę szarzielonego buszu podobnego do warstwy cumulusów oglądanej z pokładu międzykontynentalnego odrzutowca, w której znika czas i horyzont.

Na tle monotonnego śpiewu cykad znowu zabrzmiało metaliczne szczekanie narzędzi. Nie potrafiła odłupać skorupy błota ze ściany połamanymi paznokciami (tylko ten na lewym kciuku, zawsze twardszy niż pozostałe, zachował owalny kształt, jaki miał przed wyjazdem). Kiedy spojrzała na swoje dłonie, zobaczyła, że drobiny ziemi odcisnęły się na skórze, ale nie przylepiły do niej. W veldzie otaczającym kopalnię z uporem wymierzała kopniaki takim samym ziemnym skorupom tworzącym ściany mrówczych kopców.

Wstała i podeszła do samochodu. July siedział na ziemi z szeroko rozłożonymi nogami i majstrował przy wymontowanej rurze wydechowej.

Nigdy nie radził sobie z mechanicznymi urządzeniami.

Wystarczyło spojrzeć na kombinerki, których używał. Nawet ona widziała, że są za małe, by zapewnić porządny chwyt.

W dodatku zabierał się za naprawę od złej strony.

Rura powinna leżeć odwrotnie. Bam zauważył kiedyś, że gdy July pakował walizki do bagażnika, wkładał je do góry nogami. Poprosiła męża, by nie zwracał mu na to uwagi, bo mógłby go urazić – w końcu w innych dziedzinach July wykazywał się wysoką inteligencją.

Nie ustawał w wysiłkach, próbując naprawić rurę kombinerkami i śrubokrętem, jednak ewidentnie mu nie szło. Nigdy nie był dobry w tych sprawach – gdy brał się do naprawiania kosiarki, kończyło się to tak, że na wpół rozebrana maszyna czekała na powrót Bama.

Nie, nie tak się to robi, nawet kobieta to widzi.

Jej obecność mu to wszystko uświadomiła – w milczeniu oboje usłyszeli to, co w przeszłości nie zostało wypowiedziane.

Tym razem jednak się odezwała:

– Nigdy nie miałeś smykałki do maszyn. Niech Bam to naprawi. Poproś go o to.

Nie odpowiedział. Nie znał „Bama”, białego człowieka, któremu zabrał samochód. Tak jak ona znał kogoś, kto został tam, daleko, pana, który potrafił poskładać kosiarkę po powrocie do domu. Lecz jego odpowiedź ją uciszyła:

– Wczoraj w nocy ktoś był.

Nad jej głową strzelił bicz. Płuca zaczęły pracować w rytmie głębokich oddechów. Wiedziała, że pod jej drobną lewą piersią, widać bicie serca: siedziba lęku.

– Policja? Kto był?

Na chwilę pozostawił ją sam na sam ze strachem.

– Człowiek od szefa.

Ulga zmieniła się w zniecierpliwienie.

– No to dobrze, prawda? Przecież on cię zna. Na pewno wie, że ktoś u ciebie mieszka.

– On wie, kto to jest mnie... Posyła kogoś pyta, kogo mam w moim domu. Ktoś mówi, musicie idziecie do domu szefa, muszę mu pokazać. Zawsze gdy ludzie przyjeżdżają, skądś, muszą, idą do szefa, proszą.

– O co go proszą?

– Proszą ładnie, czy mogą zostają w wiosce.

– Przecież mówiłeś, że to twoje miejsce, każdy o tym wie i możesz tu robić, co chcesz. Powtarzałeś to, odkąd przyjechaliśmy. Ze sto razy.

– Tak, mówię to. To jest moje miejsce. Ale wszyscy ludzie tutaj, wszyscy z wioski, są szefa. Jeśli on przysyła

kogoś, prosi mnie o to, ja muszę robię. Nieprawda? Jeśli on mówi, ja przychodzę, to ja muszę przychodzę. To nasze prawo.

– Czemu nam wcześniej nie powiedziałaś, że uprzejmość wymaga... że to miłe, pójść zobaczyć się z szefem?

Popatrzył na nią, na jej brudne nogi, chudą twarz, włosy ściągnięte w tył gumową opaską. Jej dżinsy wypłówiały na udach i rozporku.

– Teraz mówię.

– Kiedy?

Wykonał nieokreślony gest – w swoim czasie.

– Jutro.

– Bam może pójść.

Znowu zajął się naprawianiem wydechu.

– Pani, pan, dzieci. Wszyscy idą.

Ogarnęło ją uczucie – nie gniewu, ale dezorientacji: nie trafiła wejść z Julyem, podobnie jak z Bamem, w relację podporządkowania.

– Zostaw to – powiedziała, wskazując na samochód, tak jak dawniej mówiła, wskazując na kosiarkę. – Zostaw to. On przyjdzie i go naprawi.

Ruszyła w stronę osady. Schodząc zboczem, zatrzymała się i odwróciła ku słońcu, tak jakby chciała zawrócić. I rzeczywiście, energicznym krokiem wróciła w miejsce, w

którym wcześniej stała. Zasłoniła oczy dłonią. July tkwił pod samochodem – nie widzieli się wzajemnie. Jej słów nie mógł usłyszeć nikt poza nim:

– Nie musisz się obawiać. On ci go nie ukradnie.

Bam wstał z łóżka jak człowiek, który przysnął na sofie w swoim biurze, chociaż miał pracować.

– To najwyraźniej kurtuazyjne spotkanie. Raczej nie ma w tym nic groźnego. Złożymy wyrazy szacunku szefowi.

Gdy miał wrażenie, że wygląda śmiesznie, robił się gburowaty. Chlebak, którego używał w charakterze poduszki, zostawił na jego policzku głęboką bruzdę. Zaspany głos miał zmatowiały od flegmy. – My tu raczej nie przyjechaliśmy z oficjalną wizytą.

– Tak czy inaczej, musimy pójść. Nie wiem, czemu nam o tym wcześniej nie powiedział.

– Nie spytałaś?

– Nie chciał o tym rozmawiać. Był w złym humorze.

– A co mu się stało?

Gdy weszła do chaty, wzięła butelkę z wodą i teraz piła między wypowiedzianymi zdaniami. Miała wilgotne usta, a w jej uśmiechu widać było erotyczną satysfakcję ugaszonego pragnienia.

– On się boi, że wygadam się o jego kobiecie z miasta.

– Co takiego?

– To dlatego, że zaprzyjaźniłam się z Martha, wiesz, jego żoną. Trudno zresztą mówić o przyjaźni, wymieniamy na polu kilka słów. Zorientowałam się, że zna trochę afrikaans.

– A, chodzi o tę Ellen. Czemu on sądzi, że go wydasz?

Popatrzyła na tego zaspanego, nieświadomego mężczyznę.

Odezwała się głośno, jakby nie mówiła do niego.

– To nic takiego. Nie ma sensu posługiwać się kategoriami naszych podmiejskich zrad. Jego żona nic nie wiedziała o jego życiu.

Bam oderwał kawałek papieru toaletowego z jednej z rolek, które przezornie zabrała, i wyszedł w busz. Został po nim zapach potu. Tam, w mieście, nie wiedziała, jak on pachnie (zapach seksu jest inny, wspólny). Kąpiele sprawiły, że nie poznali się od tej strony. Nie знаła nawet zapachów, które może wydzielać jej własne ciało. W glinianych ścianach nie było okien, które można by szeroko otworzyć, żeby wywietrzyć kwaśny zapach mężczyzny. Ciało, które tak wiele razy pieściła w łóżku językiem, przez cały ten czas było zdolne do wytworzenia czegoś takiego. Rozpaliła ogień przed wejściem i poczuła słodki zapach dymu, gryzący aromat pękającego w ogniu drzewa. Inni – na przykład Martha – zawsze przezornie podtrzymywali płomień wewnątrz chaty. Tylko ci, którzy wciąż sądzili, że mieszkają w apartamencie z łazienką, uznaliby ze swej cywilizowanej perspektywy, że to niehigieniczne, a od ognia robi się za gorąco.

Rankiem przygotowali się do wyjścia. W czystych, niewyprasowanych ubraniach wyglądali bardziej obskurnie niż July i Daniel. Maureen nie próbowała używać jednego ze

starych żelazek z duszą, którymi miejscowe kobiety zaprasowywały idealne kanty na nogawkach znoszonych, wystrzępionych spodni. Była rozmowna, bawiła się czule z dziećmi, a gdy rzucały jakieś uwagi, uśmiechała się porozumiewawczo do Bama – w takim nastroju bywała wówczas, gdy wybierali się na rodzinny piknik albo do kina *drive-in*. Tkwili w środku bezkresnego buszu od ponad trzech tygodni, więc każda okazja, by się w niego zanurzyć, stanowiła atrakcję. Bam miał ochotę się ogolić. Ostatnimi czasy robił to rzadko. Nawet więzień, gdy nadchodzi przerażający dzień rozprawy sądowej, zapewne jest podekscytowany, że prowadzą go do karetki i będą wieźć, wyperfumowanego i uczesanego, ulicami miasta przesuwającymi się za metalową siatką. Tam, daleko, gdy mijały go więzienne furgonetki, Bam widywał palce więźniów wystających przez tę siatkę.

Czuł pod mostkiem nie tyle lęk, ile uciskającą pewność: szef każe im wyjechać. Troje dzieci, które biegały u wejścia – ich dziecięce sensacje, skargi, krótkie ekstazy – jego żona wbijająca kamieniem gwóźdź w podeszwę sandała i on sam, golący się w świetle przed chatą. Powie im, żeby się zabierali. Co go interesuje, że nie mają dokąd? Wcale ich nie zapraszał. Szeroki ruch ramieniem: miejsca dość dla każdego. A to wcale nie są ich obyczaje, tylko ludzi cywilizowanych – kiedy biały farmer sprzedawał ziemię albo umierał, następny właściciel do czarnych robotników, którzy od urodzenia żyli i pracowali na farmie, mówił krótko: „Idźcie”.

Nie wspominał żonie o swoim przeczuciu nie dlatego, by jej nie niepokoić – rycerskie nawyki z przedmieść nie

mogły usprawiedliwić trzymanie jej w niewiedzy odnośnie do tego, czego trzeba się bać, tak jak nie mogły się przydać, aby ją przed tym ochronić – lecz dlatego, że gdy z nią rozmawiał, nie wiedział, z kim rozmawia. „Maureen”. „Jego małżonka”. Córka fajnego faceta, który całe życie przepracował pod ziemią i z upodobaniem opowiadał o stemplach w Szybie Numer 4, gorącu pod Numerem 6 czy „złych przeczuciach” jego chłopaków (na długo przed tym, jak spadające wiadro ucięło mu palec w tym czwartym szybie), tak jak opowiada się o zakątkach miasta dzieciństwa. Dziewczyna w lycrowym stroju ucząca czarnych tańca nowoczesnego na wieczornych zajęciach, obserwowana przez swojego chłopaka, architekta o rozwiniętej świadomości społecznej. Jego żonaci klienci byli szczerzy, gdy mówili: „I proszę koniecznie przyjść z żoną na kolację”. Kobieta, której linia miednicy, ruch pośladków czy śmiech w towarzystwie innych ludzi niekiedy nagle, po piętnastu latach, znów stawały się bardzo atrakcyjne; ta właśnie osoba, oczywista jak kubek na kuchennej półce. Kobieta, dla której był „jej mężem”. Wspólniczka kolejnych spisków, które zawiązywali, by rozliczyć podatek, by zapełnić widownię szkolnej imprezy sportowej, by bez słowa, bez fizycznego kontaktu zlać się w jedno i stawić czoła któremuś z niebezpieczeństw tamtego życia – zazdrości zawodowej, reakcjonizmowi politycznemu, prześladowaniom rasowym, koneserskim rozkoszom posiadania.

Ona. Nie „Maureen”. Nie „jego małżonka”. Obecność w glinianej chacie, milcząca, zajęta własnym byciem, jaźń, za którą nie mógł podążyć, bo nie było tam żadnych znajomych przestrzeni, w których mógłby sobie wyobrazić

jej ruch, ani żadnych znajomych obiektów, na które mogłaby reagować. Z „nią” nie było podskórnego porozumienia, tylko krótkie chwile zetknięć. Tego ranka postanowiła pokazać się dzieciom jako „ich matka”, „jego żona”. Nie była jednak kimś, komu mógłby powiedzieć, że szef na pewno każe im się wynieść. Nie miał pojęcia, jak zareagowałyby na to jego przeświadczenie. Nie miał z nią żadnych wcześniejszych doświadczeń, na których mógłby się oprzeć. Sam nie wiedział, jak się z tym uporać, jak to przyjąć, wyjaśnić – komukolwiek – bo przecież przez te wszystkie dni jego celem (od którego realizacji zależała jego męska godność, wystawiana na próbę przez „Maureen”, „jego żonę”, Victora, Ginę, Royce’a żyjących na papce z kukurydzy) było wydostanie ich stąd. A teraz – pozostanie na miejscu.

Daniela z pewnością, nie musieli brać z sobą, ale mimo to znalazł się w grupie i żadne z nich nie stwierdziło, że powinien zostać. Dzieci kilkakrotnie musiały zmieniać miejsca w samochodzie, zanim uznały, że są zadowolone z tego, gdzie siedzą. July zajmował się ich przesadzaniem, tak jak dawniej ładowaniem walizek. Dzieci słuchały go, choć wcale nie próbował być sprawiedliwy jak ich rodzice i wyraźnie faworyzował Royce’a. Daniel usiadł z tyłu razem z nimi, a one natychmiast zaczęły rywalizować o względy nowego towarzysza zabaw. Gina chciała zabrać z sobą Nyiko, a ponieważ jej nie pozwolono, uznała, że ma prawo do Daniela, i krzyczała w jego języku, którego uczyła się w formie „intymnych pogaduszek” z przyjaciółką: „On jest moim przyjacielem, moim!”.

Maureen przestała zwracać uwagę na dziecięce kłótnie i usiadła na przedniej kanapie między kierowcą a drugim pasażerem.

Drzwi od strony kierowcy były otwarte. Bam obszedł samochód, kierując się do tych po przeciwnej stronie, ale July uprzedził go i wsiadł do środka. Nastąpiła chwila wahania, ale July nie patrzył w jego stronę. Bam przeszedł na oczach Maureen i Julya przed maską i zajął miejsce za kierownicą. Była na niej plastikowa nakładka z nadrukowanym lamparcim wzorkiem. Czegoś takiego nie sprzedawano w hinduskich sklepach, raczej w jakimś garażowym „butik”. (Uśmiechając się lekko, posłał jej ukradkowe spojrzenie. Przesunęła krótko wzrokiem po jego profilu – co takiego?)

Może July, tak jak Maureen, szabrował.

July machnął w powietrzu złożonymi w szpic palcami – naprzód, prosto. Samochód ruszył po ścieżce wydeptanej przez bydło. Ciernie z piskiem drapały szyby. Krowy o pokrzywionych rogach zbiły się w gromadkę, obserwując nadciągający żółty obiekt, a July otworzył okno i zaczął ostrzegawczo walić płaską dłonią w karoserię. Mijali chaty, których mieszkańcy robili to samo, co ludzie w miejscu, z którego nadjechali. Wszędzie to samo niekończące się zbieranie i rąbanie drewna na takie same paleniska. Takie same plecy pochylone nad praniem, nad kukurydzą; takie same dzieci, które chwiejnie nabywają umiejętności chodzenia, i starcy, którzy z wolna ją tracą. Powszechna akceptacja rzeczywistości budząca lęk w ludziach nienawykłych do życia tak blisko cyklu natury, a przyzwyczajonych

do wielkich wstrząsów i stanów przejściowych, takich jak „nowe życie”, na które każdy pracuje, czy zmiany polityczne.

Mijani ludzie spoglądali na pasażerów siedzących w pick-upie jak na coś, o czym słyszeli, a teraz widzą, to na własne oczy. Raz czy dwa July wykrzyknął do kogoś słowa pozdrowienia.

– Mam nadzieję, że nie wjedziemy na główne drogi, co?

– Nigdy! – July zaśmiał się. – Zaraz-zaraz dojeżdżamy.

Samochód zwolnił, wjeżdżając na obszar trawy noszącej ślady wypasu, jaki rozciągał się wokół każdej osady. Pojawiło się kilka chat, płoty ze śmieci, zielone prostokąty dyniowych poletek. July kazał skręcać troszkę w prawo, troszkę w lewo – kąty proste należały do innego świata z jego światłami ulicznymi i numerami domów. Nawet pick-upem trudno było przejechać przez koleiny publicznej drogi.

– Wolno, wolno.

– To tutaj?

July mówił z sennym spokojem, jak ktoś, kto jest świadomy zdenerwowania innych.

– My tu zatrzymamy przy tym miejscu z drzewem. Tylko poczekajcie tu troszkę, przy tym budynku tam. O, tam.

Siedzieli w samochodzie. Bam wyczuł, że Maureen milcząco oczekuje od niego, by kazał Julyowi wyjaśnić, co się dzieje – lecz tutaj nie było to już możliwe. July wysiadł i zatrzasnął drzwi, zanim ktokolwiek zdążył ruszyć za nim. Nie trzeba byłoby nawet pytać o drogę. Stali najwyraźniej obok domu szefa.

W ich oczach wyglądał raczej na kościół, szkołę lub inny budynek użyteczności publicznej, a nie prywatny dom. Zbudowany był z cegieł na planie prostokąta. Bam wygłosił kiedyś odczyt na temat takich budowli (*Potrzeby i środki ich zaspokajania w architekturze afrykańskiej wsi*). Nie każda społeczność mogła sobie pozwolić na blaszane pokrycia dachowe czy wejściową werandę z dwuspadowym daszkiem, których domagali się pierwsi misjonarze – najwyraźniej Bóg nie mógł mieszkać w okrągłej chacie czarnego człowieka. W domu tym był dach kryty blachą i dwie pary okien z kawałkami kartonu w miejscu powybijanych szyb. Obok na drzewie wisiał kawał stalowego kątownika, typowy substytut kościelnego dzwonu lub szkolnego dzwonka, w który walono, gdy nadchodziła pora zgromadzenia wiernych bądź uczniów. Nigdzie nie było jednak krzyża, a zamiast pylistego placyku z prowizorycznymi bramkami, który stanowił sportowe zaplecze każdej szkoły, przy budynku rozciągała się trawiasta przestrzeń z dwoma drzewami, zbyt wielkimi i majestatycznymi, by odcinać ich gałęzie na opał, pod którymi w ziemię wbito drewniane koniowiązy. Były do nich przywiązane trzy wierzchowce. W cieniu wsparty plecami o pień drzewa leżał jakiś mężczyzna. Daniel musiał

zabrać z sobą radio, gdyż mocny rytm perkusji i dźwięki popowej muzyki popłynęły z tyłu samochodu.

Bam wyszedł z samochodu i zbliżył się do tylnych drzwi.

– Co to za miejsce?

Royce i Victor bili się sztywnymi łodygami jakichś roślin o twardych owocniach. Gina, uśmiechnięta jak królowa, siedziała oparta o Daniela z małą dłonią, na gałce radia – ryk i rytm muzyki wydawały się z niej emanować.

– To miejsce? – Daniel roześmiał się, szukając słów, które Bam zrozumie. – To miejsce to... to *hubyeni*. Tutaj ludzie... ludzie przychodzą.

Bam wrócił do samochodu i przejechał palcami po pokrowcu z lamparcim wzorem na kierownicy.

– Wielkie Miejsce. Wielkie Miejsce szefa. To musi jest dom sądów. Robią, *kgotla* pod tymi hebanowcami. Kiedyś.

– To czemu tam nie idziemy?

– Skąd mogę wiedzieć?

Po chwili ciszy Daniel znowu się odezwał.

– Niech on to załatwi. On zawsze sprytny.

Wyczuł jakąś wrogą emanację z jej strony. Tkwili jednak razem w tej sytuacji – „Maureen”, „jego żona”, była tego świadoma. Dawniej bawiło ich, gdy July dokonywał kalkulacji na oderwanych marginesach stron w ich gazetach czy zakładał się o dziesięć centów i zarabiał randa,

przyjmując rolę pośrednika w grze w fafi na podwórzu ich domu. Ostrożnie podpuszczony w rozmowie, pocierał palec wskazujący i kciuk, uśmiechając się. „Każdy lubi pieniądze”. To jasne – gest Shylocka w wykonaniu człowieka tak biednego, że nie miał miastu nic do zaoferowania poza funtem własnego ciała i nic do zyskania prócz pieniędzy. Pieniądzy liczonych na żebracze sumy, którymi posługuje się służący.

Muzykę zastąpił natarczywy, triumfalny, radosny głos prezentera, typowy dla każdego radia. Zaczęły się portugalskojęzyczne wiadomości. Musiała to być transmisja z Mozambiku, lecz powtarzała się w niej podawana po angielsku nazwa „Bojownicy o Wolność Azanii”, a także nazwy miast – Pretoria, Johannesburg. Bam wychwycił ponadto kilka wzmianek o ambasadzie amerykańskiej. Wystawił głowę przez okno, żeby lepiej słyszeć, a potem znów wysiadł z wozu. Wyjął radio z rąk córki, ale wiadomości się skończyły i wśród dziecięcych hałasów nie usłyszał ich końcówki. Człowiek leżący pod drzewem wstał i podszedł do nich, by się im przyjrzeć i zamienić kilka słów z Danielem. Był boso, miał grube, groźne rysy wojownika i jedno oko jaśniejsze od drugiego, przez co zdawało się, że wciąż stara się odwrócić spojrzenie od tego, na co patrzy. Rozmawiał z Danielem o nim, białym mężczyźnie, który stał obok, próbując złapać jakąś inną stację. Rozmawiali tak, jak rozmawia się przy szpitalnym łóżku nieprzytomnego człowieka. Gina zafascynowała się odbiornikiem – znowu zabrzmiała muzyka. Gdy Bam odwrócił się, by wsiaść do kabiny auta, ujrzał Julya idącego w towarzystwie człowieka, który zbliżał się oficjalnym krokiem, wypinając brzuch. Miał

na sobie garnitur złożony z niepasujących do siebie spodni i marynarki, a także koszulę z kołnierzykiem i krawat. Nagle zatrzymał się, pozwalając Julyowi, który tego nie zauważył, postąpić kilka kroków naprzód, cofnął łysą głowę osadzoną na masywnej, gładkiej szyi i z dezaprobatą skrzywił twarz na widok pick-upa oraz siedzących w nim ludzi. Chwilę później znów ruszył ciężkim krokiem, tak jakby szedł wśród tłumów ścieżką przygotowaną przez Julya.

Dobrze, że nie było czasu, by wrócić do samochodu – w chwili spotkania z tym człowiekiem lepiej stać na zewnątrz. July jednak nie wywiązywał się ze swej roli i nie zamierzał ich sobie przedstawić. Zresztą cóż mógłby powiedzieć? „Szefie, to jest pan”. (Tak wiele razy tam, daleko, Maureen i Bam próbowali oduczyć go stosowania tego słowa białych kolonizatorów, ale on nie chciał, nie mógł przestać go używać, jakby nie było innego terminu, którym mógłby je zastąpić i który w jego odczuciu wyrażałby tak dokładnie relację między nim a Bamem. Kiedy jednak jakiś przyjaciel domu zajmował pokój gościnny albo przychodził na kolację i drinka w niedzielę, służący, którego każdy znał, swobodnie wymieniał z białym gościem pozdrowienia i rodzinne nowinki). Wielki czarny mężczyzna mrukliwie i pospiesznie wypowiedział powitalną formułę, której i tak by nie zrozumieli, przyjmując władczy ton, który wskazywał, że w rzeczywistości wcale nie są mile widziani ani akceptowani.

– Bamford Smales. Moja żona... nasze dzieci.

Wyciągnął rękę na powitanie, a czarny mężczyzna nią potrzaskał. Gdy starał się ocenić, co widzi – żółte auto, biały mężczyzna na zewnątrz, kobieta z dziećmi w środku –

przypominało to trawienie, któremu nie towarzyszą słowa, tylko różne odgłosy. Chrząknął, by skupiono na nim uwagę.

– Wy przyjeżdżacie skąd?

July na pewno mu to powiedział i człowiek ten na pewno, tak jak wszyscy wokół, wiedział o ich obecności w osadzie i znał ich historię. Jego pytanie było urzędowym rytuałem powtórnego pytania o poznane już fakty.

– Z Johannesburga. Przyjechaliśmy z Julyem.

– Tak, rozumiem...

Jego szczęka znaczącym, stanowczym ruchem uniosła się z łoża tłuszczu, a oczy ponownie oszacowały zawartość samochodu. Na ukłon kobiety odpowiedział poruszeniem guli sadła pod brodą. Daniel, dawniej kierowca mleczarskiej ciężarówki, wysiadł, stanął obok Julya i pozdrowił go gestem uniesionej pięści popularnym w czarnych dzielnicach miast, lecz został zignorowany.

– I przyjeżdżacie tutaj. Po co przyjeżdżacie?

Uśmiech – nieświadoma próba zaskarżenia sobie sympatii. Gdyby tylko wiedział, co sprawiłoby przyjemność... Dłoń Bama przebiegła po czubku głowy pokrytym krótkimi jasnymi włoskami i nieprzyjemną w dotyku, złuszczoną od słońca skórą.

– No cóż, wie pan, jak tam jest. To prawie wojna. Tak, to wojna. Mogliśmy zginąć. Nasze domy w mieście... spalono je, niektóre wysadzono. Ludzie musieli uciekać, naszym dzieciom mogła stać się krzywda. July nas tu przyprowadził.

July się wtrącił:

– On mówi mi, szef jest w domu. Jedziemy teraz do domu szefa.

Nagle w sposobie chodzenia szefa dały się zauważyć ruchy odźwiernego albo (zwłaszcza w oczach Maureen) *induny*, który trzymał wartę, siedząc na skrzynce po owocach pod budynkiem mieszkalnym górników. To pewnie dlatego nie wysiadła z samochodu, by zając miejsce u boku „swojego męża” jako „jego żona”. Tymczasem Bam raz jeszcze potrząsnął dłonią czarnego mężczyzny i ruszyli dalej.

– Kim on był? To znaczy, czym ten człowiek się zajmuje? Wydawało się, że Julya zawsze bawi rola mentora, tak jakby nie brał na poważnie woli lub zdolności białych ludzi do zrozumienia czegoś, co będzie im zupełnie nieprzydatne, bo to czarni musieli zrozumieć ich prawa oraz zwyczaje i zgodnie z nimi postępować.

– Sołtys. To sołtys szefa.

– Jest ich więcej czy tylko jeden?

Znów rozległ się śmiech.

– Jego jest dużo, jest dużo wiosek.

– Po jednym sołtysie na wioskę?

– Każdą wioskę. Ale ten to sołtys samego szefa. Ta sama wioska, gdzie mieszka szef.

Maureen przyjęła swą tradycyjną rolę tłumaczki.

– Rozumiesz? Pierwszy wśród sołtysów. Osobisty asystent – może doradca – szefa.

Prowadził żółtego pick-upa, klucząc w wąskich przestrzeniach między chatami z błota, ludźmi i zwierzętami. Przed niektórymi z domostw jaskrawymi kolorami odcinały się osadzone na trzciniowych tyczkach flagi sekt religijnych oraz szyldy *sangomów*: mężczyzn i kobiet, którzy rzucając zwierzęce kości, przepowiadali przyszłość i interpretowali przeszłość. Minęli na wpół rozsypane stoisko z trzciny opatrzone reklamą herbaty Teaspoon Tips, lecz nie zobaczyli żadnych towarów na sprzedaż. Bam odezwał się cicho do Maureen:

– Powinniśmy byli coś z sobą zabrać.

– Skrzynkę ginu i obietnicę, że przywieziemy uzbrojoną łódź?

– Butelkę whisky.

Gest dobrej woli, jaki przyjęło się wykonywać wobec stałego klienta, albo prezent dla farmera w podziękowaniu za udany weekend myśliwski. Trudno sobie wyobrazić, by mogli w ten sposób zmienić decyzję czarnego człowieka, który miał i prawo, i możliwość, by kazać im się wynosić. Gdyby jednak pomyślał o tym zawczasu, gdyby Julyowi udało się znaleźć gdzieś whisky (hinduski sklepikarz nie sprzedałby mu alkoholu), to powiedziałby mu, żeby ją kupił.

– Mówili coś o ambasadzie amerykańskiej.

– Tak, ale po portugalsku. Może to dotyczyło innej części świata.

– Nie, coś tam zrozumiałam... Mówili o Pretorii i Johannesburgu.

Zatrzymał samochód w miejscu wskazanym przez Julya. Była tam grupka typowych chat, z których jedna miała prostą werandę zrobioną z trzcinowych słupków, na których leżał kawał zardzewiałej blachy. Dziewczynka w wieku około dwunastu lat, której załóżki piersi rysowały się na czarnym torsie, chwyciła za ramię małe dziecko i zabrała je z drogi. Johannesburg, Pretoria. Miejsca równie obce jak wszystkie inne, które mogliby wymienić w radiu.

Wszyscy wysiedli z pojazdu i stanęli pod blaszanym dachem. Wokół każdej z trzcinowych kolumnienek woda wymyła ziemię, tworząc koliste zagłębienie o twardym, gładkim otoku barwy beżebnych dziąseł. Tutejsze wioski można by w całości usunąć jednym buldożerem albo obrócić w popiół jedną zapałką rzuconą w strzechę. Tylko ziemia, zdeptana do cna, świadczyła o tym, że stąpały po niej jakieś ludzkie stopy, ubijały ją czyjeś ręce, hartowały paleniska. Muchy tonęły w czarnym garnku, w którym zaskorupiała warstwę kaszy kukurydzianej zalano wodą i zostawiono do odmoknięcia. Z chaty wyszedł jakiś mężczyzna. W środku było zbyt ciemno, by coś tam dostrzec, trzeba by w tym celu stanąć w wejściu, czego gościom nie było wolno robić. Przybysz powiedział coś do Julya i znów zniknął w chacie.

Kobieta ze sprężynkami białych włosów sterczącymi teatralnie na głowie (miejscowi przeważnie nosili *doeks*, czapki) wyniosła blaszaną miednicę i wylała z brzękiem wodę. Następnie zwróciła się do Daniela, a ten wskazał jej

Julya. Zadawała Julyowi pytania, na które ten odpowiadał przyjaznym, żywym, skupionym i pełnym szacunku głosem, starannie modulowanym i gęstym od wykrzyknień. Przyszedł jeszcze jeden człowiek, wrócił też ten, który pojawił się wcześniej. Później rozmowa zamarła jak dobiegająca końca piosenka. Pozostawało już tylko czekać. Dzieci starały się głaskać koty, ale zwierzęta przeraźliwie bały się ludzi i schowały się za starą zardzewiałą kratownicą chłodnicy samochodu. Victor dopytywał się, czy ojciec ją kupi.

– Ona jest z prawdziwego morrissa, z tego modelu z kołami na szprychach. Proszę, tato, tylko spytaj! Może sprzedadzą. Ale spytaj!

Nie był w stanie odpowiedzieć synowi. Opodal leżał fotel samochodowy (z innego auta), na którym usiadła Maureen. Zachowywała się bardzo swobodnie – nie wiedziała, czego się od niej oczekuje, więc robiła to, co chciała. Bam usiadł obok niej. Przed operacją hemoroidów czekał w ten sposób na wózku w szpitalnym korytarzu z zimnymi stopami i umysłem unoszącym się tuż nad powierzchnią, zdenerwowania, co sprawiły jakieś środki, a może po prostu samo bezsilne oczekiwanie.

Nagle wstał. W grupie wcześniej widzianych ludzi pojawił się nowy mężczyzna, a July i Daniel natychmiast padli na kolana, składając dłonie. Człowiek ten był szczupły i nie ubierał się w swobodny sposób na modłę miejskich Afrykanów. Jak rozpoznać czarnego szefa, jeśli ma na sobie takie same łańchmany jak inni ludzie ze wsi? Tylko po nowym kapeluszu z krótkim rondem nasadzonym na

czubek głowy tuż ponad splotami żył widocznymi na wklęsłych skroniach.

Stał nieporadnie, taki wysoki, jasny i łysy przed szefem, któremu go przedstawiano. Szef podał rękę najpierw jemu, a potem jego kobiecie, taktownie pomijając dzieci, które z rozbawieniem i zdumieniem przyglądały się Julyowi i Danielowi. Matka dała im sygnał, by się nie odzywały.

Zza chaty przyniesiono kilka plastikowych krzeseł ogrodowych. Najwyraźniej nie był to dom szefa, lecz zewnętrzny dziedziniec, na którym przyjmowano gości. July i Daniel podnieśli się swobodnie, tak jakby nie wydarzyło się nic szczególnego, po czym wszyscy usiedli lub przykucnęli w rzędzie. By zobaczyć tego, kto się odzywał, trzeba się było pochylić i spojrzeć w bok. Kilka kobiet trzymających na głowie blaszane puszki z wodą przystało w odległości paru metrów, stając się publicznością, przy audiencji – nie ważyły się podejść bliżej.

Śrubki, które mocowały błyszczące siedzisko w kolorze masy perłowej do ramy krzesła Bama, były poluzowane i Bam przykręcał je machinalnie kciukiem, słuchając niezrozumiałych słów szefa. Szef mówił ostrym, niecierpliwym, sceptycznym tonem i widać było, że jest bystrzejszy od otaczających go ludzi, lecz nie znał żadnego z języków białego człowieka. Nie było mu to potrzebne. Ktoś taki jak on nie szedł pracować do kopalni ani nie najmował się jako służący. Rzucał pytania, na które właściwie nie spodziewał się odpowiedzi. Patrzył przy tym na swoich ludzi i na Julya z drapieżnym uśmiechem człowieka, który nie

zamierza wysłuchiwać żadnych niemądrych odzywek. Gryzł zapalną tkwiącą w kącie ust, słuchając, jak inni mówią.

July pełnił rolę tłumacza. Chryste, znowu te same pytania. Skąd przyjechali? Dlaczego tutaj?

– Szef mówi, pyta, tak, ja pracowałem dla was, ale on nigdy nie widzi białego człowieka przyjeżdża do miejsca swojego chłopca.

July przybrał neutralny wyraz twarzy tłumacza, który układa zdania, nie zwracając uwagi na ich odniesienie do własnej osoby. Daniel szczebiotał jak flirtująca dziewczyna. Maureen zaśmiała się, patrząc wprost na szefa. Najwyraźniej było to coś, co należało zrobić – szef przyjął jej śmiech jak aplauz, rozchylając porzeczkowoczarne usta i patrząc na nią akceptująco pośliskowymi oczami. Następnie przeszli do poważnych, bezosobowych spraw – rytuałów władzy, takich samych tutaj jak wszędzie indziej na świecie. Niezależnie od tego, czy chodzi o audiencję u papieża, przesłuchanie przez tajną policję czy rozmowę (w studenckich czasach) z dziekanem wydziału architektury, po tym jak druga strona uzna, że atmosfera już się rozluźniła, a przed wydaniem decyzji, następuje moment dyskusji twarzą w twarz. Szef chce wiedzieć, co dokładnie dzieje się w „Dżoburgu”. Chce się dowiedzieć od naocznego świadka – białego – co zmieniło się po trzystu pięćdziesięciu latach w relacjach między czarnymi i białymi.

– Kto wysadza w powietrze rząd w Pretorii? To ci ludzie z Soweto?

– Nie tylko z Soweto. Zewsząd. Tym razem w walce biorą udział wszyscy. Wytłumacz mu – w każdym mieście toczą się walki.

– On wie. I on pyta, dlaczego policja nie aresztuje ludzi jak w 1976 roku. Jak w osiemdziesiątym. Dlaczego policja nie strzela.

– Czarni służący w policji także włączyli się do walk. Nie będą już aresztować własnych ludzi. Od tego się zaczęło.

– A biali żołnierze? Nie strzelają do tych z policji?

Szef słuchał przekładu własnego pytania z przechyloną głową i ściągniętą twarzą, nie zamierzając nikomu dać się oszukać.

– Trwa wojna. To nie wygląda już tak jak dawniej. Czarni też mają karabiny. Ładunki. – Gest rzucania granatu. – Broń każdego typu, taką samą jak białe wojsko, cały ten zabójczy ekwipunek. Z Botswany, Zimbabwe, Zambii, Namibii i Mozambiku wrócili ludzie. Przywieźli broń.

Co chwilę szef konsultował się ze swoimi ludźmi. Biały mężczyzna przestał brać udział w rozmowie. Skupiona Maureen spytała Julya:

– Co on mówi?

– Mówi, nie wierzy w to. Biali ludzie nie strzelają, rząd nie zabija tamtych ludzi? Zawsze biali mają broń, czołgi, samoloty. Dawno. Nawet od czasu wojny czternastego króla,

wojny króla Jerzego. Od czasu Smutsa i Vorstera. Biały człowiek nie może ucieka. Nie. Dlaczego uciekają?

My i oni. My, czyli kto tym razem? A oni?

– Oczywiście, że strzelają, ale tym razem nie tylko oni mają broń. Czarni dysponują nawet samolotami – Kubańczycy mają bazy lotnicze w Mozambiku i Namibii.

My i oni. Co go tak naprawdę interesuje? Eksplozja ról, która zrujnowała Union Buildings i podpaliła sypialnie małżeńskie.

–I oni chcą was zabić – szef przemówił po angielsku bez słowa wyjaśnienia, z miną, która nie dopuszczała żadnej demonstracji zaskoczenia.

Maureen uznała, że to do niej się zwrócił. W chwili martwej ciszy znowu się zaśmiała, patrząc na niego. Może nie była w stanie mówić. Krew napłynęła pod jej spieczoną, piegowatą skórę, a na szczupłej twarzy zalśniły krople potu. Biedactwo – na ich oczach, zupełnie obnażona, zmieniała się jak kameleon i nic nie mogła na to poradzić.

Natomiast Bam – jeśli mieli ochotę ponapawać się klęską *umulungu*, białego baasa, *nkosi*, *morema*, *hosi* i jego rodziny, która trafiła w ich ręce – nie mógł im nic powiedzieć. Nawet July nie patrzył w twarz człowieka, którego dawniej z uporem nazywał panem. Okaz nie ma żadnych roszczeń. „I oni chcą. was zabić”. Jeśli to bawiło czy szokowało szefa – ot, uwaga, którą można odczytać, jak się komu podoba – to był to jego przywilej, przywilej drażliwego, niedożywionego starca, króla wędrownych robotników, morza nędzy, wiosek pozbawionych mężczyzn,

pól bez traktorów, dzieci kaszlących w szmaty. Lecz gdy zostanie wydany werdykt – „Won, wynoście się” – królewska władza tego właśnie człowieka nakaże Julyowi, by oddał samochód. Czy poddany, który tak długo żył na przedmieściach pod panowaniem innej władzy, której upadek właśnie oglądał (nawet białe kobiety szabrują leki z aptek), uzna rozkaz szefa?

Parę osób wstało i wyszło. Być może audyencja dobiegła końca. Ale nie, to tylko przerwa. Szef głęboko wciągnął powietrze przez szpary między zębami. Każdy uważnie słuchał tego dźwięku, jakby coś oznaczał. Kiedy przemówił, odezwał się we własnym języku; July tłumaczył.

– Myślicie, oni znajdują to miejsce z tamtymi swoimi ludźmi?

– Nie rozumiem szefa.

– Tamtymi ludźmi, oni walczą z innymi.

Daniel podpowiedział coś Julyowi i z potoku obcych słów wypłynęło jedno znajome: Kuba.

– Chodzi o to, czy Kubańczycy tu trafiają? Skąd mogę wiedzieć?

– On mówi, rząd jemu zapowie dawno, Rosjanie i tamci – co Daniel mówi – zabiorą mu jego ziemię.

– No tak, rząd. Władze opowiadały takie rzeczy lokalnym przywódcom, szefom. Ale teraz czarni walczą o to, żeby odzyskać ziemię zabraną przez białych.

– On pyta, twoją ziemię też?

– Ja nigdy nie miałem ziemi, nie mam farmy.

– Twój dom też?

– Och, mój dom... Tak, on stoi na ziemi, na której mogli się budować wyłącznie biali. Może go zabiorą, a może nie.

Może stoi pusty. Może go spalono. A może Ellen, kobieta Julya, wprowadziła się do pokoju w podwórzu i po kryjomu się wszystkim opiekuje...

Szef znów odezwał się po angielsku sam do siebie.

– Ci ludzie z Soweto. Przychodzą z Rosjanami, z tymi drugimi z Mozambiku, a wszyscy chcą zabrać ziemię mojego ludu. I co? To nie nasz lud. AmaZulu, amaXhosa, baSotho... Nie wiem. Oni już byli przy kopalni, przychodzą blisko. Jeśli przychodzą, rząd da mi karabiny. Tak! Dadzą karabiny, my zabijemy tych ludzi, gdy przyjdą z ich karabinami. – Nachylił się mocno do przodu, a jego nogi zgięły się w kolanach jak ostrze scyzoryka.

– Przyniesiesz mi swoją broń i nauczysz, jak strzela. Dawniej biali ludzie nie pozwalali nam kupimy broń. Nawet mi, choć jestem szef, ani mojemu ojcu i ojcu jego ojca – nigdy nie mamy broni. Kiedy ci z Soweto i Rosjanie, i ci, jak tam ich nazywasz, przyjdą, ty strzelasz razem z nami. Pomożesz nam.

Szef przestał mówić po angielsku i odezwał się we własnym języku. Zaczął przemawiać do wszystkich zebranych, wyrzucał zdania dudniące majestatycznie w jego żelaziscie ciemnej i żelazem żebrowanej piersi, która prześwitywała przez tanią nylonową koszulę, zdania

kończące się syknięciem wdychanego powietrza z głośnym „klik!” dobiegającym z głębi gardła.

– Moją broń. – Bamford Smales wstał i zwrócił się w stronę żony, która siedziała z dłońmi zaciśniętymi w pięści na udach. Nie napotkał jej wzroku, dostrzegł tylko ruch gałek ocznych pod współprzymkniętymi powiekami. Śledziła spojrzeniem mrówki, które pod jej nogami tłoczyły się na wydeptanej ziemi wokół zmiażdżonego owada. Wyglądała jak człowiek zahipnotyzowany, którego niebezpiecznie jest przywracać do rzeczywistości.

– Moją broń? – Nie zdawał sobie sprawy z tego, że rozłożył szeroko ręce, aż spostrzegł, że July i inni czarni wpatrują się zaskoczeni w jego rozwarte dłonie. – Nie będziesz strzelał do własnych ludzi. Nie będziesz zabijał czarnych. To ludzie Mandeli, Sobukwego. – Czy oni nie zapomnieli Luthuliego? Czy słyszeli o Biko? Nie należał do ich „ludu”, ale był sławny w Nowym Jorku, Sztokholmie, Paryżu, Londynie i Moskwie. – Nie zamierzasz chyba chwycić za broń, żeby pomóc białym władzom zabijać czarnych, prawda? Prawda? Za to, za tę wioskę i dziki busz? W dodatku wtedy zginiesz. Nie możesz dopuścić do tego, żeby rząd napuścił was na siebie. Wszyscy czarni to twój lud.

Podobnie jak szef, July i wszyscy inni Maureen słyszała, jak Bam mówi to, co dawniej on i ona nieustannie powtarzali jego słowa były jak lament, jak cytaty z ich życia rzucone w milczący busz, do którego wpadli oderwani od tkaniny swoich losów jak obłuzowane guziki, które odpadają od ubrania i gdzieś się gubią.

Zapałka powędrowała z prawego kącika ust szefa do lewego. Mężczyzna wciągnął powietrze przez szczelinę między zębami.

– Ile masz w osadzie Mwawatego? – Jedno oko przymknięte, ręce złożone jak do strzału. „July” było oczywiście imieniem wymyślonym na użytek białych. Przez piętnaście lat nie dowiedzieli się, jak poddany szefa naprawdę się nazywa.

– Jedną strzelbę na ptaki. Ptaki do jedzenia. Udało mi się też nią, zabić dwie świnki.

– Nie masz nic innego? Rewolweru? – Wiadomo, że biali trzymają taką broń w sypialniach, żeby chronić swoje radia, telewizory i piękne ubrania.

– Ja nie strzelam do ludzi.

Krótkie, pełne dezaprobaty prychnięcie z ust czarnego człowieka, po nim śmiechy zebranych.

A kiedy nikt ci nie wierzy, zaczynasz adaptować się do sytuacji, dopasowywać do oskarżenia – sam przestajesz sobie wierzyć. Biali tam, w mieście, spytaliby: „Chcesz powiedzieć, że nie broniłbyś żony i dzieci?”.

Mąż Maureen kopnął leżącego przed nią wielkiego martwego owada. Insekt wylądował w słońcu przed Giną i trojgiem czarnych dzieci. Cała grupka zerwała się z piskiem. Gina, złączona z dziećmi przerażeniem, pobiegła za pozostałymi i musiał ją przywołać, inaczej zniknęłaby w ciemności tej czy innej chaty i jak zawsze nie dałoby się jej znaleźć, bo mieszkańcy domostwa przyjęliby ją do siebie,

tak jak nigdy nie przyjmowali jego lub jego żony. Alkoholowa zażyłość zabaw przypominała bowiem raczej relację między mężczyznami w pubie, którzy nigdy nie zapraszają się do swoich domów.

– Zbieramy się, czas wracać!

– O, nie, jeszcze nie... Już jedziemy?

Tak, czas wracać do domu. Gina czuła się jak w domu wśród kurcząt, popiołów palenisk i wspólnych garnców pełnych kaszy kukurydzianej w osadzie Julya. Bamford Smales z żoną oraz szef wstali i rozmawiali jeszcze przez parę minut, wymieniając uwagi o tym, że przydałaby się kolejna ulewa. Dziękujemy, jakie miłe spotkanie, cała przyjemność po mojej stronie. Szef dał do zrozumienia, że w razie czego mogą się mu poskarżyć na Julya.

– Wszystko tam w porządku? On dobrze sprawuje? Macie jedzenie, wszystko, co chcecie?

Maureen uśmiechnęła się w stronę Julya i powiedziała to, co trzeba było powiedzieć:

– Wszystko mu zawdzięczamy.

Biali kolejno, jedno po drugim, uścisnęli dłoń szefa i szych. Szef odsunął się o krok, jakby oficjalnie przyjmował prośzenie.

– Przyjadę zobaczyć broń. Nauczysz mnie.

Po drodze nie rozmawiali przy Julyu. On sam uprzedził krytykę czy też po prostu postanowił wyjaśnić im sytuację (Maureen potrafiła interpretować jego intencje, Bam nie):

– Afrykanie zabawny lud. Nie chcą. wiedzą o tym narodzie czy tym narodzie. Lud ze wsi. Zna tylko własny naród.

Maureen najwyraźniej dobrze go rozumiała.

– Twój szef chciałby żyć w spokoju. Ale to niemożliwe.

– On gada, gada. Za dużo gada.

Ich przezorne milczenie wzbudziło w Julyu potrzebę dyskusji.

– Wy powiecie mi, co on może zrobić? Powiecie?

– Sam ci powiedział. Będzie walczył.

– Jak on może walczy? Czy widzieliście, żeby walczy, jak rząd przychodzi i każe płaci podatki? Jak mówili, musi zabije dużo bydła? Musi zrobi to albo to. On jest naszym szefem, ale nie walczy, kiedy biali mówią mu, co chcą – co oni chcą. Jak teraz może walczy, kiedy przychodzi czarny żołnierz? To biedny człowiek. Szef, ale biedny, nie ma pieniędzy. Jeśli oni przyjdą, ci, jak ich nazywacie, których przyprowadzą ludzie z Soweto, to zjedzą, jego kukurydzę, jak głodni, zabiją krowę – co on zrobi? Nic nie zrobi. Gada, gada...

W ciasnej przestrzeni kanapy połączyło ich ciepło ciał. July prowadził. Gdy podwiózł ich prawie pod samo wejście do chaty – domu matki, który im ofiarował – oddzielili się od siebie z wilgotnym młaśnięciem jak dojrzałe owoce. Następnie odjechał, by postawić samochód w kryjówce, zabierając na przejażdżkę Victora, Ginę, Royce'a i inne dzieci, które podbiegały do jadącego auta. Daniel zajął fotel pasażera i znowu siedzieli obok siebie. Wracając z powrotem do osady, July znów miał kluczyki w kieszeni.

Po raz pierwszy Smalesowie wracali do tej chaty: żelazne łóżko, kuchenka do gotowania, różowe filiżanki i spodki w pokrytej plamami rdzy emaliowanej miednicy, puszka mleka w proszku, paczka cukru przykryta gazetą. Żyjąc wśród tych przedmiotów, przestali zwracać na nie uwagę. Teraz jednak czekały na nich. Weszli z jasności dnia w mrok pomieszczenia, w którym więcej wyczuwali, niż widzieli – zwiędła, okopcona trawa, ziemia wilgotna od tego, co wylało się z naczyń i wyciekło z ciała, a nie od rosy i deszczu. Z trudem rozróżniali swoje sylwetki. Snop światła padał z wejścia na kwokę o nagiej szyi, która siedziała na walizce z ich dobytkiem. Maureen przeczytała w milczeniu treść naklejek, tak jakby nigdy wcześniej ich nie widziała: Statler-Hilton Buenos Aires Albergo San Lorenzo Mantua Hotel Heerengracht CapeTown. Bam zgonił kureę.

– Nie kładź się na łóżku.

Zaczynali już się widzieć, wciąż jeszcze trochę oślepieni. Bam odwrócił się tylko na tyle, by posłać jej spojrzenie: a kto twierdzi, że zamierzałem się kłaść? Maureen zapaliła piecyk – oleisty zapach wprowadzał domową atmosferę.

Mieli kiedyś przyjaciółkę, którą zatrzymano, podejrzewając ją o współpracę z czarnymi rewolucjonistami. Spaliła sweter noszony w więzieniu, bo jego zapach na zawsze skojarzył jej się z zapachem celi. Bam włączył radio i pokręcił gałką, próbując na najróżniejsze sposoby ustawić antenę. Jego palce poruszały się ostrożnie i niezdecydowanie, jakby starał się złamać szyfr kasy pancерnej. Antena migotała jak ranna langusta, którą złowił kiedyś w Gansbaai. Żona gestem zaproponowała, żeby wymienić baterie, pokazując mu nowe, które trzymała w dwóch palcach, lecz on pokręcił głową. Nie ma muzyki sfer, nauka zabiła ją wraz ze wszystkimi innymi mitami. Są tylko dźwięki chaosu, ryki, zgrzyty, trzaski, z których wyłonił się porządek świata. Poza tym światem nie ma spokoju – w nim również. Kiedy hałas na moment umilkł, usłyszeli westchnienie kosmosu – szum czasoprzestrzeni, falę nakładającą się na wszystkie inne.

– Daj mi spróbować.

– Magiczne palce...

Czarna skrzynka, która trafiła w ręce Maureen, nie zawierała zapisu ich katastrofy, wyrzucenia z przedmieść w dzicz. Dostarczała im tylko najświeższych wiadomości z wojskowej sieci radiowej, a potem zamilkła. Może stało się to, co musiało się stać. Maureen wypróbowała wszystkie częstotliwości, których wcześniej próbował Bam, po czym poruszyła się niespokojnie.

– Cholerny złom.

Oddała radio Bamowi. Powiesił je na gwoździu, na którym poprzednia lokatorka wieszała motyczkę.

W miejsce chaosu wdarły się dźwięki ładu, w jakim żyli July i szef. Ktoś nucił melodię do rytmu swoich kroków. Dziecko czkało, niesione na czyichś barkach. Stare głosy i okrzyki młodych mieszały się, tworząc świat dźwięków będący dla mieszkańców osady gazetą, biblioteką, archiwum i kinem. A z buszu, z bliska i z oddali, z rejonów za miejscem, w którym znów widziała żółty kształt samochodu osłoniętego czarnymi gałęziami, nieustannie dobiegały inne odgłosy – krople wody padające z wąskiej szyjki słoika; zew sokoła, który odezwał się tylko raz, a potem zamilkł w buszu mającym początek, lecz nie koniec.

– Gdybym tylko wtedy lepiej usłyszała... To było po portugalsku, ale i tak mógłbym coś zrozumieć.

Jej wyczekująca mina raczej niweczyła pewność siebie męża, niż ją wzmacniała. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale tylko nabrał powietrza i przesunął ręką po szyi, jakby się dusił.

– Jaka to była częstotliwość? Dobrze zapamiętałeś? Jesteś pewny?

– Sama przeszukałaś wszystkie,

– Może to wina odbiornika. Możemy pożyczyć radio Daniela, jak wróci. Auto stoi na miejscu. Nie wiem, dokąd oni poszli, nie widzę ich.

Nie musiała się już martwić o dzieci – nakarmiła je, a one same, tak jak czarne dzieci, wiedziały, jak o siebie zadbać.

Bam kręcił się po ciasnym wnętrzu chaty za jej plecami. Słyszała, jak uderza pięścią w otwartą dłoń, tak jak wtedy, gdy opowiadał, że ma nadzieję na otrzymanie intratnego zlecenia projektowego. Nie potrafili sobie wyobrazić, co teraz dzieje się tam, w podmiejskich supermarketach, gdzie białe rodziny podczas sobotnich wypraw po zakupy jadły lody, kupowały sobie podkoszulki z imionami („Victor”, „Gina”, „Royce”) i aby zobaczyć inny świat, oglądały wystawy fotograficzne, których najczęstszym tematem było życie w czarnych dzielnicach.

– W zeszłym roku była ta wiadomość... chociaż nie wiem, może to było parę lat temu... Congressional Research Service poinformował Kongres, że można wysyłać samoloty w celu ratowania zagrożonych obywateli amerykańskich. W pierwszym tygodniu po naszym przyjeździe, kiedy montowałem zbiornik – pamiętasz? – wspominali o czymś takim w wiadomościach. Może to, co wtedy usłyszeliśmy...

– Ty usłyszałeś, ja nie.

– ...to było właśnie to. Pretoria, Johannesburg, Kongres Stanów Zjednoczonych...

Maureen przykucnięta w wejściu odsuwała sobie skórki, które narastały niczym suche pajęczyny na jej zabrudzone ziemią paznokcie u stóp. Zawsze dobrze czuła się w swoim ciele, poruszała się ze swobodą tancerki, mimo

że już nią nie była. Teraz zaś oglądała je w obsesyjnym skupieniu skazańca, który nie ma nic poza samym sobą.

– Samoloty, żeby ratować Amerykanów.

– I obywatele innych krajów europejskich. Tak mi się wydaje. Tę informację przedstawił przed Kongresem człowiek nazwiskiem Robson... nie, Copson, tak jest.

Nie musiała mu wcale przypominać, że oni i ich dzieci nie są ani Amerykanami, ani Europejczykami z krajów europejskich. On zaś nie musiał przypominać jej, że mogli stać się Europejczykami z obywatelstwem kanadyjskim. Skoro wszyscy biali w oczach czarnych stali się wrogami, to chyba mogli stać się także „Europejczykami” w oczach Amerykanów?

Poczuła jego spojrzenie na swoich palcach obskubujących skórki. Rozprostowała nogi i wsunęła dłonie pod pachy.

– A ta sprawa z bronią?

Podszedł do niej i przykucnął. Uśmiechnął się lekko i powiedział:

– Wiesz, co myślałem? Byłem pewny, że sprawy potoczą się inaczej. Sądziłem, że on każe nam się wynosić. Każde inne rozwiązanie to ulga.

Odwróciła głowę. Odezwała się:

– A co z bronią?

– Wyobrażasz mnie sobie w roli najemnika? Nakierował na siebie wewnętrzne oko jej umysłu. Prosił ją, by

wyobraziła sobie kogoś, kto właśnie przybył, podczas gdy widziała mężczyznę, który został daleko.

– Widzisz, jak rzucam granaty południowoafrykańskiej armii, żeby ochronić jakiegoś reakcyjnego nieszczęśnika ze wsi przed wyzwoleniem przez jego własny lud?

Wyjęła dłonie spod pach i klasnęła nimi od niechcenia: och, znowu o tym. Znowu padły zdania, którymi posługiwali się tam, daleko.

– Za kogo ty mnie masz? – Gniew zaczął obracać w nim jakiś trybik, który nie chciał zaskoczyć.

– Co zrobisz, jak on faktycznie przyjdzie? Jak przyjdzie na lekcję strzelania?

– To nonsens. Jedna strzelba. Zabaweczka. Tam w buszu toczy się wojna.

– On uważa, że ta strzelba to tylko próbka, model pokazowy. Będą inne – sam powiedziałaś. Dostanie granaty z armii. Ostatnia dostawa sprzętu od rządu dla wiejskich szefów. Więc jeśli przyjdzie...

Pragmatyzm i tyle, powiedziała, kiedy przyjechali do tej dziury i zaczęła żałować, że uczyła się baletu, a nie chociażby znienawidzonego *fanagalo*. A on o dawnym życiu powiedział, że jeśli były w nim kłamstwa, to były. Bez powodzenia starał się znaleźć słowa, które nie pochodziłyby stamtąd, tylko opisywały prawdę powstającą tutaj, wśród czarnych i wśród nich samych. Przez chwilę poczuł wielki dramat ukryty w monotonii dni, tak jak ona wyczuwała obecność samochodu ukrytego w jednorodnej materii

buszu. Ale słowa nie chciały się pojawić. Blokowało je stare słownictwo: „wiejskie zacofanie”, „siedliska kontrrewolucji”, „zaniechanie pokojowych zmian nieuchronnie prowadzi do wojny domowej”... Znała to wszystko, słyszała, zanim się wydarzyło. A gdy już się wydarzyło, okazało się czymś, na co nie można było się przygotować. Nie pozwalały na to śródki, które dotąd wystarczały. Brakowało słów – jego myśli, jego gniew nie miały się do czego odnieść.

– Widziałaś, jak on pozwolił mi poprowadzić w drodze do szefa? Dostałem nagrodę. July zrobił się ostatnio bardzo pewny siebie. Zresztą nie ceni szefa zbyt wysoko. Słyszałaś, co o nim opowiadał.

Maureen mrugnęła powoli kilka razy.

– Myślę, że July mówił o sobie.

– O sobie? Jak to?

Spostrzegł, że tym razem Maureen naprawdę mówi coś ważnego, a nie tylko prowokuje go, by się odsłonił w jakiś niezrozumiały dla niego sposób. Nie chciał ani wysliznąć się z pętli, ani zacieśnić jej na swojej szyi przez niewłaściwą reakcję.

– To on zawsze wypełniał rozkazy białych. W biurze przepustek. Na policji. U nas. Jak mógłby oprzeć się czarnym, nawet gdyby kazali mu zabijać własne krowy, żeby nakarmić powstańców?

– Ale tak będzie dla nich lepiej. – Niektóre stare zdania jednak zachowały moc. – Lepiej dla jego ludu, nawet gdyby okazała się potrzebna pomoc Kuby albo Rosji.

– A więc July nie będzie toczył świętej wojny za tamtego starca. Nie zamordował nas we śnie i nie będzie wojownikiem swojego plemienia.

– Morderstwo we śnie? – Podążał śladem jej myśli to w jedną, to w drugą stronę, bojąc się, że ją zgubi. – Nie sądzisz chyba... – Przerwał. – Nie sądzisz, że przywiózł nas tutaj, żeby nas sprzedać? Prawda?

– A co sobie pomyślą czarni? Co pomyślą bojownicy o wolność? Czy dołączył do ludzi z Soweto? Zabrał swoich białych i zwał. Zabawny jesteś. Mówisz tak, jakbyśmy nie siedzieli tu w ukryciu, bojąc się pójść dalej niż za rzekę.

– Oczywiście, że się ukrywamy. Ukrywamy się... – Uniósł głowę i potrząsnął nią z niedowierzaniem raczej niż chęcią zaprzeczenia. – Ukrywamy się przed krótkotrwałym zamętem i bezsensowną śmiercią. On nas ukrywa.

– Żył z nami przez piętnaście lat. Póki żyje, nikt mu tego nie zapomni, o to chodzi? Dobra odpowiedź dla czarnych, którzy giną, by go wyzwolić.

– Dobry Boże! Przecież on sam ryzykuje życiem, trzymając nas tutaj! Chociaż mam wrażenie, że na szczęście nie zdaje sobie z tego sprawy...

– Więc lepiej się wynieśmy.

Patrzyła na niego tak jak nigdy wcześniej – martwymi oczami, triumfalnie, jakby ją własnoręcznie zabił, bez żadnych pretensji. Ty nie mógłbyś być najemnikiem. On nie przyłączył się do swoich w mieście.

Oboje przyglądali się – on oczami swojej świadomości – okazałemu mężczyźnie o jasnych włosach i pełnych gniewu oczach, którego poczerwieniałe czoło przecięły zmarszczki udręki.

– Dokąd? Dokąd?

W tej samej chwili (z dziwnym poczuciem, że są jak para kochająca się w małżeńskiej sypialni w niedzielny poranek, gdy nagle ktoś z hukiem otwiera drzwi) usłyszeli zbliżające się głosy dzieci.

Lecz Maureen nie pozwoliła mu uniknąć logicznych wniosków płynących z jego pytania. Gdy Royce wpadł do chaty, tańcząc, drobiąc i boksując się na niby z heroiczną fantazją o dorosłym życiu, powiedziała:

– I jak. Jak?

Biała kobieta nie rozumiała, że idą naciąć trzciny, a nie zebrać liście do gotowania. Poprowadziła ją i wskazała sierp starej kobiety o ostrzu serbrzystoczarным i gładkim jak język węża, a rękojeści owiniętej rzemieniami z krowiej skóry. Wydobyły go z mroku chaty do przechowywania drewnianych jarzm i postronków dla wołów. Martha miała na plecach garb, roczne dziecko, na głowie zaś niosła blaszaną miskę, w której leżała mała maczeta, zimna *pap* zawinięta w szmatkę oraz butelka po soku pomarańczowym napełniona bladą mieszanką herbaty i mleka w proszku. By się porozumieć z białą kobietą, przypomniła sobie kilka słów w afrikaans. Były to wieloznaczne słowa slangu używanego w kopalniach i miastach przez górników z brygad kiepsko wykształconych białych brygadzystów: *din-gus*, coś, wihajster.

– *Vir die kuis. Daardie dingus.* – Miała wolne ręce i z głową sztywno wyprostowaną pod ciężką koroną bagażu zarysowała dłońmi kształt spadzistego dachu. Staruszka przymknęła wyblakłe oczy i przyjaźnie, przyzwalajaco mruknęła. Podczas gdy jej synowa starała się odpowiedzieć na pytania białej kobiety, której trzeba było pokazać, czym różnią się rośliny, jakich nawet krowa nie wzięłaby do pyska, od tych, które sprawiają, że jej dzieci będą silne, stara kobieta skorzystała z okazji, by ją sobie dokładnie obejrzeć, w czym zawsze dotąd przeszkadzały uśmiechy i gesty szacunku, jakie tamta wykonywała, sądząc, że tak właśnie postępują czarni. July raz za razem powtarzał matce, że biała kobieta w domu zachowywała się inaczej. Dom, czyli

miejsce, w którym jest specjalne porcelanowe pomieszczenie do załatwiania potrzeb. Nawet July takie miał w podwórzu. Sama nigdy nie pracowała dla białych z wyjątkiem wyjazdów na farmy do pielienia pól, a wtedy nikt jej nie instruował, gdzie i co ma robić. Takich rzeczy nie będzie jej mówił żaden biały!

Trzcina miała właściwą wysokość, a powietrze nie było ani za wilgotne, ani za gorące i suche – panowały idealne warunki do ścinania trzciny na strzechy, a ona знаła najlepsze miejsca występowania wszystkich traw do wyrobu szczotek i dachów. Wybierała się w górę rzeki do kępy zarośli, którą obserwowała od tygodni, jeszcze zanim jej syn przywiózł białych. Uśmiechnęła się, unosząc gumowatą górną wargę i eksponując bezzębne dziąsła, po czym pokazała palcem białą kobietę: ty, tak, ty.

Ale ona nie rozumiała, że chodzi o trzcinę na dach chaty, którą jej zabrała. Martha skarciła teściową w ich własnym języku, ale takie były fakty, a ona mogła mówić, co jej się podoba, bo biała nie rozumiała niczego. Biedactwo, *nhwanyana* (matka July a używała tego terminu, „moja pani”, na określenie każdej białej kobiety – dotarł do niej z kolonizatorskiej przeszłości). Uśmiechała się do niej, by pokazać, że rozumiała dowcip, bo pewnie sądziła, że jakiś padł. „Oni mają pieniądze. Niech jadą do swoich krewnych, do innych białych, skoro mają, kłopoty”, mówiła stara kobieta, kiedy ich mała grupka szła przez busz. Synowa jej chyba nie słuchała, więc słowa te wybrzmiewały jak refren piosenki.

*

– Pojechali do niego. Przywitał ich.

Kilka dni po wizycie białych u szefa żona Julya powiedziała mężowi, co myśli. Nie nawykła do jego obecności i porozumiewania się z nim twarzą, w twarz. Wcześniej między listami upływało dużo czasu, w którym opowiadała sobie na różne sposoby to, co chce i próbuje mu przekazać. Raz wysłała telegram. Jej młodszy brat miał kłopoty – była bójka, spłonęła chata. Człowiek, który jeździł na białą farmę i wiedział, jak się zachować na poczcie, stwierdził jednak wtedy, że wszystko dla niej załatwi jak należy, bo wie, co się pisze w telegramach. Wysłał tekst: MATKA BARDZO CHORA PRZYJEŹDŹAJ.

Teraz jej mężczyzna był razem z nią w chacie. Dawała mu jedzenie, a on był na miejscu i patrzył na nią, gdy do niego mówiła.

– W takim razie szef może znaleźć dla nich miejsce w swojej wiosce.

July milczał, a ona nie mogła się doczekać jego odpowiedzi.

– Może to właśnie zamierza zrobić.

Próbowała go osaczyć swoim rozumowaniem. Czy sądziła, że goni kurczaka?

– Po co szef miałby to robić? Kto ci to powiedział?

– Nikt.

A po chwili:

– Sam ich tam zabrałeś.

– Więc wywnioskowałaś sobie, że szef da im dom?

– Pytałeś go?

Nabrał *pap* w dłoń, energicznymi ruchami zagniół ją w kulkę i wrzucił do ust. Uniósł ubrudzone palce w górę na znak, że ma coś do powiedzenia, tylko za chwilę, za moment.

Nie spieszyło jej się. Być może chciał wymyślić odpowiedź na wszystkie pytania, jakie mogłaby zadać jemu, człowiekowi, który dowiedział się tak wiele więcej od niej.

– Ty sama się go spytasz. Widziałem, że położyłyście pod ich domem snopy trzciny na strzechę. No dobrze, to dom *mhani*, wiem. Ale czemu to zrobiłyście? – Podał jeszcze jeden powód swojego sprzeciwu, który, o czym oboje wiedzieli, nie był podstawowym powodem: – Ich dzieci bawią się tą trzcina. Połamią ją i zniszczą. Wasza praca pójdzie na marne.

– To ona powiedziała, że nadszedł czas. Trzcina nadawała się do ścięcia. Chciała to zrobić, zanim inne kobiety zabiorą najlepszą trawę. Nie mogę mówić twojej matce, że nie wolno jej czegoś zrobić. Jestem jej córką, muszę jej pomagać. Może zapomniałeś to i owo.

– Co masz na myśli?

Znów przechyliła głowę, by powstrzymać wybuch jego gniewu, i choć się nie bała, przemówiła łagodnym, uniżonym tonem:

– Musiałeś nauczyć się żyć tak jak oni. Byłeś tam tak długo...

– Ponad piętnaście lat, tak... Pierwszy raz wyjechałem w 1965 roku, ale wtedy nie pracowałem u nich, tylko w tym hotelu, na zmywaku w kuchni. Wtedy nie miałem nawet papierów. Nikt z nas ich tam, na kuchni, nie miał. Właściciel pozwalał nam spać w składziku i zamykał nas, żeby nikt nie kradł i nie wynosił jedzenia. – Stare dzieje. Jego historia. Żona potakiwała przy każdym zdaniu, jakby odhaczała punkty z listy. – Hotel spłonął w zimie. Piecyk parafinowy wzniecił pożar, ludzie nie mogli się wydostać. Bóg był dla mnie dobry.

Nie spalił się żywcem w mieście białego człowieka i pracą, zarobił na spłaceniu jej ojca (wcześniej spłacił bydło). Urodziła wtedy pierwsze dziecko i wyszła za niego za mąż. Oto, co jej się przytrafiło, jej historia. Mąż wracał do domu co dwa lata, a kiedy wyjeżdżał, rodziła kolejne dziecko. Czas następnego powrotu przypadał na przyszły rok, ale on przyjechał z tymi swoimi białymi ludźmi znacznie wcześniej i już w tym miesiącu nie krwawiła.

Popatrzył na nią. boleśnie i z litością, jakby chciał w ten sposób ustrzec się przed dostrzeżeniem czegoś lub kogoś innego. Zaczął mówić z entuzjazmem i pośpiechem, nie zastanawiając się nad tym, czy to, co mówi, jest rozsądne:

– Kiedy walki się skończą, zabiorę cię z sobą,. Zabiorę cię tam i wszystko ci pokażę, będziesz tam ze mną mieszkać. Dzieci też.

Z wysuniętym podbródkiem, półuśmiechem na ustach i błędzącym spojrzeniem odkrywała siebie w oczach innych ludzi.

– Ja – tam! Co ja bym robiła w tych wszystkich miejscach. – Westchnęła, cmokając z niedowierzaniem. – Wyobrażasz mnie sobie na ich podwórku? Przecież ja bym się tam pogubiła, kto by mi powiedział, dokąd iść? – Zaśmiała się i zadrżała wstydliwie. Pochyliła się, żeby zabrać jedzenie, lecz on położył jej dłoń na ręce na znak, że nie skończył, mimo że wcale nie jadł, i znów widział przed oczami coś, o czym ona nie miała pojęcia – te kobiety z ludu Ndebele, które przyjechały z północnego veldu i jak oszołomione chodziły ulicami miasta, odprowadzane spojrzeniami i chichotem. Kobiety o włosach ułożonych w kształt wazy, polepionych gliną i upstrzonych kawałkami kuchennych szmatek, chodzące w starych płóciennych tenisówkach, nad którymi wznosiły się kolumny bransolet z mosiężnego drutu.

Śmiech i zawstydzenie zniknęły z jej twarzy, a niemowlę, które miała na plecach, wyswobodziło się z chusty i chwyciło za jej nos, usta, małe czarne uszy i ciasny sznur ubrudzonych ziemią niebieskich paciorków, które przepisał plemienny doktor, by nie imać się jej nieszczęście.

– Gdy ustaną walki, to może ty mógłbyś zostać tutaj. Mówiłeś, że z pracą koniec. Gdybyśmy zdobyli więcej ziemi i uprawiali kukurydzę... gdybyśmy zdobyli traktor... Daniel mówi, że dostaniemy takie sprzęty. Nie będziemy musieli płacić rządowi podatku. Tak mówi. Nie trzeba by płacić białym za koncesję i można by tutaj otworzyć sklep, sprzedawać mydło i zapalki – wiesz, jak się za to zabrać, widziałeś sklepy w mieście. Wiesz równie dobrze jak Hindusi, gdzie kupować rzeczy w mieście i jak je tutaj przywozić. A teraz jeszcze umiesz prowadzić samochód. Dla

siebie. Widziałam mężczyzn z naszego ludu, którzy prowadzili duże ciężarówki dla białego człowieka. Ale ty będziesz prowadził auto dla siebie.

Samochód, który przywiózł białych, nigdy dotąd nie pojawił się w ich rozmowie. Nigdy nie oceniała ani nie chwaliła umiejętności męża, gdy ten uczył się jeździć. On sam nic nie mówił – milcząco uznał, że widziała, jak pomaga swoim białym. Naturalne było, że zbiera dla nich drewno i że dał im dom swojej matki oraz różowe filiżanki ze spodeczkami.

W milczeniu rodziło się poczucie współudziału. Przełamał je.

– Gdy ustaną walki? Gdybyś tylko widziała, jak było w mieście. Ja widziałem. Ludzie ginęli jak muchy. – W jego głowie kłębiły się myśli, które musiał na kimś wypróbować. – Zostawiłem pieniądze. Nie mogłem ich podjąć. Wszystko było zamknięte. Skończone.

W sportowej torbie z napisem AEROLINEAS ARGENTINAS, którą biały człowiek dał mu po powrocie z kongresu architektów w Buenos Aires, nosił portfel ze sztucznej skóry otrzymany kiedyś w prezencie na Boże Narodzenie. Był spłaszczony, miał zaokrąglone rogi, a jego prostokątny kształt przez wiele lat wypychał kieszeń spodni albo koszuli. July trzymał w nim przepustkę, którą co miesiąc musiał podpisywać pracodawca, pocztową książeczkę oszczędnościową i książeczkę z kasy budowlanej z pierwszą wpłatą w wysokości stu randów, które pięć lat temu dostał w nagrodę za dziesięć lat pracy. Liczby w książeczce oszczędnościowej rosły i malały od trzycyfrowych do niekiedy nawet jednocyfrowych. Kiedy miał bardzo dużo

szczęścia, wpłacał pięć randów wygranych w fafl. Czasem pobierał pewne sumy i wysyłał je do domu w czasie rodzinnych kryzysów, gdyż z racji odległości był to jedyny sposób, w jaki mógł wpływać na sytuację. Ilekroć wyjeżdżał do domu, wyciągał z konta dwuletnie oszczędności – cały zgromadzony kapitał, tyle, ile był wart dla miasta, w którym żył, wszystko, co dzieliło go od stoczenia się, bezrobocia, starości i nędzy. Nigdy nie pobrał ani centa z książeczki mieszkaniowej United Building

Society – sto randów, które tam wpłacił, samo rosło o randa czy dwa rocznie. Bankowcy wytłumaczyli mu, na czym polega oprocentowanie konta i jak można zarabiać, nie pracując, w ramach systemu, który biali wymyślili dla siebie. Nigdy niewidział ani nie dotykał tych pieniędzy, ale one tam były. Gdy July trafił do Smalesów, wyciągnęli go z wiejskiej ignorancji, w której tkwił, trzymając pieniądze w puszcze po papierosach ukrytej pod materacem.

– Ile? – Wiedziała, jaka jest wysokość jego miesięcznej wypłaty, i nikomu nie zdradzała tej wiedzy, żeby nie przychodzili pożyczać. Nie wiedziała jednak, skąd bierze różne dodatkowe sumy, z których część posyłał niekiedy żonie i matce (nie zawsze jednak – mogła to poznać po tym, że gdy przyjeżdżał, wysiadał z autobusu w nowych ubraniach. Ostatnim razem miał na sobie džinsy i dobraną do nich kurtkę na suwak). Nie wiedziała, jakie mogą być inne źródła zarobku, skąd jej mąż bierze pieniądze i na kogo je wydaje. Gra hazardowa, w którą tam grali, różniła się od tej, która była popularna w osadzie – rozgrywano ją na podwórzach i w wąskich uliczkach, gdzie pieniądze zarobione w białych domach zmieniały właścicieli.

Powiedzieli mu, że pieniądze są bezpieczne, zapisane w księgach. Teraz jednak, gdy uciekli, te księgi zamieniły się w zwykłe kawałki papieru. Tak jak inne rzeczy, które on i jego żona, i matka, i inni miejscowi trzymali w ciemnych chatach, gdyż tak niewiele pozostawało po zaspokojeniu wszystkich potrzeb: odznaka na zakończenie kursu BHP, którą ktoś przyniósł z kopalni, zegarek z Myszką Miki, który Victor zepsuł podczas kąpieli, rachunek za rower kupiony sześćset kilometrów stąd.

Przeliczył posiadaną sumę na jej użytek:

– Ponad sto funtów.

Ludzie tu, w domu, w swoich rachubach nigdy nie przeszli na randy i centy. W hinduskim sklepie wciąż podawano sumy w starej brytyjskiej walucie na etykietkach przy piecykach parafinowych i cynkowych szpicach, zastępujących tym, których było na to stać, gliniany stożek wieńczący strzechę i zabezpieczający jej najwyższą warstwę.

Książeczka z przepustkami była dla niego sprawą skończoną. Nie zabierał jej z sobą. i gdy wyjeżdżał żółtym pick-upem, w kieszeniach nie miał nic. Nie zniszczył jej jednak. Ktoś musiałby mu powiedzieć – nie wiedział kto – żeby ją spalił, żeby wrzucił ją do rzeki i patrzył, jak woda zmywa podpisy białych ludzi.

Doliną nadszedł człowiek w krótkich spodenkach niosący na głowie czerwoną skrzynkę. Patrzyła, jak się zbliża – gdy mężczyzna o jasnych włosach majstrował przy radiu, nie była już w stanie wysiedzieć w chacie. Kiedy zabroniła dzieciom kąpać się w rzece, stały uparcie przed nią, mrużąc oczy na wpół skryte za rozczochranymi włosami. Teraz słyszała ich piski, gdy skakały z kamienia na kamień w brązowym nurcie razem z dziećmi z osady, których organizmy uodporniły się na roznoszone przez wodę choroby o nikomu tu nieznanym nazwach. Może jej trójka także się uodporniła. Przetrwała, wykazując umiejętność ignorowania środków zapobiegawczych, których matka nie była w stanie im zapewnić. Victor stopniowo zapominał, jak się czyta, ale nie tęsknił za Supermanem i Asteriksem. Ona zaś siedziała przed chatą i nie mogła zrozumieć *I promessi sposi*. Choć książkę przetłumaczono z włoskiego, nie potrafiła przełożyć zapisanych liter na tekst, który byłaby w stanie teraz ogarnąć. Jedyne opis zamieszek chlebowych w Mediolanie w 1628 roku wywołał w niej odruchowe wspomnienie smaku chleba, choć nie chęć jego zjedzenia (tu chlebem była kukurydziana *pap*) czy kupienia w supermarkecie, gdzie zawsze czekał zawinięty w plastikową torebkę w chłodziarce, gdyż nie istniał realny związek między osobą, jaką normalnie się czuła, a okolicznościami, w których obecnie żyła – wspomnienie wywołane lekturą przywołało po prostu fakt, że Lydia raz w tygodniu piekła chleb. Kiedy otworzyło się drzwi domu przy kopalni, z kuchni na wszystkie pomieszczenia emanował jego zapach z lekką nutą fermentu. Chleb Lydie był ciężki, brązowy,

bochenki przypominały cegły. Nie miał wyraźnego smaku – tracił cały swój aromat, napęlniając nim dom.

Nie miała władzy nad żadną częścią swojego życia. Ten czy inny fragment mógł tylko czasem przypadkowo wypłynąć na wierzch. Tło całkiem odpadło. Już pierwszego poranka w chacie zdała sobie sprawę, że nie odzyskała też poczucia terazniejszej ciągłości, dzięki któremu potrafiła poszeregować wydarzenia własnej historii. Dom na przedmieściach nie istniał ani przed, ani po Mieszkaniach Małżeństw numer 20 przy Kopalniach Zachodnich, zaś zaprojektowana przez architekta sypialnia była częścią tego samego gruzowiska. Podniesiona cegła mogła być bochenkiem chleba Lydii.

Zauważyła czerwoną skrzynkę na głowie przybysza, gdy ta zaślniła na tle masywnego pasa czarnozielonych figowców rosnących nad rzeką. Czerwona plamka przyciągnęła wzrok. Patrząc na jednorodną masę buszu, nie dało się określić, skąd ktoś nadchodzi. Wpatrywała się w niego przez cały dzień i nie widziała nic – busz pochłaniał, skrywał wszystko, co w nim było. Jeśli ktoś zbliżał się zza rzeki, można go było zobaczyć dopiero wtedy, gdy jego sylwetka kontrastowała z listowiem, gdy wzburzona woda zamigotała w słońcu lub kiedy przeszedłszy na drugi brzeg, przybysz poprawiał ubrania i niesione na głowie tobołki. Ten człowiek miał z sobą jakąś jaskrawoczerwoną skrzynkę czy pudło. Widać ją, teraz było jako czerwone drzazgi w wysokiej trawie na bliższym brzegu rzeki. Mężczyzna pokonywał stok wzgórza i szedł ku niej na drżących łydkach, nie dostrzegając jej. Między nimi były krzaki oraz sterta zrzuconej przez kogoś trzciny, czuła się więc niewidzialna.

Spodnie, które nadchodzący człowiek miał na sobie, nie były szortami, po prostu zniszczone dolne części ich nogawek oddarto na wysokości kolan. Czerwona skrzynka ciążyła mu, a zwisające kable przeszkadzały. Mężczyzna krzyknął krótko w kierunku chat. Koncentrując na nim spojrzenie, czuła, jak napinają mu się mięśnie szyi, gdy z ciężarem na głowie mobilizuje siły przed stromym podejściem, i jak z ramienia uniesionego, by podtrzymać skrzynkę, odpływa krew, zastąpiona chłodnym mrowieniem. Pot, który płynął z niego w upale, był potem na jej dłoniach moczującym strony trzymanej w rękach książki. Przybysz, wchodząc do wioski, zniknął jej z oczu za wzniesionym na palach kurnikiem Marthy i cysterną.

Po południu powietrze przecięło ogłuszające, pełzające dudnienie. To próba gumby-gumby, doniosły dzieci.

Było to coś, na co znały słowo w języku mieszkańców osady, ale nie w swoim. Czerwona skrzynka stanowiła lokalny ekwiwalent obwoźnej rozrywki – był to wyniesiony z kopalni wzmacniacz na baterie. Jego właściciel chodził po wioskach i gdy była po temu okazja, podłączał go do odtwarzacza. Nie było jasne, co będą świętować. Dzieci Smalesów otoczyły rodziców, gdy przyszli całą grupką, zobaczyć gumbę-gumbę. Nie mogły uwierzyć, że to sprzęt, który znają.

– Skąd wicie, jak to działa? – Dla Giny wszystko, czego nie widziała w osadzie, było całkowitą nowością.

Oglądając wzmacniacz, rodzice zeszli się jak rozwiedziona para, która spotyka się co pewien czas, aby podtrzymać pozory rodzinnego życia. Zamienili kilka słów z

Julyem, innym rodzicem, którego drugie najmłodsze dziecko siedziało mu na ramionach. Był rozbawiony, tak jak rozbawiony może być człowiek z miasta na widok rozrywek wiejskiego ludu. Bam spytał, czy jest jakieś wesele – albo, dodał po chwili, zebranie? July wraz z grupką innych ludzi chodził bez pośpiechu wokół przybysza, który komenderował grupą wyrostków pomagających mu podłączyć wszystkie kable i zamocować głośnik na dragu stanowiącym część konstrukcji jednej z chat – kościoła czy też domu zgromadzeń, z którego często dobiegały głosy kobiet śpiewających religijne pieśni.

– To nie wesele. – Zaś na sam pomysł zebrania tylko się roześmiał. – Czasami mamy zabawę. Tylko dlatego, bo ktoś... Nie wiem. Nie wiem, co to jest.

Zawołał do chłopaka na dachu, drocząc się z nim i zarazem go dopingując, tak jak to mieli w zwyczaju jego ludzie – pierwszą część zdania wymówił szybko i niewyraźnie, sylaby ostatniego słowa starannie rozdzielił i rozciągnął, a samo to słowo powtórzył: *„Mi ta twa ku nandziha ngopfu, swifamba a moyeni. Ncino wa maguva lawa, hey-i... hey-i!”*.

Z chat wychodzili ludzie, którzy śmiali się głośno i rzucali komentarze, gromadząc się wokół przybysza i Julya. Okazją do zabawy była sama gumba-gumba. Człowiek o napuchniętych nogach (które ktoś owinał mu kawałkami brudnych ręczników), zwykle postrzegany jako nędzarz, dziś – dzięki głosowi wyroczni wypluwanemu przez poobijaną czerwoną skrzynkę i wyszczerbiony megafon – siedział na taborecie jak starodawny, noszony wśród ludu bóg,

groteskowa obrzędowa postać, bez której karnawał zapomina, że jego korzenie tkwią w lęku przed śmiercią. Muzyka popłynęła niepewnie z megafonu. W obieg poszło wodniste piwo, które miało taki sam kolor, gdy się je piło i gdy się nim wymiotowało. Zabawa toczyła się w krainie ubóstwa tych ludzi. Ignorowała fakt, że wokół trwa wojna, jakby ubóstwo było krajem, którego braku posiadania nic nie dosięga.

Biali ludzie Julya poszli sobie. Ojciec nie chciał pić tego co pozostali, a przy tym nie chciał ich urazić. Matka uznała, że dla dzieci są przyjemniejsze widoki niż upijający się ludzie, zwłaszcza kobiety z dziećmi na plecach (choć nigdy nie July), które co chwilę muszą się wysikać i odchodzą tylko na tyle daleko, na ile im się uda na płaczących się nogach.

Kiedy biała rodzina wróciła do chaty, okazało się, że strzelba zniknęła.

Gdyby Victora nie było razem z nimi, kiedy oglądali montowanie gumby-gumby, pomyśleliby, że to on ją zabrał. Mógłby chcieć się pochwalić innym, że ojciec pozwolił mu potrzywać broń, gdyby jakoś udało mu się wspiąć pod strzechę i ją wyjąć.

Zniknęły także pudełka z nabojami.

Bam zachowywał się tak samo jak wtedy, gdy tam, w mieście, nie mógł znaleźć kluczyków od samochodu. Wyraźnie trzęsły mu się jednak ręce – widziała to i udawała, że nie widzi, tak jak często udawała, że nie widzi czyichś łez. W chacie było bardzo niewiele miejsc, w których można coś schować – gdzie mogła się podziać strzelba, jeśli nie ma jej na miejscu, a on sam jej nie przełożył? Kto inny miałby ją przekładać?

Nagle ogarnęły go wątpliwości, czy aby na pewno schował ją tam, gdzie zawsze, po powrocie od szefa. Kiedy byli w podróży, zawsze prosił żonę, by sprawdziła, czy na pewno ma paszport w podróżnej torebce. Robiła to przerysowanymi gestami – dwoma palcami wyjmowała dokument i podstawiała mu go przed oczy, po czym na powrót chowała w miejsce, w którym stale spoczywał, czego przez cały czas była pewna.

Sprawdziła pod kapami, których używali zamiast pościeli, i rozgarnęła tych kilka posiadanych sztuk zmiętych ubrań w walizce.

Bam sięgnął nawet po swoją, *knob-kerrie*, długą pałkę, którą dostał od pewnego starca w zamian za kilka ryb, i przegrzebał nią stertę trzciny leżącą przed chatą, podnosząc każdy snop i odrzucając go na bok. Victor i Royce też szukali rozgadani.

– A jak ktoś ją zakopał? Chodź, Vic, idziemy kopać! Będziemy kopać, co, Vic?

Gdy pozajmowali się przez chwilę jedną rzeczą, zaraz wymyślali kolejną. Zapomnieli, czego szukają, i przerzucanie popiołów z paleniska zamieniło się w konkurs kopania szarego pyłu. Gina pobiegła poskakać z Nyiko na skakance zrobionej z paska starego szlafroka.

– Jesteś absolutnie pewny, że się nią nie bawiłeś? Ani teraz, ani wcześniej?

– Nie, tato! Rany, przysięgam! – Victor zareagował urazą na oskarżenie o występki, do którego – o czym sam wiedział – był z pewnością zdolny.

Młodszy syn, niewinny, którego nikt nigdy o nic nie podejrzewał, rzekł:

– Nigdy. Z ręką na sercu.

– Bo nikt poza wami nie wiedział, że ona tam jest. – Ojciec wpatrywał się w nich intensywnie. Oddychał szybko jak po biegu albo tak jak oni, kiedy zbierało im się na płacz.

Chłopcy stali i czekali, co postanowią dorośli. Żaden z nich nie miałby odwagi powiedzieć ojcu, że wszyscy wiedzieli, gdzie jest strzelba – każdy grzebiący kurczak,

każde dziecko szeroko otwartymi oczami oglądające wnętrze chaty *mhani* Tsatsawani, w której mieszkali biali ludzie.

– Gina wie.

Royce zmyślał, ale jego ojciec nie dostrzegł, co to oznacza. Natomiast stojący tuż obok brata Victor chwycił go po kryjomu z tyłu za udo i zacisnął dłoń na kilka sekund, każąc mu dochować zasad lojalności, które w trudnych chwilach obejmowały nawet siostrę.

– Może idź na policję, tato.

Bam spojrzął za siebie i rozejrzał się naokoło. Usiadł na łóżku i przez dłuższy czas kiwał głową.

Widziała, że nie zamierza odpowiedzieć synowi, ale myślami przeniósł się do dawnych czasów: skoro nawet żyjąc w mieście, nie potrafił podnieść słuchawki i zadzwonić na policję, którą oboje gardzili za brutalność i bandyckie metody, to nie wiedział, co jeszcze można zrobić.

Podniósł się. Jakiś impuls adrenaliny sprawił, że ruszył pewnie przed siebie, pochylając głowę w przejściu, ale zaraz znów się pojawił. Położył się na plecach na łóżku, tak jak zwykł to robić. Nagle jednak przetoczył się na brzuch – jego synowie nigdy wcześniej nie widzieli, by leżał w tej pozycji.

Popatrzyli na matkę, ale wyraz jej twarzy był dla nich nieczytelny. Nawet jej ciało – tak znajome w dzinsach powycieranych jak materiał starej zabawki, podkoszulku opiętym na małych, płaskich piersiach, na których tak miękko się leżało – przypominało ciało psa albo kota, po

którym można poznać, kiedy nie wolno go dotykać, i było dla nich niedostępne.

Spojrzała w dół na człowieka, który nie miał już nic. Dzieci zobaczyły coś znacznie gorszego niż sikającą w kucki kobietę.

Księżyc tkwił na niebie jak krążek gazy przyklejony do błękitu popołudnia. Maureen Smales – imię i nazwisko, osoba władna podpisywać co miesiąc jego przepustki – wróciła w pobliże gumby-gumby w poszukiwaniu Julya. Mwawatego. Nie było go tam. Mieszkańcy osady przywykli już do jej widoku i nie zwracali na nią większej uwagi niż na psy i dzieci, które kręciły się wokół pijących, patrząc na ich alkoholowe pobudzenie, radosną kłótność i pełen gorczy smutek.

Poszła do jego domu – nie do prywatnej chaty, lecz do tej, w której mieszkały jego kobiety. Martha kąpała niemowlaka w miednicy ustawionej na skrzynce. Z oczami pełnymi łez gniewu chłopiec skierował do niej – bo traf chciał, że to właśnie ona przyszła – swój głośny apel o ocalenie od mydła i wody. Tutejsze kobiety zachowywały spokój wobec dziecięcej hysterii. Wydawało się, że Martha nie słyszy wrzasków. Zastanawiała się przez chwilę i pokornie spoglądając nie wyżej niż na stopy białej kobiety, jakby nigdy nie pracowały razem w polu, powiedziała, że nie wie, gdzie jest July. Gdzieś w okolicy. Jego matka siedziała przy palenisku otoczona kręgiem spódnic. Kiedy nie pracowała, wydawała się bardzo stara i nieruchoma. Nachyliła się z gałązką w dłoni i rozdmuchała blado jarzące

się węgielki, jak gdyby podtrzymywała ledwie tłące się własne życie.

Przez chwilę Maureen mogła kucnąć przy Marcie i pomóc jej przytrzymać dziecko podczas mycia włosów.

Martha o nic jej nie pytała. July musiał spełniać polecenia tej kobiety, gdy pracował w mieście, więc miała prawo wiedzieć, gdzie jest, nawet tutaj, w jego domu.

Nie mogła powiedzieć Marcie, dlaczego go szuka. Nie chodziło o problemy językowe – już wcześniej się przecież porozumiewały. Nie mogła jej powiedzieć, czym sama się stała we własnym mniemaniu i jak się czuła. Martha w jej oczach trwała bezpiecznie zamrożona w czasie – madonna wciągająca kokainę do nosa nad głową dziecka, pieta z rozstrzelanym synem na kolanach. Martha śmiała się na widok jej poprzecinanych żyłami białych nóg. Kiedyś ten śmiech wydawał się zwiastować początek czegoś (na to przynajmniej liczyła ówczesna Maureen Smales). Coś mogło się z niego wykluć. Lecz niewiele.

Zostawiła kobiety przy palenisku i pobiegła przez trawę stokiem doliny. Tam, daleko, biegali, by w wolnym czasie oddać się refleksji nad różnymi rzeczami: zdrowiem, poczuciem wyrządzonej krzywdy, świadomością prowadzenia życia, które już się skończyło – były to sumienne, półgodzinne rozważania, które nie wpływały na normalne codzienne nadużycia. Smalesowie, biegając pod jakarandami wokół podmiejskich bloków, nie wiedzieli, od czego uciekają. Podążała w odwrotnym kierunku tą samą ścieżką, którą szedł ku niej człowiek z gumbą-gumbą, jakby sunęła palcem po mapie. Trawa omiatała jej kolana, kładąc

się na boki, gdy przechodziła. Czarne, pomarańczowo nakrapiane żuki spadały ze źdźbeł na jej łydki i ubranie. Szorstkie nasiona wczepiały się w szorujące o siebie nogawki dżinsów. Roślinność bodła ją i dotykała. Mikroskopijne kleszcze czekały przez cały sezon na nadejście ludzkiego lub zwierzęcego żywiciela. W ten intymny sposób obojętny dotąd busz niwelował dystans.

Nie spodziewała się zastać go nad rzeką, ale to tam wiodła ją niewidzialna ścieżka, którą przybyła czerwona skrzynka. Rzadko wybierała się nad brzeg rzeki, jedynie w sprawach wymuszanych higieną, a wówczas szła w inne miejsce niż to, w którym przy brodzie pływały dzieci. Gdy w pobliżu nie było żadnych ludzi, można było odnieść wrażenie, że nikt tam nigdy nie przychodził. Miejscowi nie mieli żadnych zbytecznych rzeczy, którymi mogliby śmiecić. Na płyciźnie widać było zagłębienia wyżłobione w mule przez ludzkie stopy i bydlęce kopyta. Muślinowe strzępki motyli tkwiły na krowich plackach. Maureen potrafiła rozpoznać jedno z kolczastych drzew – *Dichrostachys cinerea*, *sekelbos*, chiński lampion. Miało żółte frędzle zwieszające się z puchatych pomponów, których różowa odmiana rosła na tej samej gałęzi co fioletowa. Smalesowie oswajali dzicz za pomocą książki o ptakach Roberta i standardowych pozycji na temat miejscowych drzew, z których korzystali, jeżdżąc na biwaki. Gdy urlop dobiegał końca, pakowali się i wracali do domu.

Panował bezruch nieogładanych drzew i cisza nieustającego nurtu. Na wielkich bladych pniach dzikie figi błyszcząły jak łebki szpilek. Ziemia była kwaśna od fermentujących owoców. Pomiedzy ogromnymi konarami

przemknął brązowy wróbel, by wylądować – zawisnąć w powietrzu – na niewidzialnych gałęziach wielkiego drzewa przestworzy. Znowu odniosła wrażenie, że wcale jej tam nie ma, tak jak wtedy, gdy obserwowała nadejście mężczyzny z czerwoną skrzynką. W ciężkiej ciszy przyływ i odpływ oddechu nie powodował żadnej zmarszczki na jej kontristnieniu. Wystarczy, by ustały skurcze i rozkurcze serca, a zostanie pochłonięta, zniknie w tym stanie bytu, który nie potrzebował żadnych świadków. Nie ujmowała jej żadna taksonomia poza tą, którą tworzyła sama Maureen Hetherington nagradzana oklaskami w sali rekreacyjnej kopalnianego kompleksu.

Wycofała się, uwalniając naprężone pod jej ciężarem gałązki. Skierowała się na znaną ścieżkę z wioski do samochodu, którą wydeptali July i Daniel. Był tam ich klub, azyl, miejsce spotkań. Zastanawiała się z Bamem, czyby nie wstawić starej sofy do garażu, przerabiając go na pokój, w którym July mógłby siedzieć z przyjaciółmi, ale wiedzieli, że ponieważ byłby jedynym służącym w dzielnicy, który ma taki przywilej, po podwórzu kręciłoby się mnóstwo ludzi i wciąż panowałby hałas.

Znalazła go tam siedzącego na ręcznie wykonanym taborecie po lewej stronie samochodu, gdzie padał cień. Słońce było jednak już dość nisko i nie grzało zbyt mocno. Nie czyścił samochodu ani przy nim nie majsterkował, ale gumba-gumba i piwo nie sprawiały mu radości, chociaż chciał, by widziano, że uczestniczy w zabawie. Zapisywał coś krótkim ołówkiem w notesie i prowadził obliczenia podobne do tych, jakie wykonywał, by sprawdzić, ile traci i zarabia na hazardzie. Notes był jednym z gadżetów, które

firmy budowlane wysyłały na święta architektom. Poczerwieniał od ziemi i miał rogi powyginane od częstego wertowania kartek. July spostrzegł, że rozpoznała ten notes. Wyglądało to tak, jakby mieli zacząć wspominać jakieś wspólne przeżycie.

– Musimy odzyskać strzelbę.

Skrzywił się z irytacją i drgnął – o co chodzi?

– Strzelba zniknęła. Była pod strzechą.

Zorientowała się, że nic o tym nie wiedział. Nie był jednak zaskoczony. Przybrał poważną minę i zamknął notes, wkładając ołówek pomiędzy strony.

– Kiedy ktoś zabiera?

– Nie wiem. Nie było nas w domu od chwili, gdy poszliśmy zobaczyć, jak montują sprzęt muzyczny.

Powiedział oskarżycielskim tonem:

– Jak ktoś może zabiera?

Odbiła ku niemu jego własną prawość i moralizatorstwo, poprzez które zawsze budował relację między nimi.

– A czemu nie, July? Czemu nie? Wystarczyło wejść do chaty pod naszą nieobecność i ją wziąć. Ukraść.

– Teraz?

– Bam odkrył brak strzelby przed chwilą, ale możliwe, że zniknęła wcześniej. Mogło jej nie być od dawna.

– Kiedy on widzi ostatnio?

– Sam nie jest pewny. Była jeszcze po naszym powrocie od szefa. Rozmawialiśmy o niej, widziałam, że tam leży.

– Pani pewna, że broń na miejscu przed tym popołudniem? Bo każdy jest na zabawie. Pani widzi, że każdy tam jest, nieprawda? Nikt wtedy nie może przychodzić do domu.

– Więc skąd mogę wiedzieć, że wciąż tam była? Wiem, że wszyscy byli przy muzyce.

– W nocy. – Milczał przez sekundę, by oboje mogli sobie wyobrazić nocną porę. – W nocy, wszyscy śpią, wszyscy w domu. Kto może przychodzić.

– To nie Victor. – July wiedział, że istniała taka możliwość, równie dobrze jak oni. – Victor na pewno tego nie zrobił.

– Nie, nie, Victor bardzo miły. Czasem niegrzeczny chłopak, ale miły. A gdyby zabiera, pokazuje koledze i odkłada, nieprawda? Nie Victor. No, wszyscy dzisiaj bardzo mili z muzyką, każdy wie, broń jest wasza.

– Gdzie jest Daniel?

Dreńczyła ją poczucie, że czegoś brakuje: pewnej cichej obecności – pod samochodem czy w zrujnowanej chacie – którą zauważała się dopiero po chwili. Zawsze było pewne, że Daniel stawia się na każde wezwanie Julya, idąc młodzieńczym, swobodnym krokiem.

– Daniela tam nie było – powiedziała energicznie. W tej samej chwili strach i zdumienie opadło na nią jak czarny worek zarzucony na głowę. – Gdzie jest Daniel?

– Daniel już nie przychodzi. – Jego ręka na chwilę zawisła w powietrzu, potem wśliznęła się pod kołnierzyk koszuli. Krążek księżyca zrobił się nieprzejrzysty, wypolerowany światłem gasnącego słońca, które odbijał jak powoli przechylane lustro. Cień samochodu padł na nich, sięgnął traw i krzewów obszytych płynnym ścięciem światła zachodzącego słońca, wyrysowując na nich powiększone szczegóły wozu, kratę dachowego bagażnika i koło zapasowe.

– Jeden czy dwa dni, jak odchodzi.

– Ale ty wiesz, dokąd się udał. Powiedział ci?

Rzucił ogólne stwierdzenie na temat dzisiejszej młodzieży:

– Oni nie pytają już nikogo, nikogo. Nawet ojca.

– Ale tobie powiedział, omówił to z tobą, musieliście rozmawiać. Ciągłe jesteście razem. Przecież to ty byłeś dla niego jak ojciec, prawda? Nie powiesz mi chyba, że o niczym ci nie wspomniał. – Rozgniotła na policzku dwa komary, które przykleiły się do spoconej skóry.

– Pani mi nie mówi, co Daniel mówi. Ja wiem, czy on mówi albo nic nie mówi. Nie moja sprawa, nieprawda?

Usiadła na kawałku glinianej ściany, która była ciepła jak żywa istota i zmieniła barwę z ziemistej na bursztynową, a potem krwistoczerwoną, zanurzając się w grubej warstwie ostatnich promieni słońca przekreślających horyzont na wysokości wzroku stojącego człowieka.

– Musisz ją odzyskać.

Znała te jego rozszerzone nozdrza. Idź, chciał jej powiedzieć, idź na górę do wioski – tak jak powiedziałyby swojej żonie.

Poczuła koci zapach własnego potu. Jedynym sposobem, by się od niej wyzwolić, było wstać i pójść, oddać jej to miejsce, które było jego własnym i które sam znalazł, żeby ukryć żółtego pick-upa, gdzie nikt go nie znajdzie.

Włożył notes do kieszeni na piersi, która kiedyś mu się podarła i została bardzo starannie zszyta przez Ellen.

– Jak ja mogę odzyskam tę broń? Gdzie ją znajduję? Skąd wiem, gdzie jest? A pani wie? Jak tak, to niech sama pójdzie, albo z mężem, i zabierze.

– Strzelba zniknęła. Daniel zniknął. Umiał się nią posługiwać, Bam pozwolił mu z niej strzelić... Te jego głupie pomysły... Był u szefa i słyszał rozmowę o broni. Jemu też się podobała, prawda? Może myśli, że coś upoluje. A może ma na nią klienta. – Zamrugła, patrząc na Julya. – Może to szef. Na pewno wiesz, gdzie go szukać, przecież siedzicie razem – wykonała gest w stronę samochodu – każdego dnia.

Przesuwał dłonią pod koszulą po szyi i torsie, słuchając jej słów. Nagle sztywnymi palcami ugodził się w środek swej istoty, punkt na płaszczyźnie torsu pomiędzy małymi ciemnymi zagłębieniami, gdzie mięśnie piersi łączą się z kością.

– Ja? To ja muszę wiem, kto kradnie wasze rzeczy? Tak samo jak zawsze. Wy mi robicie za dużo kłopotu. Nawet tutaj, w moim domu. Daniel, szef, moja-matka-żona w

domu. Kłopoty, kłopoty od was. Nie chcę już tego więcej. Widzisz? – Zatrzepotał ramionami.

– Musisz ją odzyskać.

– Nie nie nie. – Uśmiechał się histerycznie, powtarzając to słowo. – Nie nie nie. Ja nie wiem, czy Daniel kradnie waszą broń. Skąd ja wiem? Pani, pani mówi, wie, ale ja nie widzę żadnej broni, nie widzę Daniela, Daniel wyjechał – co ja mogę zrobić?

Nagle poczuła gwałtowną potrzebę, żeby wszystko między nimi zniszczyć, zmiażdżyć pod butami, by pękało jak deptane ślimaki o wnętrznościach jak zgniłe jajko w jej podmiejskim ogrodzie.

– Kradłeś drobiazgi. Dlaczego? Wtedy ci tego nie mówiłam, ale mówię teraz. Nożyczki w kształcie ptaka, starą szlifierkę mamy...

– Wy mi zawsze dajecie te rzeczy!

– Tak, dawaliśmy ci różne rzeczy, ale nie te.

– Nie chcę waszych śmieci.

– To dlaczego bierzesz śmieci? Nic nie mówiłam, bo myśl, że mogłeś to zrobić, budziła we mnie zażenowanie.

– Ty. – Rozsunął kolana i położył na nich otwarte dłonie. Nagle zaczął do niej mówić we własnym języku, a jego twarz błyszczała z gniewu. Otoczyły ją zdania o ciężkiej intonacji. Ziemia znikła, a blada odległa poświata księżyca różowiła jedwabny pas mgły rozciągnięty na niebie. Wszystko zrozumiała, chociaż nie pojmowała ani słowa.

Zrozumiała, czym musiał się stać, i zdała sobie sprawę, że oszukiwała samą siebie, by mógł pozostać jej wyobrażeniem o nim. Lecz dla Julya być inteligentnym, uczciwym i godnym w jej oczach nie znaczyło nic. Jego wartość szacowali inni ludzie żyjący w innym miejscu. Wypowiadał po angielsku to, co należało do języka angielskiego.

– Daniel jedzie z tamtymi do miasta. Zapisuje się. – Ten czasownik mógł oznaczać najróżniejsze rodzaje zobowiązań: przynależność do stowarzyszenia pogrzebowego, wzięcie towaru na raty czy złożenie podpisu pod umową o pracę w kopalni albo na plantacji trzciny cukrowej. – Nie wiem. Może jemu po to potrzebna strzelba. – Odchylił się do tyłu. Nie miał jej już nic więcej do powiedzenia.

– Ja wiem. – Uniesiona pięść Daniela wyglądała na modny gest młodego mleczarza, który wrócił z miasta do swojej zacofanej wioski, tak jak padnięcie na kolana przed szefem z pewnością nie było dla niego i Julya niczym więcej niż wiejskim zwyczajem. – Ja wiem. – Kubańczycy: to on podsunął to słowo, kiedy szef nie potrafił znaleźć nazwy na cudzoziemców, których się obawiał. – Pojechał walczyć. Mały gnojek. On tylko wziął to, do czego miał prawo.

July zapewne nie zrozumiał zasady, na jakiej opierało się rozumowanie Maureen, i nie czuł się w obowiązku odzywać. Spośród wszystkich rzeczy tej ziemi pod blaskiem nieboskłonu tylko jego znajoma głowa, ogolona niedawno pod drzewem przez miejscowego fryzjera, jego szerokie, miękkie usta skryte pod wąsem, jego oczy bielejące na tle zasnutej mrokiem twarzy zwróciły się teraz ku niej. W tym zrujnowanym miejscu, gdzie nie było żadnych żywych istot,

tylko maszyna, jej słowa wsiąkały w spękane gliniane ściany jak wypluta krew. Tam spoczną na zawsze. Przechodziły ją ciarki ekstatycznej gorączki wywołanej poczuciem wspaniałej i nikczemnej ulgi. Powiedziała mu całą prawdę, a prawda zawsze jest zdradą.

– Skorzystasz na walce innych. Ukraść pick-upa. Teraz to ci się marzy. Nie wiesz, co się przytrafiło Ellen. Prała ci ubrania i z tobą sypiała. Ty chcesz mieć samochód, żeby się wozić jak gangster i wyobrażać sobie, że jesteś wielki, ważny człowiek, aż zabraknie ci pieniędzy na paliwo, nie będzie się go dało kupić i auto stanie tutaj, July, tu, pod drzewami, między tymi starymi chatami, i rozpadnie się na kawałki, a w środku będą się bawić dzieci. Stanie się bezużyteczne. Kolejny wrak. Kolejny śmieć.

Otaczała ich niesamowita czułość wieczoru, jakby przyroda wzięła ich omyłkowo za kochanków. Podeszła do samochodu i wygięła się na masce, wyglądając groteskowo w skurczonych, przetartych na kolanach džinsach, z czołem lepkiem od potu, na którym lśniło światło księżyca, i zaniedbanymi, rozczochranymi włosami. Obraz harpii, na którą się upozowała, nic dla niego nie znaczył, bo on nigdy nie był na pokazie samochodów z kusocielskimi dziewczynami. Zaśmiała się i poklepała wyzywającym gestem błotnik, tak jak on to robił, by odpędzić zwierzęta z drogi. Z osady dobiegł ich głośny dźwięk. Wąty blask przydomowego paleniska, pierwszego z rozpalonych, by ugotować kolację, zaczął się powiększać jak płomyk zapałki w stulonej dłoni.

Bam karmił dzieci. Wyciągał z garnka ugotowane kawałki kukurydzianej masy i podawał im do rąk.

Rozmawiali i nie skomentowali jej nadejścia, jak gdyby przez cały czas siedziała tam z nimi. Nie spytał, gdzie była. Jadł razem z dziećmi, używając metalowej łyżki, do której przywarły kawałki papki. Maureen nic nie jadła, weszła do ciemnej chaty i namacała butelkę wody. Wypiła całą jej zawartość długimi łykami, między którymi robiła długie przerwy, jak alkoholik oddający się po kryjomu swojemu nałogowi. Oni zaś, jak rodzina uzależnionej, z którą nie wiadomo, jak postąpić, udawali, że nic nie wiedzą, albo faktycznie nic nie wiedzieli.

Gumba-gumba znowu zaczęła grać – dobiegł ich jeden z czterech czy pięciu utworów, które były w repertuarze. „Mała, mała, chodź, *duze-duze-duze*” w harmonii zamkniętej zakłócanej piskliwym refrenem płynęło w busz ponad chatami, a pod warstwą mgieł. Nie było gwiazd. „Mała, mała, *duze-duze*”... Jeśli gdzieś niedaleko czaiła się grupa bojowników, jej członkowie słyszeli muzykę z daleka – stare melodie Soweto, Daveyton, Tembisy, Marabastadu, miast, które rozsadzili i z których się wysypali.

Kiedy zobaczył, jak Maureen kładzie się na tym, co było jej łóżkiem, zwrócił jej uwagę, że ma niesamowicie brudne nogi. Podniosła się i używając rzecznej wody, którą trzymali w beczce po oleju dostarczonej przez Julya, umyła się mydłem, które także kiedyś przyniósł July.

– Czy on też tak się czuł? – Nie trzeba było określać, o kogo chodzi, gdyż on zawsze był w ich umysłach, nie było nikogo innego.

Została zrozumiana, ale równanie byłoby zbyt proste. Ostrożnie przesunął ręką. po rzadkich włosach z tyłu głowy i po karku.

Przypomniała sobie czasy, kiedy July był całkowicie od nich zależny.

– O wszystko nas pytał. O aspirynę. Czy może skorzystać z telefonu. Nic w tym domu nie było jego.

– Cóż... miał wszystko, czego mu było trzeba. Wszystko, co mieliśmy do oddania.

– Zastanawiam się, co by się z nim stało.

Parafinowa lampka wciąż płonęła, ale błękitne oczy były zamknięte.

– Zestarzałby się przy nas i poszedłby na emeryturę.

Daniel ma broń. Zabrał ją.

Jej usta poruszyły się, ale żadne słowa nie padły. Długo wpatrywała się w zamknięte powieki.

Nocne mgły odświeżyły i oczyściły powietrze z mdlącego amoniakowego smrodu kurzych odchodów, duszącego zapachu starych strzech i odoru gnijących resztek – szmat oraz cielecej szczęki pokrytej błyszczącą skorupą wielkich much – które zebrały się w wypłukanych przez deszcz zagłębieniach między chatami. Kobiety wywieszają na zewnątrz długie bawełniane chusty, w które na co dzień owijają siebie i swoje dzieci. W mocnych promieniach słońca w klarownym powietrzu zatechłe tkaniny nabierają słodkawego zapachu, trzcinowe dachy – połysku, a ziemiste ściany – barwy złocistej ochry. Materiał, z którego te ściany są zrobione, ożywa. W tej chwili osada, rozłożona na ziemi, utrwalona w czasie, stanowi dla stojącego w oddali fotografa wioskę idealną, której sferę otoczoną kręgiem pejzażu trzyma w dłoni wszechmocna istota – oto obraz jedności człowieka-z-naturą-w-Afryce oddany na fotograwiurze zręcznie wywołanej w Holandii lub Szwajcarii.

Nyiko stanęła w drzwiach z samego rana. Przez jej delikatne loczki prześwieca światło, a różowa podeszwa stopy spoczywa na czarnej kostce, gdy czeka na swoją przyjaciółkę Ginę. Dziewczynki uśmiechają się do siebie i nie rozmawiają w obecności innych – ich przyjaźń jest na to zbyt głęboka, zbyt tajemna.

Dwaj chłopcy zagniatają wyskrobki kukurydzianej pasty w brudne kulki i nabijają na haczyki zrobione z kawałków drutu wyciągniętego albo ukradzionego z uszkodzonej metalowej siatki, którą ktoś wcześniej skądś zabrał i użył jej jako ogrodzenia dla kur. Mruczą,

pochłonięci konstruowaniem haczyków. Potem podbiegają, do Julya, który układa snopy trzciny rozrzucone przez ich ojca, i pytają go (no, July, proszę, proszę!), czy nie ma trochę linki. July odchodzi i po chwili wraca z kawałkiem prawdziwej nylonowej żyłki wędkarskiej. Gdy spojrzeć z oddali, widać, jak stoją we trzech, Royce (wciąż jeszcze) tańczy dziecięcy taniec ekscytacji, a Victor –

Victor klaszcze ubrudzonymi *pap* dłońmi, po czym składa je w miseczkę i skłaniając się z powagą, przyjmuje podarunek.

Zaraz potem chłopcy wracają pędem. Można policzyć kręgi na ich plecach nachylonych nad własnoręcznie tworzoną wędką. Później wyciągają z chaty ojca, by poszedł z nimi nad rzekę łowić ryby. Towarzyszy im gromada dzieci i niemowlaków. Czerwono-żółte wikłacze, które spłoszyli, unoszą się chmurą, świergocząc przenikliwie, i na moment zakwitają na czubkach wysokich trzcin, zbyt wiotkich, by utrzymać ich ciężar.

Warto żyć, by doczekać takiego poranka.

W okolicy południa (jej zegarek się zepsuł, a godzinę ocenia po wysokości słońca na niebie i panującej w buszu ciszy) Maureen Smales, która jest sama w chacie, choć nie w osadzie, gdzie nikt nigdy nie jest sam, na granicy świadomości rejestruje, że coś zmienia się w tkance dźwięków i drgnień składających się na ciszę. Gdzieś w oddali powietrze przecinają fale wibracji. Płyną z góry, na pewno. Maureen zszywa właśnie pęknięty szew na jednej z par szortów syna – kupili je w Woolworthsie i są zrobione z dobrego, trwałego materiału, bo w przeciwieństwie do

bogatyh białych nigdy nie kupowali dzieciom lekkich ubranek w amerykańskim stylu i stronili od burżuazyjnych zestawów dla miniaturowych dżentelmenów, na które marnowali pieniądze czarni.

Dźwięk nie przypomina znajomego warkotu przejeżdżającego transportera ani przelatującego samolotu zwiadowczego. Maureen wbija igłę w spodenki i wstaje, by popatrzeć.

Chmura, która jak zwykle na początku dnia wisi nisko na zachodzie, by po południu przynieść deszcz, przesłoniła poranek blendą i rozpyliła światło słońca. Wibracje dochodzą z za niej, narastają. Wzrok Maureen stara się nadażyć za słuchem. Rytmiczny łomot wstrząsa niebem i krąży po nim, opadając jej na głowę. Teraz już wszyscy mieszkańcy osady wylegli z chat, zawiesiwszy swoje zajęcia lub swoją beczynność, i kula się pod tym, co sunie po niebie. Słysząc nawet okrzyki radości wznoszone zapewne przez dzieci. W uszach zaczyna jej dzwonić i ogłuszona czuje dudnienie w klatce piersiowej, w którą jak walący tłok wdziera się potężna siła potwornego orgazmu – helikopter z rozłożonymi nogami podwozia wyskakuje dokładnie nad nimi z za gorących, rozjarzonych chmur, tnąc powietrze wirującymi kosami.

Wszyscy krzyczą. Jakaś kobieta, śmiejąc się z przerażeniem, mija pędem Maureen z oszołomionym od wstrząsów dzieckiem na plecach. Zgiełk narasta i cichnie, ekscytująca i straszna rzecz znów szybko znika w chmurach. Pod jej brzuchem, pod tłukącymi skrzydłami hałasu Maureen miała szansę zadrzeć głowę, lecz nie dostrzegła barw

maszyny ani żadnych oznaczeń, a nawet gdyby jej się to udało, i tak nie wiedziałyby, czy w środku są wybawcy, czy mordercy.

Ludzie Julya biegają wokół niej. Człowiek z opuchlizną zsunął się z taboretu i balansując na kolumnach bezużytecznych nóg, niczym wojownik trzyma nad głową swoją pałkę, tak jakby składał hołd albo protestował. Stojąca w wyzywającej pozie Martha z ręką wspartą na biodrze wyróżnia się z tłumu. Wieśniacy są raczej podnieceni niż przerażeni – widzieli już wcześniej pojazdy latające, ale nigdy z tak bliska. Przestрах okazał się lepszą rozrywką niż muzyka ze wzmacniacza.

Maureen ignoruje krzyki, dyskusje i śmiechy, koncentrując uwagę na oddalającym się jazgocie silnika. Śledzi go zmysłem stanowiącym połączenie wszystkich zmysłów. Raz jeszcze widzi helikopter – rozmigotaną drobinę, która wychyla się z kryjówki chmur i opada nad busz. Potem znowu się unosi, skrywa w chmurze i sądząc po dźwięku, wykonuje koło. A potem jej rujowy zew zmienia natężenie i przechodzi w powolny warkot.

Maureen nie widzi lądowania maszyny, ale wie, gdzie ona jest. W wyglądzie buszu nic się nie zmienia i gdy sunie po nim spojrzeniem, busz jak zwykle ucieka przed własnym horyzontem. Ale ona wie, co przyjął, wie, w którym kierunku odeszły wibracje powietrza.

Kierowana nawykiem utrzymywania porządku starannie składa szorty z nie do końca zaszytą dziurą. Po wejściu do chaty z wahaniem odkłada je na łóżko. Najwyraźniej nie jest zadowolona z ich wyglądu i bezwiednie wygląda je

dłońmi. Później przez chwilę stoi, a lęk wspina się po niej stopniowo, by chwycić ją za gardło i ścisnąć.

Wychodzi z chaty. Rusza – idzie obok sterty snopów trzciny i wiklinowej zagrody dla kur, truchtem pokonuje stok, przeskakuje przez kamienie. Przyspiesza. Biegnie przez wysoką trawę, unikając uderzeń gałęzi i kuląc się, gdy wpada między cierniste krzewy. Biegnie ku rzece i gdzieś po lewej słyszy głosy mężczyzny i dzieci rozmawiających po angielsku. Nie zatrzymuje się jednak i podąża prosto w kierunku brodu, zdejmując po drodze buty. Stara się utrzymać równowagę, skacząc z kamienia na kamień, a kiedy kamienie się kończą, robi to, co widziała, jak inni robili – wchodzi do wody niczym pragnąca ponownych narodzin członkini sekty odnowy religijnej, a gdy zagłębia się do piersi, unosi ramiona (buty w jednej ręce) i udami rozpycha gęstą materię wody. Woda jest ciepła, brązowa, ma intensywny ziemisty zapach. Rzeka wydaje się przechylna, jakby zmienił się w niej kierunek działania grawitacji. I nagle wszystko się wyprostowuje, pod stopami czuć płyciznę przeciwnego brzegu i Maureen przekracza klatkę na wpół zanurzonych w mule korzeni powalonego figowca – to charakterystyczny punkt po drugiej stronie rzeki, po której jeszcze nigdy dotąd nie była. Wpycha mokre stopy w buty i rzuca się do biegu. Garbata krowa schodzi powoli ze ścieżki, którą rusza Maureen. Biegnie. Wyraźnie słyszy ciężką, leniwą pracę silnika w napiętej ciszy otaczającego ją buszu – motoru nie wyłączono, obraca się gdzieś tam na jałowym biegu. Prawdziwe fantazje dziczy oszukują zmysły skuteczniej niż atrakcje romantycznych lasów braci Grimm i Disneya. Aromat gotowanych

ziemniaków (to zapach jednego z pnącz, które dla niej są nierozróżnialne) każe się spodziewać kuchni czy jakiegoś domu za najbliższym drzewem. Gdzieś tam puszyste akacje stoją na nagiej ziemi nieporośniętej trawą ani zaroślami, a eleganckie bukiety gerber Jamesona i płachty nemezji wyglądają tak, jakby rosły w starannie zaprojektowanym publicznym parku. Biegnie: ufa sobie skumulowanym zaufaniem całego życia, jest czujna jak samotne zwierzę w sezonie, w którym zwierzęta nie szukają partnerów ani nie opiekują się młodymi, lecz żyją tylko po to, by przetrwać, nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności. Wciąż słyszy rytm łopat, to za tym drzewem, to za tamtym, i biegnie ku niemu. Biegnie.